

pismo literackie

ep ep

ISSN: 1733-8352

nr 1/2022 (8)



pismo literackie



Epea. Pismo literackie,

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku,
ul. Marii Curie-Skłodowskiej 14A, 15-097 Białystok,
e-mail: epea@ksiaznicapodlaska.pl



Nieregularnik, nakład 300 egz.

ISSN: 1733-8352

Redaktor naczelna: Justyna Sawczuk;

Redakcja: Piotr Janicki, Tomasz Filipowicz, Daniel Znamierowski, Artur Jan Szczęsny, Marta Kozłowska,
Bogumiła Maleszewska-Oksztol, Mona Al-Kaber

Projekt graficzny: Małgorzata Masłowiecka

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.

Szanowni Państwo,

oddajemy w Wasze ręce ósmą już „Epeę” w nowym składzie i szacie graficznej, za którą odpowiada znakomita ilustratorka Małgorzata Masłowiecka. Zmianę logotypu wymusiła poniekąd współpraca z młodymi artystami z Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych im. Artura Grottgera w Supraślu. Ich dynamiczne, odważne, oryginalne interpretacje motywów przewodnich tego – „Nafta” – oraz kolejnego – „Wysoko/niżej/najwyżej” numeru, nawiązujące do postaci patronów roku 2022: Ignacego Łukasiewicza oraz Wandy Rutkiewicz, skłoniły nas do uwspółcześnienia wyglądu pisma.

Eksplorując znaczeniową okolicę nafty, a zatem i lampki, z którą przeszukujemy poddasza domów, przypomnieliśmy sobie o znakomitej wystawie w białostockim „Arsenale” i rozmowie z jej kuratorem, Michałem Perlą. Tomasz Filipowicz przygotował dla Państwa krótki przegląd książek popularnonaukowych dla najmłodszych oraz zestawienie ciekawych biografii ludzi nauki, które warto zabrać ze sobą na wakacyjny wyjazd lub racyzyć się nimi w jesienne wieczory. Katarzyna Droga natomiast przypomina o roli kobiet w rozwoju nauki.

Nafta okazała się w toku dziejów zdobyczą, a zdobywanie niemożliwe okazywało się bez ofiar. Dariusz Adamowski dzieli się refleksjami po lekturze poruszającej *Bratniej duszy* Davida Diopa. Jak twierdzi Piotr Janicki, twórca nowego działu „Recenzja odzyskana”: „Omawiana twórczość Adama Lizakowskiego to smutny krajobraz resztek po kapitalizmie”, o władzy i zniewoleniu w książce Alhierda Bacharewicza *Sroka na szubienicy* pisze natomiast Ewa Szarkowska. Wszystkie te książki i tematy pachniały nam naftą...

Oczywiście dalecy jesteście od monotematyzmu. Oto Sebastian Kochaniec odpowiada na pytanie: „Co łączy gry wideo z literaturą?”, wspomniany Piotr Janicki wypytuje Dawida Bujnę o tomy poetyckie nominowane do Nagrody Literackiej im. Wiesława Kazaneckiego, z której to rozmowy wyłania się interesujący obraz współczesnej, młodej sceny poetyckiej, a Malika Tomkiel w swoim tekście poświęca czas zawodowi pisarza i temu, z czym musi się on zmagać.

W numerze nie zabraknie też stałych punktów w postaci m.in. podróżniczego reportażu Zofii Piłasiewicz, muzycznej rozmowy Eligiusza Buczyńskiego, a także wierszy oraz tekstów prozatorskich, przesłanych przez autorów z różnych części Polski.

Zanurczcie się Państwo w lekturze. Zapraszam serdecznie.

Justyna Sawczuk
redaktor naczelna



fol. Bogumiła Maleszewska-Oktol



ROZMOWA

- 4 | *Poezja w Białymstoku. Poezja w Białymstoku / z 2021 roku* – z **Dawidem Bujną** rozmawia Piotr Janicki

POEZJA

- 10 | **Justyna Kulikowska** – *** (*głowa jak kość, pęknięta w dwóch miejscach*)
 12 | **Julian Kazberuk** – *Podróż, Poeta*
 13 | **Mikołaj Ługowski** – *Biją dzwony, Dzień będzie długi, Ostatni raz widzę słońce*
 17 | **Wojciech Muszyński** – *New age, Oblomow, On the run*
 18 | **Beata Bronakowska** – 2, 6, 9
 19 | **Iwona Suwała** – *** (*nie pamiętam jesiennych lip ani zapachu*)
 20 | **Adam Siemieńczyk** – *Wstęp, Bałwanek*
 21 | **Krzysztof Czyżewski** – *Żegaryszki*
 29 | **Józefa Drozdowska** – *Ultramaryna z kroplą dżdżu, Z kawką stawiającą kropkę na deszczowym wierszu*
 31 | **Irena Słomińska** – *Tożsamość*
 32 | **Jerzy Binkowski** – *Mea culpa, Renia to dobre dziecko*
 33 | **Krzysztof Ciereszynski** – *powiedz, obudź mnie*

KULTURA

- 34 | **Małgorzata Dobkowska** – *Skarby ze Złotorii*

POEZJA

- 39 | **Elżbieta Michalska** – *Dywan, Kołysanka dla Wacusia, Przekwitanie*

ROZMOWA

- 42 | *Ścieżkę „na Parnas” każdy musi okupić własnym doświadczeniem...* – z **Krystyną Konecką** rozmawia Justyna Sawczuk

POEZJA

- 46 | **Krystyna Konecka** – *Znikanie, Dlaczego sonet, Modlitwa*

PROZA

- 48 | **Barbara Ezman** – *** (*Stała na peronie...*)
 49 | **Maria Gładyszewska** – *Nazywam cię Irena*
 52 | **Karolina Żurawska** – *Gdy cię los rzuca w świat...*
 57 | **Norbert Grzegorz Kościeszka** – *Baba Wanda. Opowieść o śmierci*
 61 | **Zuzanna Rybarczyk** – *Fach*
 65 | **Aleksandra Igras** – *Farciarze*
 73 | **Aleksandra Tarnowska** – *Gdzie byli sąsiedzi*
 75 | **Joanna Kuklińska** – *Proszę pani*



4 | **Poezja w Białymstoku.
 Poezja w Białymstoku
 / z 2021 roku**
 – rozmowa z Dawidem Bujną



DLA DZIECI

- 78 | **Anna Bayer** – *Ksawery i hamburgery, Wielka draka, Zając i ślimak*
- 80 | **Barbara Gorzawska** – *O smoku, który nie był jaroszem i bohaterze, który nie był silny*
- 85 | **Tomasz Filipowicz** – *5 „mądrych ksiązek” dla dzieci*
- 89 | Recenzje Redakcji:
- **Celina Zubrycka** – *Tere fere, czyli bajki z dziecięcego pokoju*
 - **Marta Konek** – *Kasia w pasiece*
 - **Stanisław J. Bezubik** – *Mistrzowie*

REPORTAŻ

- 92 | **Zofia Piłasiewicz** – *Będę tu na ciebie czekał*

ROZMOWA

- 98 | *Kradzieże i zniszczenia* – z **Michałem Łukaszukiem** rozmawia Piotr Janicki

KULTURA

- 102 | **Katarzyna Droga** – *Nauka jest kobietą*
- 107 | **Malika Tomkiel** – *Wiara w siebie i w litery*
- 110 | **Sebastian Kochaniec** – *Prze(gra)ny Wiedźmin*
- 115 | **Tomasz Filipowicz** – *Geniusz inspiracją – biografie ludzi nauki*

ROZMOWA

- 119 | *Podlasie ma w sobie coś magicznego* – z **Katarzyną Antosiewicz** rozmawia Eligiusz Buczyński

RECENZJA ODZYSKANA

- 122 | **Piotr Janicki** – *Syriusz C*

RECENZJA

- 126 | **Ewa Szarkowska** – *Sroka i tajemnice władzy*
- 129 | **Dariusz Adamowski** – *Nieludzki z wyboru*
- 132 | **Dorota Sokolowska** – *Wszystkie skazy świata*
- 134 | Recenzje Redakcji:
- **Janina Osewska** – *Listy i stacje*
 - **Michał Fałtynowicz** – *Traktat barbarzyńcy*
 - **Jerzy Binkowski** – *Ave. Wybór wierszy*
 - **Marek Kochanowski** – *Od początku. Zbiór próz*
 - **Katarzyna Zajączkowska** – *Odpowiedzialna moda. Guilt-free przewodnik po slow fashion*
 - **Katarzyna Droga** – *Dziunia, ale dama. Powieść o Hance Bielickiej*
 - **Elena Ferrante** – *Przygodne rozważania*

102 |
Nauka jest kobietą
– Katarzyna Droga



119 |
Podlasie ma
w sobie coś
magicznego
– rozmowa
z Katarzyną Antosiewicz

SZEPTUCHA
ZAMOWY

Poezja w Białymstoku. Poezja w Białymstoku / z 2021 roku

– z Dawidem Bujną rozmawia Piotr Janicki.



fot. Justyna Sawczuk

Piotr Janicki: Mamy rozmawiać o poetyckich debiutach nominowanych do Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego za rok 2021, ale w kategorii najlepszej książki widać jeszcze jeden tom wierszy, *gift. z Podlasia* Justyny Kulikowskiej i okazuje się, że tamte trzy i ten czwarty¹ – wszystkie wydała Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu. Spektakularne...

Dawid Bujno: Po części jest to przypadek, a po części wynika z tego, że WBPiCAK wydała w zeszłym roku wyjątkowo dużo debiutów, bo aż cztery (dwukrotnie więcej niż w 2020; w 2019 pamiętam tylko jeden) i w ogóle

miała bardzo dobry rok: poza *giftem...* (dla mnie to jedna z najlepszych ubiegłorocznych książek w perspektywie globalnej i ponadgatunkowej) opublikowała np. ostatni tomik Cezarego Domarusa, czy aż dwie nowe rzeczy Tomasza Bąka. To są świetni autorzy i świetne wydawnictwa. A przypadek dlatego, że te wspomniane przez ciebie cztery nominowane książki były też jedynymi poetyckimi propozycjami, na które ostatecznie, w ferworze dyskusji, zgodzili się wszyscy członkowie kapituły. Do końca nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że ta lista tak nam się układa. Oczywiście tych propozycji pojawiło się podczas obrad więcej, ale z jakichś powodów nie byliśmy w stanie dojść w ich sprawie do porozumienia.

¹ W kategorii najlepsza książka roku *gift. z Podlasia* Justyny Kulikowskiej, a w kategorii najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku *Różowy flaming* Przemysława Góreckiego, *Wszystko już było dotykane* Kingi Skwiry oraz *polski wrap* Marty Stachnialek.

Wszystko jasne. A co byś powiedział o *gifcie...*, jako jednej ze składowych obrazu roku 2021 w poezji polskiej? Czy wystarczy wspomnieć jej wybuchowy, czy wręcz spazmatyczny charakter? Albo czy ciebie też ona dusiła? Ja sobie tego nie wymyśliłem:

*i żeby fraza stała się klatką,
i kołowrotkiem dla szczura,
niech się kręci².*

Właśnie na mapie najnowszej poezji polskiej, na której wyraźnie widać kręgi różnorodnych tradycji (popatrz! ten poeta jest z Sosnowskiego, a tamten z Ryby³, tutaj zaś leży minimalizm, a tam poeci zaangażowani) Justyna Kulikowska zdaje się zajmować miejsce niepodległe, może jedynie graniczące z rozpoznanymi już zjawiskami. Bo oczywiście autorka *giftu...* nie wzięła się znikąd, słychać, że mamy do czynienia z poezją tego czasu. Na przykład to spazmatyczne, uporczywe powtarzanie określonych fraz („trzymała mnie za pysk partia ojca”, a w wierszu obok: „trzymała mnie za pysk religia matki” itd.) kojarzy się, rzecz jasna, z Tkaczyszynem-Dyckim. Ale Kulikowska brzmi zdecydowanie inaczej niż Dycio, inaczej niż wszystko. Pamiętasz, jak jej debiut *Hejt i inne bangery* spolaryzował zdezorientowanych czytelników? Ludzie do końca nie wiedzieli, z której strony do tego podejść. Tymczasem jej projekt (jak to się mówi) okazał się od początku pomyślany i *gift...* stanowi jego najpełniejszą (póki co) realizację. Bo jeśli poprzednie *Tab_s* sprawiało jeszcze wrażenie, jakby poetka wciąż stroiła swoją frazę (powyżej podałeś przykład charakterystycznych metakomentarzy), to już zeszloroczny tomik wydaje się kompletny, a jego wybuchowy charakter ma służyć temu, aby w sposób miarodajny opowiedzieć o traumie. Stąd też wrażenie „duszenia”.



Justyna Kulikowska, *gift z Podlasia*, Wydawnictwo WBPiCAK, 2021

...również termicznym kocem okładki, bo Piotr Zdanowicz, którego graficzne koncepcje każdej z czterech przywołanych tu książek, to sam w sobie atrakcyjny temat.

Kulikowska wierszami chwyta i pęta wiele różnych problemów (np. problem literackiego laboratorium: odmieniana na różne sposoby „dykcja”, „fraz”, „wers” itd.), inne wydają się – jeśli nie mieć nad nią władzy, to przynajmniej –orientować głos mówiący w tomie; czy fragmenty: „[zamknij już mordę]”, „skórzany pas czy mokry kabel?”, „winnych i niewinnych / maglować tak samo?” nie budzą w nas psychopatologów?

Tymczasem tuż obok propozycja Kingi Skwiry pt. *Wszystko już było dotykane*, a w niej, w swoim wyrachowanym („znalazłam sobie chorobę”, „męczy mnie dzisiaj plastik” itd., a obok stany niewiedzy, zmęczenia/bezsiły, powtarzające się zapominanie i niepamiętanie) męczeństwie podmiotka doścignęła najbogobojniejsze figury otumanionych złymi duchami trucielek wmuszających w nas zupę z grzechem – co myślisz?

Jeśli stawiamy obok siebie Kulikowską oraz Skwirę, to oczywiście na zasadzie kontrastu. Odnosząc się do tej psychopatologii, wiersze Kulikowskiej działają poniekąd jak tabsy psychotropowe (mimo że okładka Piotra Zdanowicza do poprzedniego tomu *Tab_s* korelowała tytuł z klawiszami klawiatury komputera, co współgrało z cyfrową metaforyką obecną w tamtej książce, już początek *giftu...* rozwiewa wszelkie wątpliwości, o co tu chodzi: „trittico świeciło najmocniej”, a dalej: „próbowała wyczyścić folder siedzi_na_relanium”). Ta poezja, jak to się mówi, wali mocno w łeb. Rzecz jasna, co innego oznacza to dla podmiotki, która wierszami próbuje przepracować traumę, a co innego dla czytelników, którzy z ze-

² J. Kulikowska, *gdymyś był pulą*, [w:] *też*, *gift. z Podlasia*, Poznań 2021, s. 16.

³ Robert Rybicki.



Kinga Skwira, *Wszystko już było dotykane*, Wydawnictwo WBPiCAK, 2021

wnętrz przyglądają się temu rozdrapywaniu (nie bez przyczyny pojawiają się tu odnośniki do stron pornograficznych, co niejako sugeruje stosunek osoby mówiącej do własnego uzewnętrzniania się).

Kinga Skwira artystycznie jest dużo subtelniejsza. Bo ni- by jej debiut pełen jest obrazów rozkładu, martwych zwierząt, surowego mięsa, otwartych ran, wnętr-

ności i tak dalej, i cały czas mówi się tu o umieraniu, ale jednocześnie żaden z nominowanych tomików nie jest aż tak sensualny, przynajmniej ja miałem miejscami wrażenie, jakbym mógł te wiersze, no właśnie, dotknąć (czytałem tę książkę na smartfonie, ponieważ jeszcze przed zgłoszeniem jej do Nagrody, cały nakład się wyprzedził i dostaliśmy jedynie wersję elektroniczną, z tego też powodu zostawiłem ją sobie na koniec – wołę jednak papier – i przy pierwszej lekturze od razu jednym ruchem palca przewinąłem plik do wierszy, pomijając strony tytułowe, więc nie pamiętałem tytułu i kiedy dobrnąłem wreszcie do ostatniego, tytułowego kawałka, uderzyło mnie, jak to zdanie doskonale podsumowuje całość: „Wszystko już było dotykane”; nie zawsze tak jest z tytułami książek, nie do tego stopnia). Niby poetyka autorki może przywołać na myśl z jednej strony nurt ośmielonej wyobraźni, a z drugiej takie poetki jak Lebda czy Klicka ze swoją rozbujającą metaforą, ale obrazki Skwiry są jednak bardziej, powiedzmy, wyciszone, skupione, stonowane, mimo że kolejne jej asocjacje również prowadzą czytelnika w rejony, które trudno byłoby mu przewidzieć. Sama muzyczność tych wierszy (dla mnie niezwykle istotna kwestia!) jest subtelna: wszystkie instrumentacje głoskowe, aliteracje itd. są jakby delikatnie schowane, nieoczywiste, a jednak podczas lektury cały czas coś nam w uchu drga („gotujemy gałęzie, rozcinamy żołądz”). Jak gdyby było to grane na jakimś cichym instrumencie i tylko raz autorka zagroziła, że wciśnie efekt przesterowujący dźwięk: „jeśli ktoś się do mnie przysiądzie, zacznę krzyczeć”. Co oczywiście

nie wyklucza faktu, że kipi tu od emocji. Natomiast te najbogobojniejsze figury, o których wspominałeś, są świetne! Pointa jednego z wierszy:

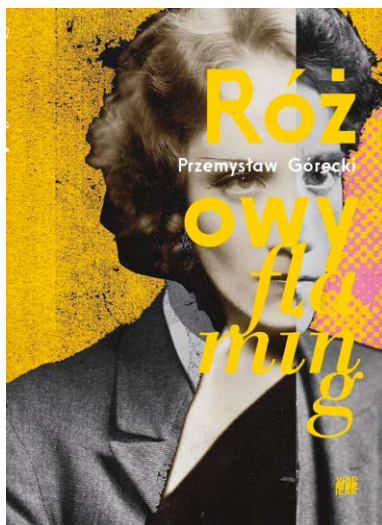
*przyszłam, żebyś umył mi ręce,
kiedy wyglądam jak maryja ze schodzącym lakierem
z paznokci.*

A co masz na myśli z tą „zupą z grzechem”?

Że tkwię w jakiejś ponurej historii rodem z powieści Stephena Kinga, że Margaret White należy się pacyfikacja, okrutny wypadek Billy’emu Nolanowi, śmierć tej całej społeczności, która wyhodowała Skwirę, wydała jej tom i ją za niego nagrodziła. To jest mocna, biorąca mnie przygoda intelektualna. A i ta, że znajduję źródła fragmentów-wycianek *Różowego flaminga* Przemysława Góreckiego, też jest nietrywialna. Zaczyna się jak objawienie z drugiej ręki, ale nie relacjonowane, a układane w głowie, dostosowane do obowiązującego modelu, aż tu żart z dość dobrze przyswojonego nurtu poetyckiego i ta wycinka rodzi w czytelniku zadowolonego z siebie filologa („tu cię mam, syniu!”). Hę?

No tak, połowa mojej przyjemności podczas lektury poematu Góreckiego również opierała się na poczuciu rozpoznania. Budzę się w środku nocy, początkowo może trochę zdezorientowany, ale powoli identyfikuję kolejne przedmioty w ciemności i wreszcie dochodzi do mnie, że jestem w rodzinnym domu, gdzie przyjechałem na weekend albo święta. Bo nie chodzi tylko o wypatrywanie rozmaitych nawiązań (poza literackimi, również muzyczne, filmowe, malarskie), ale też o fakt, że poetyka *Różowego flaminga* tak bardzo przypominała mi literaturę, na której tak naprawdę się wychowałem, czyli – powiedzmy wprost – literaturę postmodernistyczną. To brzmi trochę, jak przekład nieznanego u nas dotąd poematu amerykańskiego z drugiej połowy XX wieku. Wszystko tu się zgadza: poczucie kontrolowanej improwizacji, gdzie długa, potoczna fraza tka się niepo- hamowanych metafor, nieskrywana erudycja, bo ogromna część hipertekstów jest przecież zupełnie na wierzchu, ironia, ale nie zakłócająca wrażenia, że poeta gra o wysoką stawkę. Górecki chciałby, abyśmy czytali tę książkę kluczem cam- powym, ale cały paradoks polega na tym, że podczas lek- tury odczuwałem konsternację właśnie z powodu braku

estetycznej konsternacji (charakterystycznej dla campu), bo mi się to po prostu wydawało bardzo ładne. Czy powiedziałbyś to samo o *Różowych flamingach* Johna Watersa? Czulem się więc podejrzanie bezpiecznie, czym pewnie rozczarowałbym samego autora. Natomiast druga połowa przyjemności polegała na tym, że rzeczywiście te zdania prowokowały mnie do układania w głowie własnych ciągów asocjacji i dlatego niemal po każdym robiłem mimowolną



Przemysław Górecki, *Różowy flaming*, Wydawnictwo WBPiCAK, 2021

przerwę, by gdzieś odpłynąć. Nie wiem, czy to były objawienia. Niewiele z tego pamiętam. Na pewno to trochę inna książka wśród wszystkich zgłoszonych w tym roku do Nagrody. Ale jestem ciekawy, jak podobał ci się nasz ostateczny wybór. Co myślisz o *polskim wrapie* Marty Stachniałek?

Mnie różowe i te mniejsze (też zresztą różowe) flamingi kojarzą się z jeziorem Natron w Tanzanii o takim chemicznym bukiecie, co zdolny

zamienić w wapienne figurki większość zwierząt, które do jeziora wstępują, poza nielicznymi, w tym flamingi. Flamingi w tym jeziorze żywią się sinicami, a to już jest świat Lynn Margulis, któremu chciałbym poświęcić więcej czasu, ponieważ tezy badaczk mogłyby zmienić nam postrzeżenie procesów społecznych, kulturowych, a właściwie już dawno temu zmieniły, współzmieniły, bo przecież stoi u Stachniałek wyraźnie fragment pod wieloma względami niewyraźny, ale jednak zwieńczony zbitką „genetycznej niepewności”. Tom okraszają dziwne konstrukcje, przypominające obwiatywy, a chociaż to może tylko przykłady utraty przez poszczególne zdania kontroli nad podmiotem, to i tak odziera ją mnie z pewności o tym, jaka/jaki/jakie jestem. Myślę, że na proces resegmentacji wierszy Stachniałek przypadł kres obrad jury. Tak o tej książce myślę: w niej asocjacje są szybsze, niż te obecne u Góreckiego, że migocą już w przedśionku sensów i seksów, już w niepewnych rymach...

„Ścieśniony przedpokój znaczeń”. *Angustia*. Metafora, którą skleił kiedyś Jacques Derrida i którą bardzo lubię. Cisną się przed nim i przepychają sensory. A „przedpokój znaczeń” łączy się u Derridy z „niepokojem pisania” oraz oczywiście z dekonstrukcją, która zakłada, że każdy tekst nieuchronnie traci kontrolę nad sobą i swoimi znaczeniami (a więc także podmiotem). I książka zaczyna się właściwie w jakimś przedpokój, gdzie babcia Irena biegnie do łazienki za wnuczką (podmiotką wiersza) i traci kontrolę, bo niestety musiała poślizgnąć się na wymiocinach dziewczynki. Zamiast więc osoby mówiącej (jak to się mówiło na studiach polonistycznych) mamy osobę wymiotującą, która intonuje w ten sposób tomik z niezdrowym jedzeniem w tytule, co być może jest jakimś wyrazem „niepokojem pisania”, a na pewno (ponownie) utraty kontroli. I to prawda, obrazki, które poetka nam serwuje, od razu – już w przedpokój czy przedśionku, jak mówisz – uruchamiają nam gotowe konteksty i sensory, ale na szczęście one za chwilę gdzieś się przesuwają. Żeby nie szukać daleko, po prostu przewrócę kartę na drugi wiersz w tomie, który natychmiast wydobywa z pamięci wszystkie ostatnio przeczytane powieści i wiersze o polskiej transformacji (sporo tego wyszło, sam przyznasz). Kolejki, NRD, narzekanie ludzi: „kiedy się to skończy”. A później podmiotka kreśli błyskawiczną, wierszowaną, niezbyt szczególną autobiografię, obejmującą dwadzieścia parę lat, po czym jakby zrezygnowana pointuje tym samym komentarzem: „kiedy się to skończy”, co ma już wymiar humorystyczny i zatrważająco egzystencjalny zarazem. Albo opisy miasta – opisy Warszawy – które się potem pojawiają. Niby wiemy, o co chodzi, ale one wydają się jednak inne, być może dlatego, że Stachniałek z wykształcenia jest geodetką, a być może związane jest to z czymś jeszcze. Bo ja chciałem tę wypowiedź zacząć trochę inaczej, jak słuchałem o twojej niepewności – Ale jakim językiem jest to napisane?! Albo: jakimi językami! Stachniałek bowiem inkorporuje wsze-



Marta Stachniałek, *polski wrap*, Wydawnictwo WBPiCAK, 2021



lakie rejestry językowe, często je po prostu parodiując, co nigdy nie zaburza odczuwalnej w tomie intymności (jak w kawalku, w którym mama przez telefon podaje córce przepis na ciasto). Bardzo ważne jest to pierwsze wrażenie, więc tutaj też opowiem. W kategorii debiut dostaliśmy 28 tomików. Niedużo, ale potrafi znużyć, zwłaszcza, jeśli zechcesz przeczytać np. 3 jednego dnia. I tak do *polskiego wrapu* przysiadłem w nocy (to był półmetek). Chciało mi się strasznie spać, ale uparłem się, że przynajmniej zobaczę, z czym to się je (wrap, wiadomo) i wtedy padnę. No ale czytałem i czytałem, i pamiętam, jak te wiersze mnie pobudziły, jakiego dostałem kopa. Tak oczywiście działa język, jeśli odpowiednio go użyjesz. Z jednej strony rytm (Zdanowicz, projektując okładkę, schował nieco literę „w” i w ten sposób podkreślił słowo „rap” w tytule), melodia (np. taka linijka: „płat po płacie, płacz po płaczu, pleć po płci, patrz:”), a z drugiej strony pewna naturalność, jaką charakteryzuje się głos Stachniałek, złożyły się na energetyczność tej książki. A jeśli już porównujesz ją do Góreckiego, to chciałbym zwrócić

uwagę, że w *polskim wrapie* także pojawia się wiersz wyrównany w składzie do prawego marginesu (jak wszystkie wiersze w *Różowym flamingu*). O ile jednak Górecki chciał w ten sposób (jak sam deklaruje) uderzyć w europocentryzm, przypominając, że poza naszą kulturą pisze się inaczej (aczkolwiek jego poemat mimo odwróconej typografii wciąż czytamy po europejsku, od lewej do prawej), to Stachniałek wykorzystuje podobny zabieg, aby podbić, zwizualizować temat utworu: babcia Irena „leży ze sparaliżowaną prawą częścią”. I ten wiersz – napisany przez wnuczkę, której starsza kobieta już nie poznaje – jakby ją wypełnia.

No dobra. Fajnie, że z nami porozmawiałeś. Fajnie, że wybraliście takie fajne książki. Fajnie by było porozmawiać o tej mniej więcej porze za rok, co?

Cała przyjemność po mojej stronie. Tak, to był niezły wybór, jak sądzę. I zdecydowanie dobry wybór, jeśli chodzi o zwycięzców. Dziękuję za rozmowę! Słyszmy się za rok!

DAWID BUJNO

– urodzony w 1987 r., prowadzi cykl spotkań literackich pt. „Uwaga! Literatura” w Galerii im. Sleńdzińskich w Białymstoku, członek Kapituły Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego.

PIOTR JANICKI

– urodzony w 1974 r., współtwórca i redaktor zina poetyckiego www.cycgada.art.pl (2005-2010). Autor tomów: *Nadal aksamit* (2006), *Wyrazy uznania* (2014), *13 sztuk* (2016), „psia książka” (2018), *Spis treści* (wraz z Adamem Kaczanowskim) (2020), *Ćwiczenia muzyczne albo księga muz napisane przeze mnie na gruzach cesarstwa Stanów Zjednoczonych Ameryki Płn.* (2022). Współautor, wraz z Bartkiem Kalinką, płyty „Boży rok” (2007).

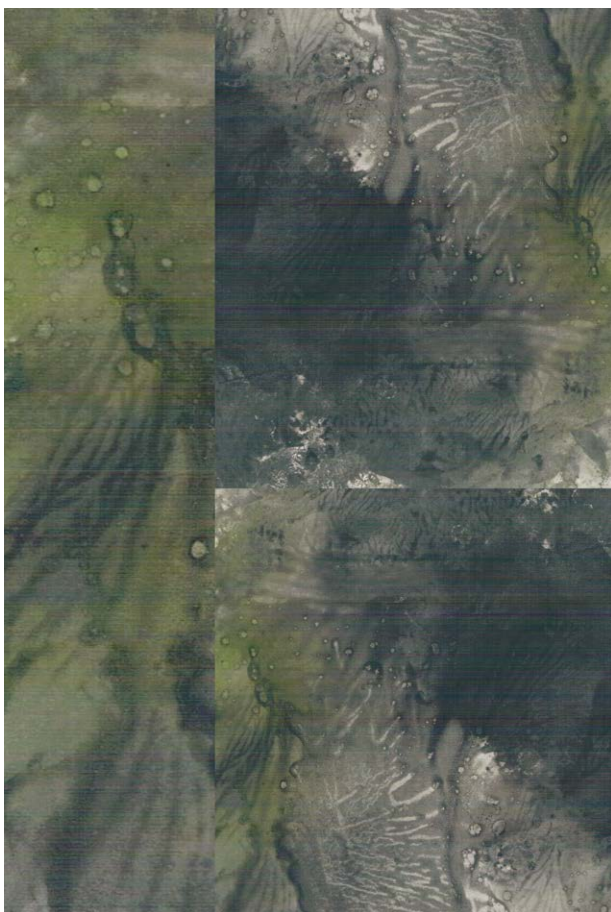
Justyna Kulikowska

głowa jak kość, pęknięta w dwóch miejscach,
bliskość to scyzoryk, rozcina gips wieczorem.

szacunek jak strupek, więc trzeba go zerwać,
Auden napisał: należy się *poetom, kucharzom*
i...

głowa jak kość, pęknięta w dwóch miejscach,
pamięć to wada, więc zapomnę o *trzecich*.

fraza jak pała, pod przymusem ciągnięcia.
przymus to środek, lecz nader skuteczny.



Katarzyna Błachowska / PLSP w Supraślu

fraza jak pała pod przymusem ciągnięcia.
przymus to środek, więc spróbuję go ogrzać.

w tym miejscu jest pusto, po prostu piąteczka.
w tym miejscu jest pusto, ale się zabawię.

w tym miejscu jest pusto, wspomnę o *woźnicach*
w tym miejscu jest pusto, nie musisz rozumieć,

że:

na jednym z biegunów rozrywa mnie światło.
na drugim z biegunów czolgam się w bagienku.

głowa jak kość, pęknięta w dwóch miejscach,
bliskość to żeliwne imadło, co miadzzy mi styki.

głowa jak kość, pęknięta w dwóch miejscach,
kalekie mam myśli, więc i frazę kaleką?

na króciutkich nóżkach dojdiesz do obłędu.
obiecanki cacanki – tak mawiała matka.

obiecanki cacanki, a głupiemu radość
obiecanki cacanki, sobie podśpiewuję.

na drżących kopytkach, jakbym szła na ubój.
na drżących kopytkach, jakbym szła na ubój.

ramiona to rzeźnia, nie waż się otwierać,
ramiona to rzeźnia, czekam na zamknięcie.

z niedokończonych oper tylko *Turandot?*
(rzeczy się wiążą, choć nie są powiązane).

Nessun dorma! Nessun dorma!
Nesuun dorma! Nessun dorma!

Nesuun dorma! bardzo Państwa
przepraszam, nie znam włoskiego,

ale to *tu* wstawię, bo kto *mi* zabroni?
nie znam włoskiego, ale mogę śpiewać:

pieprzyć to, wolę *Lulu* Berga. *durna*
pizdo, rozjebałaś dystych.

mózg to pętelka, co pozwala pętlić,
i?

być gimnastyczką, i bywać satynową szarfą.
być cheerleaderką i bywać plisowaną spódniczką.

być elektryczną lampką, i bywać światelkiem.
być drewnianą skrzyneczką, i bywać ciałkiem.

być migającym okienkiem, i bywać brakiem
odpowiedzi. być wyświetloną wiadomością,

co połamie mi kręgosłup i jeden dystych.
być drewnianą belką, i bywać jutową liną.

nieść na prawym styku psią Gwiazdę, Syriusza
być wałęsającym psem, co nie znajdzie domu.

te poletko należy do mnie, lewy styk zostawię.



Katarzyna Błachowska / PLSP w Supraślu

JUSTYNA KULIKOWSKA

– urodzona w 1993 r. w Szczuczynie, poetka. Debiutowała tomem *Hejt i inne bangery* (2018), za który otrzymała Nagrodę im. Kazimierzy Iłłakowiczówny. Za drugą książkę poetycką *Tab_s* (2020) nominowana była do Nagrody Literackiej „Nike” oraz Nagrody Literackiej Gdynia. Mieszka na Podlasiu. Za tom *gift z Podlasia* otrzymała Nagrodę Literacką Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego.

Julian Kazberuk

Podróż

kobieta bojąca się przyszłości
 piła trzecią kawę pod sklepieniem
 błażej dekoracji atramentowego wieczoru
 nie odrywając się od krzesła
 urywała co chwilę myślótok
 starając się skupić na ciszy głębokiej
 jak dno morza
 kobieta okryta koszulą jak wielką otchłanią
 próbowała sobie przypomnieć kiedy
 minął moment w którym kawałek świata ją porzucił
 Matka Boska z polskiego krajobrazu płacze pigmentem
 a ten deszcz odbija się od jej walizki
 przyczajonej przy jego nodze jak cień

Poeta

na przystanku nocy
 kobieta z włosami rozrzuconymi
 jak wachlarz metafor
 przesypywała między palcami
 światło księżycy
 mech rozpraszał pod jej stopami
 monotonię bruku
 a szylidy za jej plecami
 nadawały jej aureolę jarzeniówek
 ze spokojem dzieła sztuki
 spojrzała na niego
 narrator z przystanku podpowiada -
 on już jej nie widzi
 widzi tusz robiący plask
 na powierzchni papieru

JULIAN KAZBERUK

– aspirujący poeta, student, trwale wiążący codzienność ze sztuką. Działacz białostockiego stowarzyszenia „Fundamenty”, szerzącego kulturę pisarstwa i otwartego na wszelkie formy sztuki. Zachęcający młode pokolenie do poszerzenia literackiego kolektywu, działalności na rzecz popularyzacji zamilowania do literatury. Współtwórca tomiku wierszy *Antygeneracja*.



Mikołaj Ługowski

Biją dzwony

ścieli ktoś miasto i prześcieradło z batystu
rozsmarowuje jak majonez; biały, gęsty sos
batyst na mieście, miasto ludźmi przepelnione
jakby kurnik z kurami albo z ludźmi bez głów
ślepe owady latają, gnieźdzą się, zderzają po batystowym
wybielonym mieście

wybrukowaną uliczką jedzie kareta
wjeżdża w ul ludzi-owadów
rozprasząc biel, wita noc
a noc leży, przykrywa wszystko jak plandeka
siedzę po turecku z boku, popijam wieczór brandy
i patrzę, patrzę jak w ulu każdy kąt zajmują krzyki
poruta, nędza i rozpacz

biją dzwony, otula mnie kres
cienka linia horyzontu, jakby rozmyta
niczym skakanka służąca małej dziewczynce
dół góra dół góra, aż kręci się w głowie
aż ma się wrażenie, że to wąż wiję się i sunie
w mirażu ostatnich, niepogaszonych jeszcze latarni
wilczych, błyszczących oczu zmierzchu i gwiazd spadających na ziemię
jak ciężkie krople wody

biją dzwony – ciepły ranek, poblask karminowej kuli
goli mi głowę o to, że nadal śpię
„a gól, szmato, gól”, niech goli
przecież w końcu biją dzwony
przecież w końcu nam wygodnie, powieki nie zaklejają się
twarz smaga przyjemny oddech szóstej trzydzieści rano czasu polskiego

a my dalej nie możemy sobie spojrzeć nawzajem w twarz

Dzień będzie długi

oddech twój, ciepły, pachnie miodem
gdzieś na drugim końcu ścieżki, daleko, w głąb, w ciemność
niewidomy kundel niezdarne człapie małymi nóżkami
za nim, nad nim w zasadzie, trzęsie się księżyc: gruby księżyc na tafli ciemnego nieba
prostujesz się, patrzysz mi w oczy – milczymy, w sąsiednim gaju pomrukiwania
jakieś dziwne

lont podpala się i świt jak flara – rozchyła się nad nami; przygląda
wciąż nic nie mówimy, ani sobie ani światu
wciąż patrzę na ciebie, na ciebie w smugach przedporannego słońca
na ciebie – raz uśmiechniętą, innym razem nie
raz wyciągasz ręce, innym razem nieco zbliżasz swoją piegowatą twarz
duże, piwne oczy świdrują mnie uważnie; i znów – twój oddech, ciepły, pachnie miodem

na północ od nas pole zaczyna orać pług, mocny wiatr szarpie konwaliami
w zasiekach zbóż wije się zaskroniec, nie słyszymy go, ale wiemy, że jest
dzień będzie długi, psy i koty budzą się, ziewają, lekka mgielka zasnuwa wszystko
mlecznie
słowiki jodlują
patrzę na ciebie, słucham i czuję: oddech twój, ciepły, pachnie miodem...

Ostatni raz widzę słońce

nie ma tutaj światła
A.D. nie wiadomo który, nie wiadomo ile czasu
mija, ile dzień ma godzin, godzina minut, minuta sekund
nie wiadomo

zbutwiałe, matowe, niewielkie biurko
strzeże pokoju z samego rogu i patrzy jak Wielki Brat
patrzy przykryte prześcieradłem z kurzu
osnute półmrokiem

patrzy na pokój, dziwnie kameralne pomieszczenie
w którym nikt nic nie polerował i który nikogo nic nie obchodził
przez uchylone okno wślizguje się ostatni strumień świtu

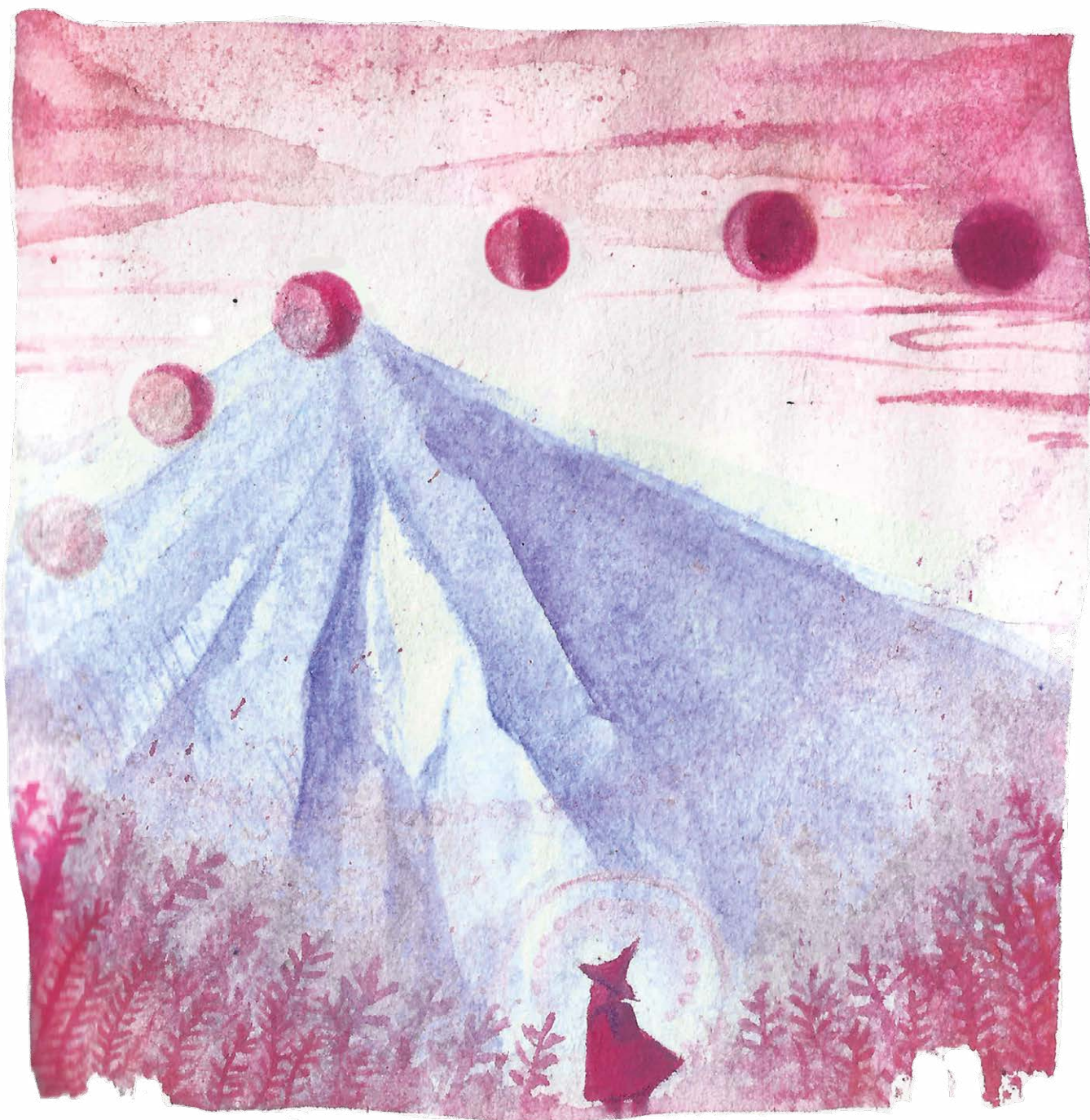
piękny szkarłat rozpościera się po popękanej, ponadgryzanej przez czas podłodze
jak perski dywan
może usiądę przy biurku i zobaczę – jutro, dziś, nie wiem kiedy
jak słońce ostatni raz wspina się i opada

opada i wspina się, bawi światłem, usypia i budzi
na wieki wieków gaśnie, żółć przykrywa się srebrzystym pyłem
ze wszystkich robi bezradne małe dzieci
ze wszystkich robi tchórzy i na wszystko narzuca czarno-biały miraż

wszystko z sekundy na sekundę
jakby miasto zamieszkiwały same latarnie
wypala się, topi, rozplywa
a ja nigdy nie kończę się żegnać, macham półgębkiem

MIKOŁAJ ŁUGOWSKI

– mieszka w Krakowie, uczeń I LO im. Bartłomieja Nowodworskiego. Interesuje się kinem, polityką, historią i sportem. Sporo czyta, jest entuzjastą Twardocha, Hłaski i Bursy. Laureat 41. Festiwalu Artystycznego Młodzieży w dziedzinie poezja oraz I Częstochowskiego Przeglądu Poezji. Finalista konkursu literackiego „Nowa Epoka”. Swoje artykuły publikuje w magazynie „Młody Kraków Czytajże” i na portalu internetowym „Gazeta Kongresy”.



Róża Wiktoria Jaroszewicz / PLSP w Supraślu

Wojciech Muszyński

New age

Jakiej użyć liczby mówiąc o swojej osobie
I dlaczego rzeczywistość wciąż
Dorzuca nowe formy wyrazu
Potoki słów to krople deszczu
Na ścianie jaskini gdzie trwa
Aktualnie taniec cieni
Masz dowolny wybór rzeczywistości
Dostarczymy Ci ją gdy
Siedzisz w pozycji kwiatu lotosu
Na dywaniku z HiM
Dobranym pod kolor ściany
Kiedy cisza wypełnia się
Dźwiękiem ptaków
Pustka zaś Szumem strumienia

Obłomow

Laozi mówił o Wu Wei
Niedziałaniu mając na myśli nieingerencję
Jakże często mylimy ją z pasywnością
Dochodzę do tego wniosku
Zanurzony w pozycji kanapy
Gdzie na około przemija niedziela
Utopiona w kalejdoskopie
Netflixowych seriali

On the run

Medytacja pozwoli
Przygotować się do biegu
Na który zaraz wrzuci mnie
Poranna kawa bądź yerba
Muszę być twardym zawodnikiem
Więc zapewne wykonam
Jeszcze kilka pompek Póki
Co leżę i odwlekam tę chwilę
Próbując przypomnieć sobie uśmiech
Tamtej dziewczyny Którą
Nagą i po chamsku przegonił
Dźwięk budzika



WOJCIECH MUSZYŃSKI

– antykruchy stoik, który przez praktykę ZEN szuka swego miejsca pomiędzy biegunami nadmiernej lewicowej poprawności i prawicowego fanatyzmu, nie dając się zgnieść imadłu tych idei i form. Anarchy in poetry.

Beata Bronakowska

2

rozsuwam nogi o zmierzchu po kąpiel
w różowym pieprzu tak wygląda nauka

miłości przytulam uważne oczy
rozłożyła ręce na krzyżu Wilgefortis

w czerwonej sukni tak wygląda
ofiarowanie zaświtały już kości wiosny

damy dwie jasnowłose dziecko biały piesek i ptaki
tak wygląda melancholia zduszone nasze losy

6

idziemy szary luksus coś ślepego
w powietrzu jemy burgery frytki

czuję się jak w domu ja wolę morze
upały tego lata ludzie nie mają twarzy

jesteśmy posłuszni kiedy pan
w meloniku namawia nas na selfie

całujemy się przez szmatki sterylne
kochankowie idziemy w lekkości

9

masz na sobie srebro ja złoto
szybko stajemy się kochankami

martha pieści koncert ravela
mamo a dlaczego pani

od polskiego używa ciągle
wyobraźni a ja się pytam

dlaczego dusza włóczy się
znowu po starych miłościach

Wiersze pochodzą z cyklu *wróże, podróże*.



fot. archiwum prywatne autorki

BEATA BRONAKOWSKA

– urodzona w 1971 r. w Augustowie, poetka, absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz gender studies na Uniwersytecie Warszawskim.

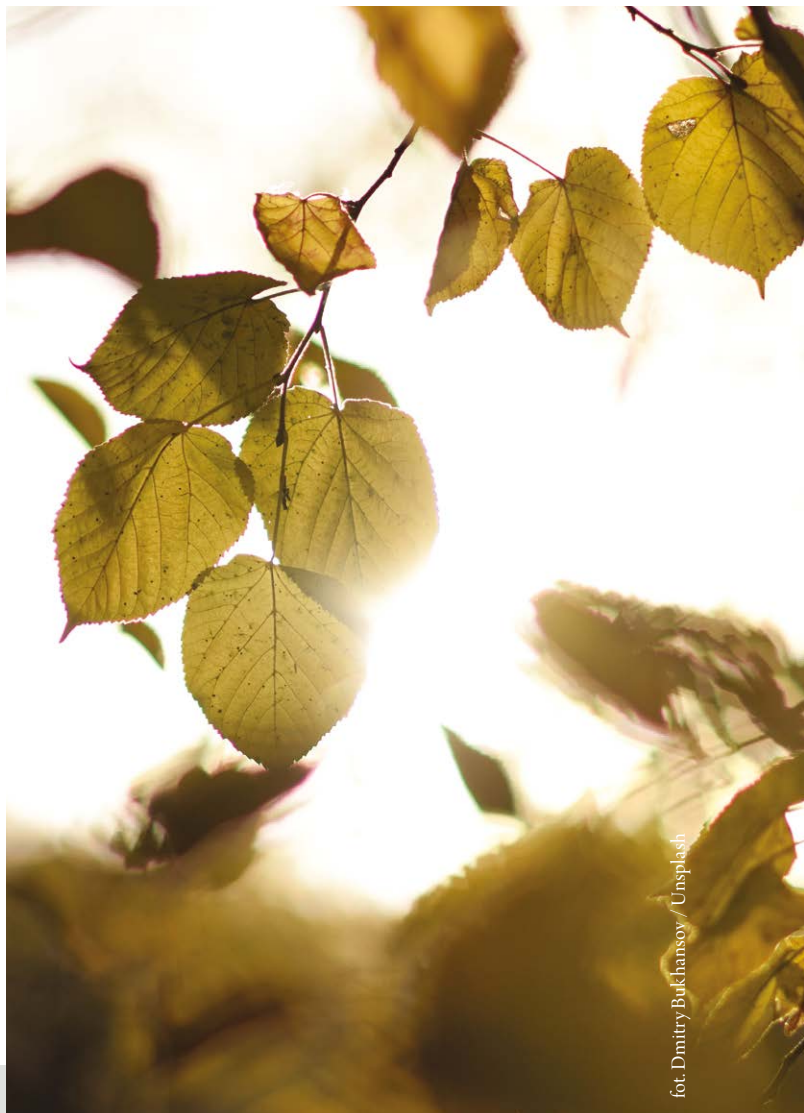
Debiut prozatorski *Jeziro* („Pogranicza”, 2004, nr 4). Autorka tomu wierszy *Proś o kolor* (2017). Publikowała w „Czasie Literatury”, „Kronikach według Muzeum im. Marii Konopnickiej w Suwałkach”, antologii *Wiersze od Augustowa*. Mieszka w Konstancinie-Jeziornie.

Iwona Suwała

nie pamiętam jesiennych lip ani zapachu
listopada żyją we mnie drzewa pełne lata
miodny smak powietrza i dźwięk pszczół
znad piotrkowickich łąk

tyle we mnie imion twarzy odległych
jak napisy nagrobne na spróchniałym
krzyżu historii pomarszczonych ciał
święte niczym chleb

nikt nie umarł na dobre i na zawsze
zbyt wiele w nas pamięci w zielonych
liściach sierpniowych lip w śpiewie
majowych dziewczyn spod figury



fot. Dmitry Bukhansov / Unsplash

IWONA SUWAŁA

– urodzona w 1978 r. w Chorzowie, od 2005 r. mieszka w Wielkiej Brytanii. Z wykształcenia ekonomistka. Z pasją zajmuje się fotografią oraz poezją.

Swoje wiersze dotychczas publikowała w almanachach i na portalach literackich. Debiutowała tomikiem poezji pod tytułem *Bardziej Naga* (2015). W 2021 r. ukazał się jej kolejny tom *Szron*.

Jej fotografie były prezentowane w wirtualnych zbiorowych wystawach fotograficznych w: Berlinie, Bułgarii, Holandii, Nowym Jorku, Portugalii, Anglii, Barcelonie, Grecji. Wystawa tradycyjna, indywidualna „Na krawędzi ciszy i światła – podróż nieskończona” prezentowana była w Krakowie, Chorzowie i Gliwicach. Wystawa zbiorowa „Portraits” w Blank Wall Gallery w Atenach.

Adam Siemieńczyk

Wstęp

Narodziny dziecka to nadzieja na lepszy świat.

Kim jest Sanja? Tego nie wiemy.
Może poprzez wojnę musiała odejść z chóru,
rozstać się z ojczyzną.
Wyrwa w życiu tak wielka ponoć może
spowodować nawet śmierć.
Co czuje osoba spotykająca po latach oprawcę,
który oświadcza, że jeszcze raz dopuściłby się
zbrodni?
Wojny trwają nieustannie.
Płoną domy.
Jak sprzeciwić się okrucieństwu?

Nawet podczas najbardziej okrutnego czasu
ludzie kochają, pragną, tęsknią, walczą.
Zadziwia siła życia. Siła miłości. Mimo
wszystko.

Poranne nadzieje, wyprowadzanie psa, obiad,
spacer, pieczenie ciasta, odrabianie lekcji,
latawce, wieczorne smutki, nucenie do snu.
Wtedy przejawia się piękno i sens istnienia.

Są ludzie, którzy sądzą, że trzeba zabić aby żyć.
Są też tacy, którzy twierdzą, że aby żyć trzeba
żyć.

Bałwanek

obcinanie paznokci
czesanie włosów
nucenie do snu

czułość
delikatność
łagodność

cieszyła się słodyczą sernika
prosto z piekarnika
gorący
od rąk które go przyniosły
dostała również łyżeczkę

zbliżało się kino objazdowe
i trzeba było zrobić próbę
słodczy

punktacja w kategorii kształt
nie była uwzględniona
ponieważ wszystko rozplynęło się
w ustach

bałwanek był ujęty w zaproszeniu
wiał ciepły wiatr
marzycielsko myślał
już się nie mogą doczekać

Teksty są częścią, przygotowywanego do publikacji, tomu poetyckiego *Sanja*.

ADAM SIEMIEŃCZYK

– urodzony w 1971 r. w Gródku. Mieszka w Wielkiej Brytanii. Poeta, krytyk literacki, malarz. Wystawiał w Polsce, Francji, Wielkiej Brytanii. Członek Akademii Literatury i Sztuki Słowiańskiej (Warna). Laureat nagrody Światowego Dnia Poezji UNESCO za tomik *Zakrzyki*. Współzałożyciel PoEzji Londyn, organizator oGródka Poezji. Otrzymał Dyplom Ministra Kultury za zasługi na rzecz promocji kultury polskiej za granicą. Współpraca: *Poezja dzisiaj*, *Cooltura*. Publikacje: *Powiedz mi kim jesteś*, *Rysunki*, *Pomiędzy*, *Zakrzyki*, *Miś*, *Piękni ludzie*, *poeci mojej emigracji*, *Mosty*, *Poezja pod lupą*, *Nasze koty umierają po drodze*.



foto. Mona Al-Kaber

Krzysztof Czyżewski

ŻEGARYSZKI

I3 grudnia

lód pod słowami
pęka niedosiężne trzciny
zaniemówienie



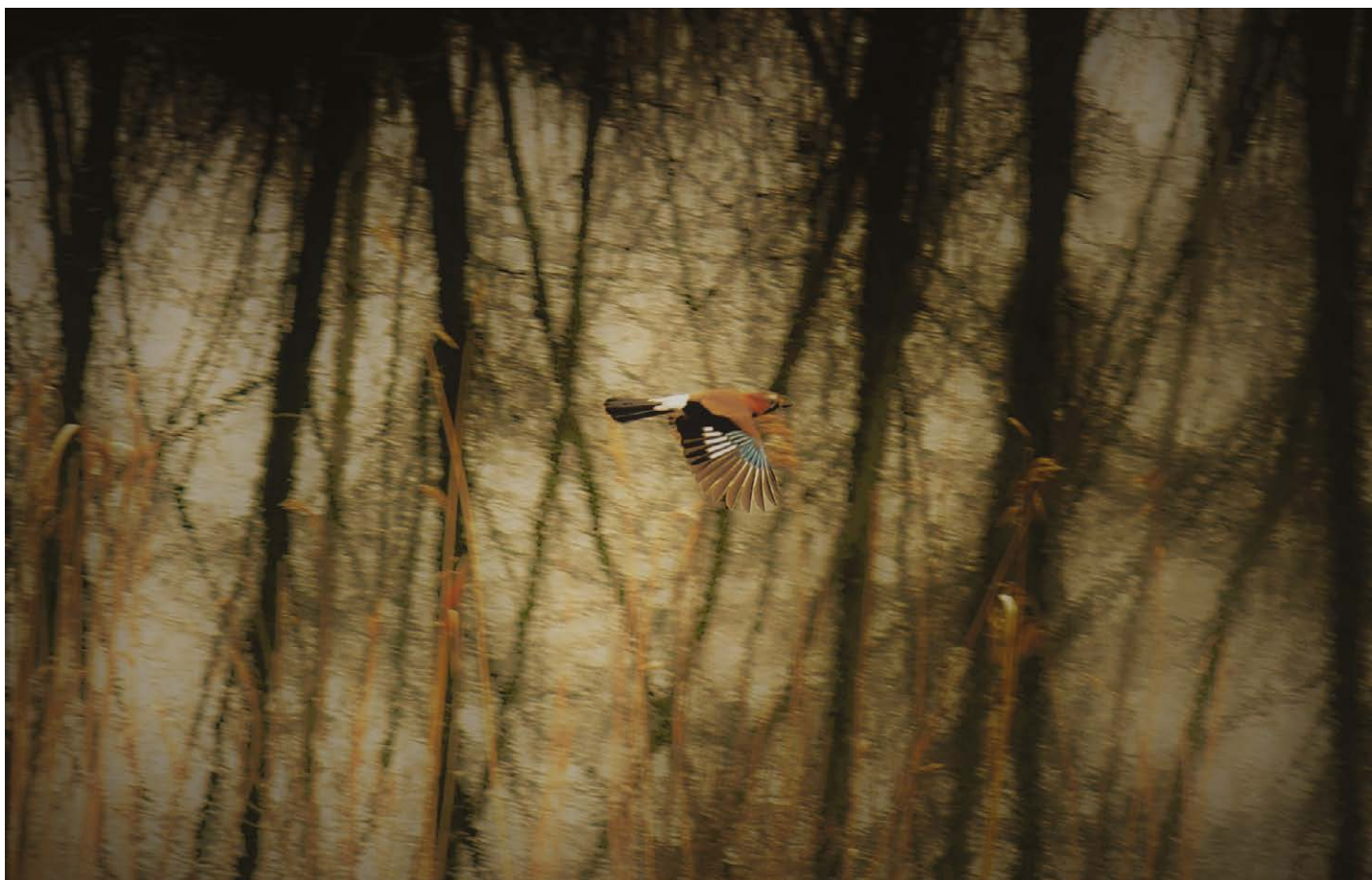
15 stycznia

wyść do ogrodu
za próg za siebie pod las
bez pukania wejść



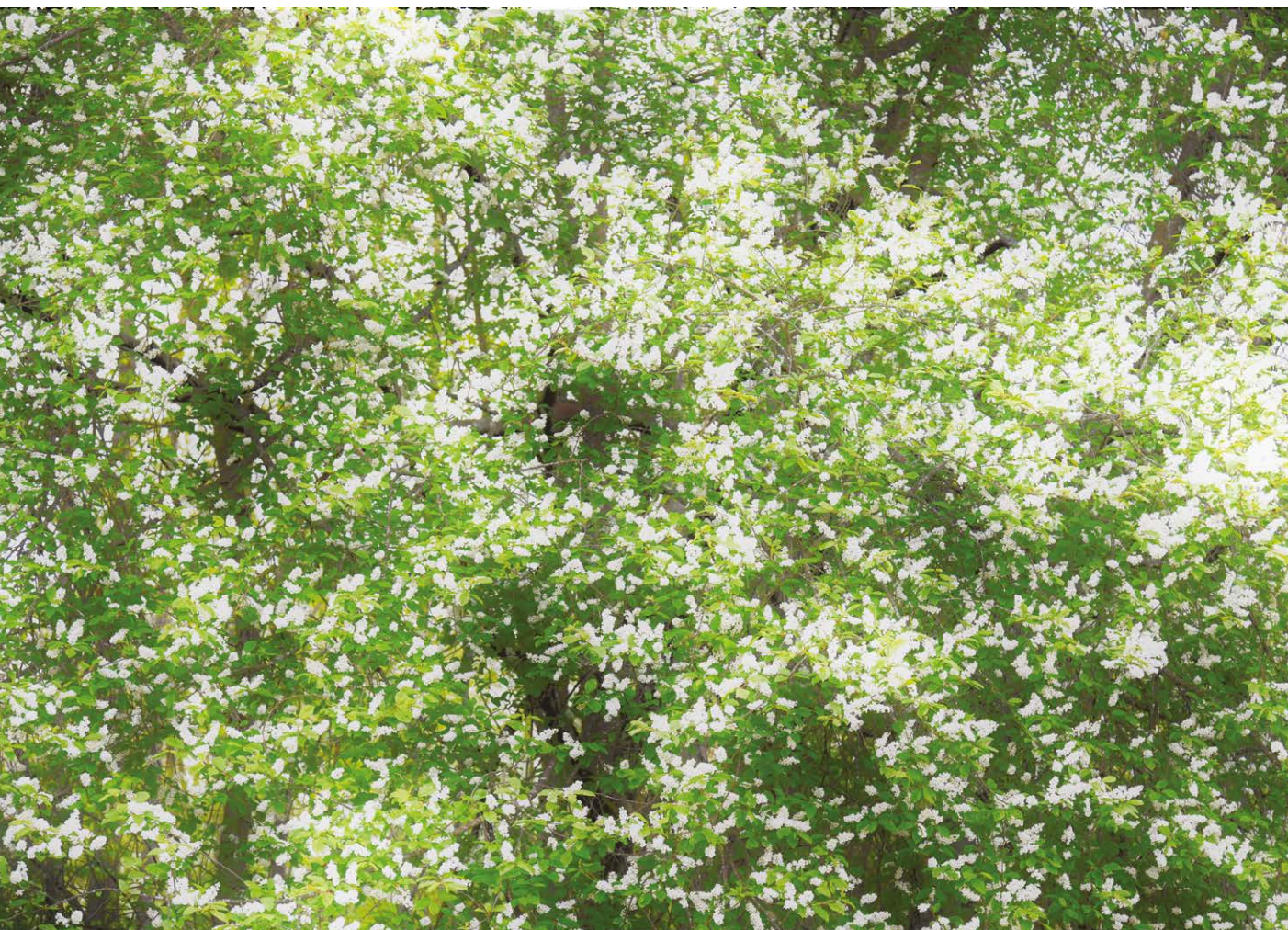
25 kwietnia

grot sójki tnie staw
drży w popielisku cieni
turmalin tęczy



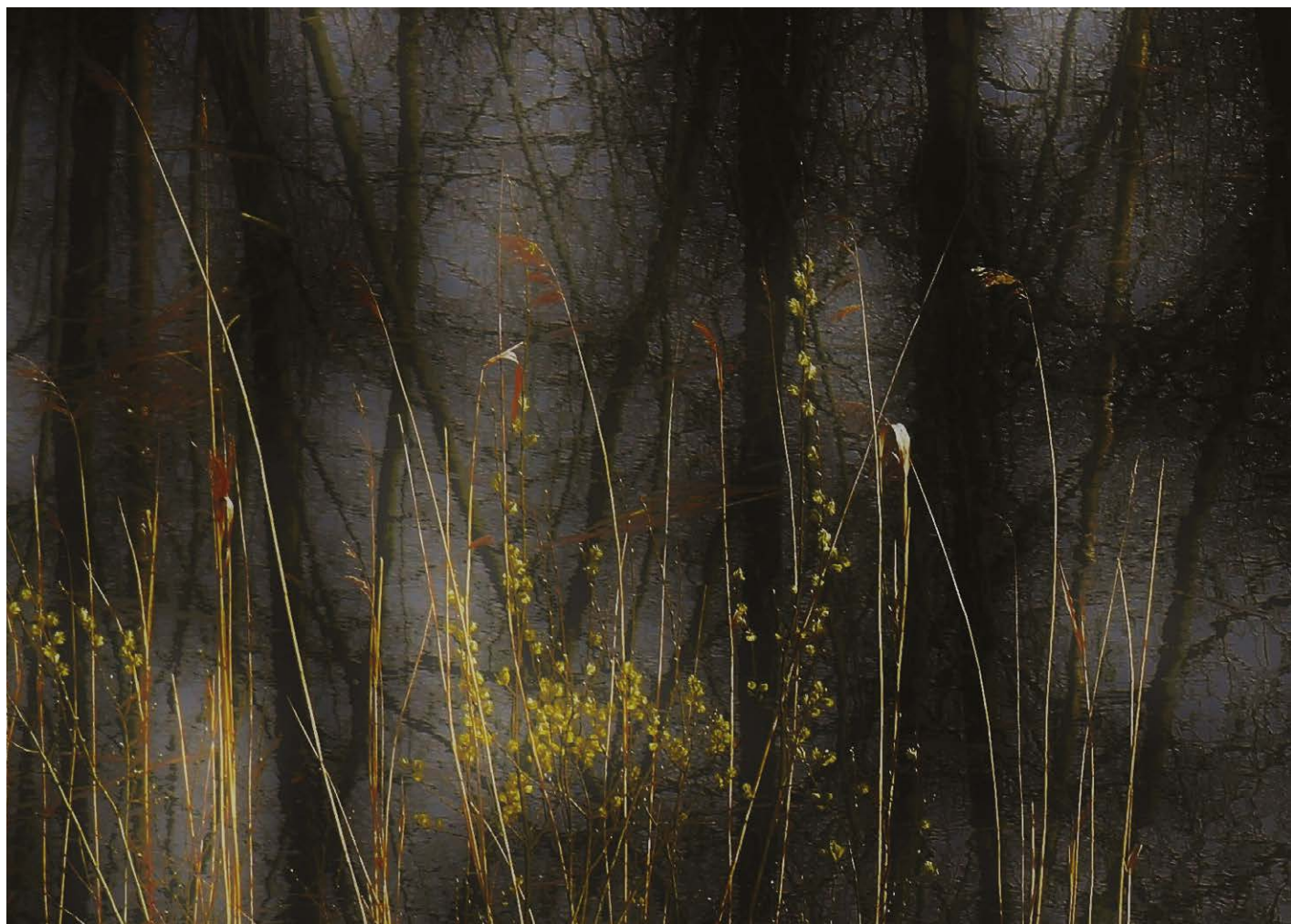
10 maja

muska mi usta
rozpalona czeremcha
do naga pachnie



26 maja

wciąż odpisuję
na list matki na tchnienie
słów brzmiących w trzcinie



26 maja 2021 rok

Mamo, ty mnie nauczyłaś czytać. Inaczej. Nie tak, jak w książkach napisane. Nie tak, jak w szkole. Słowa, które pomagałaś mi sylabizować, zapisane były znakami natury, kreskami światła. Pierwszy wyraz przeze mnie odczytany był wyrazem twojej twarzy, objawiony w zdaniu bez kropki – mogłem czytać je bez końca, zawsze było coś do dodania, zwłaszcza przez dotyk. Za jednym razem, gdy tylko położyłaś sobie na twarzy moje dłonie, nauczyłem się całego abecadła. Jak zaślepione snem oczy po przebudzeniu rozpoznają świat, tak poduszki moich palców błędziły w poszukiwaniu twoich powiek, natrafiając najpierw na ostre czułki rzęs. I szukały dalej, odgarniając ci włosy, zalepiając oczy, zbierając lzy, waleśając się po ustach jak po ruchomych piaskach, obejmując policzki na kształt konchy, wygrzewając się pod uszami.

Nie do uwierzenia, ile słów o tym jednym napisałem, które w czasie, gdy byłem twoim najpilniejszym uczniem, bez jednego słowa się obywało. Dłonie dziecka zapamiętały to wszystko i jeszcze więcej, a ich pamięć przenika teraz moje oczy i usta i słyszenie. Dzisiejszego ranka uświadomiłem sobie, że tajemnica twojego pisma mieszka w tym jak żyję. I przypomniało mi się nagle, jak uczyłaś mnie czytać, zanim poznałem sens ułożony z liter.

Tej nocy rozjarzony księżyc był dosłownie na wyciągnięcie ręki. Spać nie mogła także moja przyjaciółka Wendy, ze swojego domu na Alasce wysyłając mi list o zapatrzeniu w całkowite zaćmienie księżyca. Doczekałem świtu, by podglądać bobry budujące żeremie przy naszym stawie. Ledwie uchylilem drzwi, a do domu wemknęła się Perelka, cała mokra od nocnej rosy. Rumi ani myślał o dołączeniu do mnie, wygrzewając stare kości pod kołderką. Jutrzenne światło przyćmiło Pełnię Kwiatowego Księżyca. Teraz najbardziej jaśniała kalina, w jedną noc przemieniona w kulę śnieżną. Kukulka spała. Nad doliną wciąż jeszcze władalo nocne przekomarzanie się słowików z żabami. Świerszcze grały nieśmiało i w pojedynkę, wciąż odwlekając moment przejęcia batuty w krasnogrudzkiej orkiestrze. Bezsenny bąk trzymał puls łąki, bucząc na swojej drumli. Musiałem uważać, bo ścieżka gęsta była od ledwie widocznych winniczków. Z lasu porykiwaniem zagadywał do mnie koziołek.

Lada moment należało się spodziewać wrzawy żurawi. Usiadłem na moście, zawinięty w milczenie, to samo, którym mnie przykrywałaś, kładąc palec na ustach. I tak doczekałem pierwszego słońca.

W chwili, gdy jutrzeźne promienie przebiły pomrok stawu, wszystko sobie przypomniałem. Przez całe życie przypominam sobie, jak uczyłaś mnie czytać. Ledwie zacząłem chodzić, podarowałaś mi łąkę, mój najważniejszy elementarz. Jakże mógłbym zapomnieć lekcje zanurzania się w ciężkie od rosy wiechliny i turzyce? Ledwie uszliśmy parę kroków, a mokry byłem na całości. Znikały granice. Wszystko, co widziałem, tknięte było świetlistym olśnieniem, wynurzało się z wody, pierwsze, czyste, z pustki wydobywające pełnię. Staw przemieniał się w jadeitowe oczko. Na nim uczyłaś mnie kaligrafii słońca, polifonicznej gramatyki aromatu barw. Stawałem się cząstką jaśnienia, a ty mówiłaś, że musisz się tego ode mnie nauczyć, zamiast pisać o tym. Teraz rozumiem, że uwalniałaś piękno od rozumienia. Takim było pismo trzciniowe, którym władaliśmy na łące. Nie znało następstwa słów, wszystko pisało naraz. Nasz pędzel nie wracał, nie było miejsca na poprawki i namysł. Wchodziliśmy do wnętrza i nie było już nikogo, kto patrzyłby na świat spoza istnienia. Czasem spóźnialiśmy się na pierwsze słowo słońca, ale wtedy mówiłaś, że wrócimy na ostatnie. Mówiłaś też – a wszystko to były słowa odczytywane przeze mnie z pisma trzciniowego – że wystarczy w pełni uwagi odczytać fragment świata, by objąć go w całości. Przepadałem za fragmentami zmierzchu. W nasze jaśnienie wkładał się wtedy cichy lament nad znikaniem, takie *lacrimae rerum*, za którym szła tęsknota za czymś jeszcze. W jedno zrosnięte były nieokreśloność i pragnienie. To niedopełnienie noszę w sobie przez całe życie. Nie potrafię stawiać w nim kropki, a piękna doszukuję się w niedopowiedzeniu. Bardzo mi w życiu pomogło otwarcie doskonałych cnót prawdy i dobra na niedoskonałość. Wciąż przypominam sobie jak czytałaś pismo trzciniowe, jak nie rozumieć piękna. Pisz do mnie jeszcze, mamo.

19 lipca

muśniesz i kamień
na kamieniu zostaje
serce snem budzi



30 lipca

ktoś w nas cień rzuca
światło kruszące ościem
ślepych na ciebie



KRZYSZTOF CZYŻEWSKI

– praktyk idei, poeta, pisarz i tłumacz, wydawca i reżyser. Współtwórca Fundacji Pogranicze i Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach oraz Międzynarodowego Centrum Dialogu w Krasnogrudzie. Profesor Uniwersytetu Bolońskiego.

Autor zbiorów poezji i esejów, w tym m.in. *Ścieżka pogranicza* (2001), *Linia powrotu. Zapiski z pogranicza* (2008, nominacja do finału nagrody „Cogito”), *Miłosz. Tkanka łączna* (2014), *Małe centrum świata. Zapiski praktyka idei* (2017, Nagroda im. ks. J. Tischnera), *Żegaryszki* (2018, Nagroda im. W. Kazaneckiego oraz TWK „Najpiękniejsza Książka Roku”), *W stronę Xenopolis* (2019, Nagroda Ambasadora Nowej Europy) oraz *Żegaryszki 2 i inne* (2021).

Józefa Drozdowska

Ultramaryna z kroplą dżdżu

Ultramaryną powiewa
ze wszystkich stron
stoję bosa pośrodku polany
zamkniętej podkową z olch
Owijam się w ręczniki
obrusey i prześcieradła
chroniąc czule punkty
by nie odfrunęły
wraz z ptakami z końcem dnia
Ich przednocne zawołania
i słońce broczące czerwienią
zagarniam do swego wnętrza
bym nie wygasła wraz z opadającym
w kalmusy wycieńczonym dniem
Niosę tę błękitniejącą biel
i czerwień spalających się godzin
do domu z nadzieją na sen
który mnie zachowa
i wyniesie ponad to co śnię
Do nagich białozłotych sznurów
które zwijam o zmierzchu
przyłgnęła pierwsza kropla dżdżu
wilgotnieję wraz z nią
na granicy dnia i nocy
jawy i snu – łaknę i tęsknię



Natalia Głowacka / PLSP w Supraślu

Z kawką stawiającą kropkę na deszczowym wierszu

Kiedy chcę zrozumieć deszcz
 wpatruję się w lampę
 wystającą z dachu garażu
 przed blokiem
 Przez poszum ulicy
 drążącej obok noc
 i muzykę płynącą z radia
 przebija się kapanie
 sączenie ciurkanie
 wreszcie lanie się
 wody po jej ramieniu
 Staję w kuchennym oknie
 przy zgaszonym świetle
 widoczna jedynie sobie
 słyszę i widzę deszcz
 jego prędkość gęstość intensywność
 Kałuża we wkłęśnięciu
 pokrytego papą daszku
 obrazuje mżenie siąpienie ulewę
 Staję w ciemnym oknie mojej kuchni
 i patrzę na lampę
 wystającą z daszku garażu
 i mam gotową opowieść
 o nocy w deszczu
 Chlupotam się wraz z nim
 przez jej ramię
 moknę przesiąkam do kości
 drzę na całym ciele
 Zapóźniona kawka opadając
 na pobliski śmietnik
 swym kau-kau stawia kropkę
 na zdaniu kończącym wiersz
 Zziębnięta mogą wreszcie bezkarnie
 siorbnać lyk gorącej herbaty
 i pójść spać
 Opowieść toczy się
 własnym życiem

JÓZEFA DROZDOWSKA

– urodzona w 1954 r. w Jeziorkach koło Augustowa. Poetka, autorka tomów wierszy, książki prozatorskiej *Opowieści z domu pod topolą*, książek dla dzieci oraz prac dotyczących Suwalszczyzny; współredaktorka antologii poetyckich, bibliotekarka, regionalistka, animatorka życia literackiego. Debiutowała w 1978 r. Wiersze publikowała w czasopiśmie, antologiach i podręcznikach szkolnych.

Z jej inicjatywy od 28 kwietnia 2020 r. na facebookowym fanpage'u Miejskiej Biblioteki Publicznej w Augustowie publikowane są wiersze i prace plastyczne autorów zaangażowanych w Niedzielne Pogawarki Poetyckie przy Herbatce. Od lipca 2021 r. prowadzi spotkania regionalne „Pogawędki na Komunalnej” we współpracy z Filią nr 2 MBP APK w Augustowie, gdzie mieszka. Należy do Związku Literatów Polskich oraz Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku.

Miłośniczka jamników, kotów, muzyki poważnej i genealogii. Jest członkiem Jamińskiego Zespołu Indeksacyjnego.

Irena Słomińska

Tożsamość

Spotkałam drugą mnie – odbicie w lustrze.
 Inna symetria twarzy, inne, przeciwległe,
 lewe – prawe ręce, położenie broszki,
 świadomość – nieświadomość.
 Materia – jej obraz, niematerialne odbicie,
 rysunek światłem.
 Jest jak odkrycie nieznaney mnie.

Nie musisz mnie klonować, żebym wielokrotnie
 zaistniała, nie możesz mnie – osoby powielić
 w równoległych światach. Złapana w pętlę
 czasu, zawsze będę inna.

Ja, niepowtarzalna iluzja czy może
 stworzenie.
 Stąd moja wiara. Nawet gdy amputowano Boga,
 wciąż żyje jego fantom. I boli.

Wiersz z tomu *Szkice wierszem* (Białystok 2022)



fot. archiwum prywatne autorki

IRENA SŁOMIŃSKA

– urodzona w 1948 r. w Siemiatyczach, mieszka w Białymstoku. Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim. Poetka, autorka recenzji, współredaktorka tomików. Debiutowała w 1975 r. („Głos Szczeciński”). Opublikowała arkusz poetycki *Stopa za stopą* (Szczecin 1976) oraz w Białymstoku tomiki: *Granice* (1990), *Powracają ogrody* (1994), *A przecież jest jeszcze miłość* (1999), *W błękicie odnajdziemy się o zmierzchu* (2001), *Przebaczyć sobie dzień* (2003), *A w kruchej skorupce dusza* (2004), *Smak istnienia* (współautorka, 2009), *Pogranicza* (2011), *Przydrożnym różom nie brak wyobraźni* (2012), *Doznania* (2016), *Tożsamość* (2018), *Jestem* (2019), *Nieskończony wiersz* (2019), *Niż, nie tylko Ariadny* (2020), *Lampka wiary* wybór (2020), *Mikrokosmos* (2021), *Pocątunki* (2021), *Szkice wierszem* (2022). Związana z Nauczycielskim Klubem Literackim w Białymstoku. Jest członkiem Związku Literatów Polskich.

Jerzy Binkowski

Mea culpa

Synowie marnotrawni wracają
w porze głodu i bez okrycia

Stają golasy przebrzydłe przed ojcami
którym oczekiwanie odebrało wzrok

Łzy drążą ścieżki ku przebaczeniu
jak promień przebija mrok

I tylko jeszcze ziemniaki obrać i mięso ugotować
powiadają matki

Renia to dobre dziecko

Mama kompletnie zapomniała o dzisiaj
ale doskonale została we wczoraj
patrzy na film o małej dziewczynce
w białej sukience uśmiechu

Renia – to dobre dziecko
słyszy głos ojca od 80 lat
Wojciech czyścił buty dzieciom
przed wyjściem do kościoła w Łopiennie

Ojcowie którzy przygarniają i biorą w ramiona
są jak zatoki dla śpiewających ptaków

A teraz – Mamo –
ruszają nowe pulki aniołów
i wlecieć możesz we wszystkie strony świata
jesienna łąka przyjmuje westchnienia
przed odlotem do ciepłych krajów

Mamo
Ziemia jest wspaniałym miejscem na miłość

Wiersze pochodzą z tomu *Ave* (Białystok 2022)

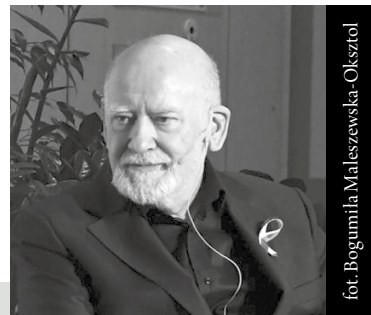


foto. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

JERZY BINKOWSKI

– autor wielu tomów poezji, m.in: *Złoty ciężar snu* (2018), *Wiejska ballada* (2020), *Ave* (2022).

Krzysztof Ciereszyński

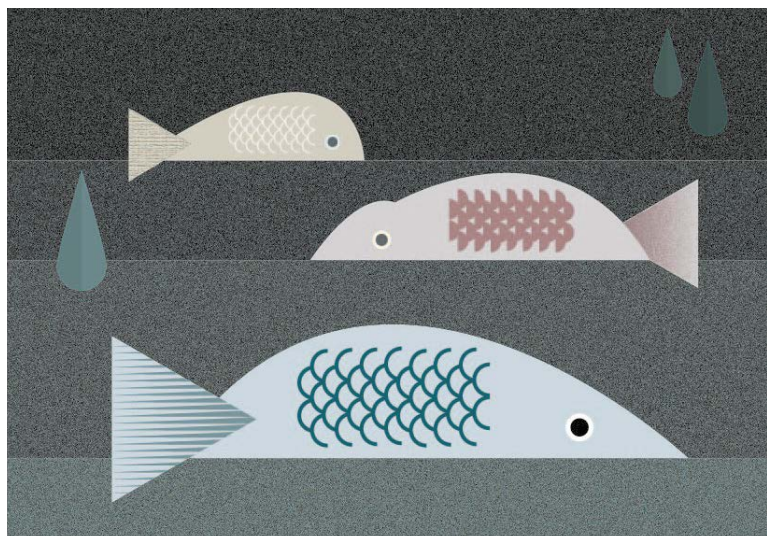
powiedz

zapominam ale wraca
jak pożądanie
żądło wyrosłe z kamienia

cokolwiek powiem przed zmierzchem
jest w owalu dłoni
pokryte łuską wije się

wilgotnym spojrzeniem rozmawiamy o grzechu
wieczór nie nadaje imion
przysiada na szybie cieniem brzozy

palcami z piasku przesiewam światło



Zuzanna Januszko / PLSP w Supraślu

obudź mnie

pomyślę jak poranek słowami z cienia
zachłapię farbami ściany

w niebie chłodniej
zbierają na tacę zielone liście
szepty jak listy pisane żalem

kolejne drzwi bez dzwonka
przechodzę jak wiatr głośniejszy
pukam w szyby gałęzią białego bzu

chwila minęła nie słuchaj drzew
tylko nocą proszą gwiazdy
o światło



foto Justyna Sawczuk

KRZYSZTOF CIERESZYŃSKI

– psycholog, nauczyciel. Wydał trzy tomiki poezji: *Bezgłośnie* (2012), *Implikacje* (2014), *Nienazwana* (2016).

Małgorzata Dobkowska

Skarby ze Złotorii

Kiedy wyjedzie się na autostradę łączącą „wielkie miasto Białystok” ze stolicą, po kilkunastu minutach krążenia po jej nowoczesnych estakadach i europejskich odgałęzieniach, i prawie nie widząc wśród nich Narwi, skręcamy w prawo, na Tykocin. Tutaj, na zachód zmierza rzeka Supraśl. Wpada do potężniejszej, nabierającej mocy Narwi. Tutaj zaczyna się Złotoria, ulicówka, podobno starsza niż Tykocin. Tu nieodmiennie mieszka poetka i malarka Elżbieta Michalska.

*Po szarym warkoczu ulicy
jak wesz pelźnie autobus
to właściwie jedyny znak dla mnie
opasanej gęsto tkaną płachtą samotności
że na świecie żyją gdzieś inni
choćby ci tam
czasem mówię pieścizliwie – biało-niebieski wieloryb
częściej jednak
– wesz pełznąca po szarym warkoczu ulicy¹*

Powyższy fragment pochodzi z debiutanckiego tomu Michalskiej z 1999 r., zatytułowanego *Tu jest tu, tam jest tam*, za który, niespodziewanie dla wielu, otrzymała Nagrodę Literacką im. Wiesława Kazaneckiego. „Tu” autorki stale wyznacza i prowokuje owa ruchliwa, ciemna szosa na atrakcyjny turystycznie, bajecznie piękny Tykocin. Oprócz mieszkańców mało kto wysiada i zatrzymuje się w Złotorii. Może jeszcze wędkarze, ale oni „parkują” głównie po drugiej stronie rzeki. Droga wymusza ofiary. Dlatego składane są na niej daniny, przeważnie psy, koty (autorki też), ptactwo domowe, zające, zdarza się ofiara człowieka. Byłoby ich więcej, gdyby zrealizowano pomysł z lotniskiem w pobliskich Sanikach. Czy mogłaby to być jakaś istotna zmiana, tzw. szansa „cywilizacyjna” dla Złotorii? Hm, raczej nikt z pędzących tam i z powrotem pasażerów

nie zatrzymałby się, pytając np. o świeże mleko od krowy, gdyż ma je w sklepie pod domem, a na świeżości niewiele mu zależy. Krów zresztą też jest coraz mniej. Złotoria zmienia się jak prawie każda wieś, zwłaszcza te bliżej większego miasta. Kiedyś była dalej. Powoli staje się sypialnią, daczą. Młodzi przeważnie „na wyjeździe”, w pracy, w szkole, uczą się grać w kapitalistyczne gry. Starsi jeszcze robią w obejściu, później śpią przy serialu telewizyjnym. Gospodarstwa efektywnie może ratować specjalizacja, pomysł, biznes, energia młodych, dotacja.

Elżbieta Michalska w swoim debiucie i następnym tomie, *Naszyjniku z grązeli* z 2001 r., zdążyła jeszcze uchwycić i przetworzyć, opisać dawną wieś, jej cechy ludowe, „tutejsze”, realne, namacalne i magiczne². „Tu” przemienia się, przekształca w następną odsłonę. Czy chcemy tego, czy nie, niektóre rzeczy nie powrócą. Już nie będzie tak samo („Chrapy kobyle jak ciepły termofor / W zimowe poranki / Przed mleczarnią”³). Wieś, którą „znamy”, stopniowo odchodzi, połowicznie została się w stagnacji i jednocześnie ulega zmianom, kolejnemu rozwarstwieniu, zaczyna podążać drogami, nie tylko drózkami, staje się coraz bardziej mobilna. Koła peryferii zwodniczo i subiektywnie nakładają się na siebie, przecinają, przenikają. Droga wymagająca ofiar, ale i dająca szansę, wabiąca jest i migotliwa. Kusi. Pokerowa, zrozumiała, diabelska (?) ciekawość świata, który właściwie wszędzie jest synonimiczny, coraz bardziej unifikujący. Przystawiają się, zmieniają jedynie dekoracje, scenografia, rekwizyty. Człowiek ze swymi namiętnościami pozostaje podobny, taki sam. Sfera profanum?

Gdzie zatem sfera sacrum? Obróćmy się, spójrzmy z ganku poprzez furte, pole. Tam jest święta wierzba, za nią łąki, trzciny, chaszczce, turzyce. I rzeka. Święta rzeka, Narew. Krążą ptaki, krzyczą. Przetacza się niebo. Wieje wiatr, marszczy powierzchnię lustra. Mąci się nurt, plusk. Nie dosięgnie się wszystkiego, całości, głębi, trzewi. Zawartość pozostanie

¹ E. Michalska, *Autobus*, [w:] *też*, *Tu jest tu, tam jest tam*, Białystok 1999, s. 25.

² Zob. E. Michalska, *Codziennie, Piosneczka, Dionizje Małe*, [w:] *Tu jest tu...*, op. cit., s. 24, 35, 41-42; *A to już koniec XX wieku, Pomidory, Na wiejskiej poczcie*, [w:] *Naszyjnik z grązeli*, Białystok 2001, s. 23, 50, 51-52.

³ E. Michalska, *Tracowiny*, Choroszcz 2001, s. 32.

tajemnicą, odsłoni co zechce, reszta schowa się, umknie, zaśmieje. Święta rzeka karmi, poi, ożywia i wzmacnia. I też wymaga ofiar⁴ (*Pierwsza i Ostatnia i Kołysanka dla Wacusia* – wiersze niepublikowane).

Rzeka, łąki przed nią i za nią, ptaki, niebo, chmury, ciemna linia lasu na horyzoncie stale, nieodmiennie, zapładniają, ożywiają i karmią też wyobraźnię autorki. Są jej ciągłą inspiracją, ulgą, oddechem, wytchnieniem, ucieczką zza opłotków, do których się wraca, gdy już bardzo zimno, ciemno i burza („Chmura komarów na niebie – / Zeszyt z nutami / Dla deszczu”⁵). Bogini Narwi poetka składa nieustanną ofiarę, zapłatę ze swoich rysunków i utworów⁶. W ostatnim tomie, *Dobra, dobra...* wydanym w 2019 r. opisuje nadrzeczne *Bagno*:

(...) Siedzę na schodach i patrzę
na nadrzeczne bagno,
bagno mnie kręci,
nie wiecie nawet
jakim żywiołem jest bagno.
Za sto tysięcy lat
wyciągną mnie z torfu
i będę taka sama (...)⁷

Pomiędzy drogą, rzeką, a wsią⁸ rozpina się, toczy główne życie autorki, kondensuje się czas, osadza się i przewija trwając świat.

Czasem zdarzy się jakiś wyskok, później powrót. Drogą, miedzą, polem przechodzą sąsiedzi, pierwowzory bohaterów wierszy. W interesach, na przystanek. Trwa miejscowe

życie, które okazuje się ciągle pobudzana przez wyobraźnię kopalnią tematów, na bieżąco uzupełnianą, przetwarzaną społeczną kroniką, reportażem, obrazem⁹. Poetka



foto: Dmitry Kharasik / Pexels

⁴ Zob. E. Michalska, *Kronika z prowincji Z.*, Małż, [w:] tejsze, *Tu jest tu...*, op. cit., s. 10-11, 13; *O bocianach, Czarodziejka*, [w:] *Naszyjnik z grążeli*, op. cit., s. 15, 48.

⁵ E. Michalska, *Tracowiny*, op. cit., s. 45.

⁶ Zob. E. Michalska, *...to dużo czy mało?*, *Włosy świętej Magdaleny, Przed zmierzchem, Modlitwa o skrzydła*, [w:] *Tu jest tu...*, op. cit., s. 7, 47, 48-49, 53; tejsze, *Baldachim, ...tam gdzie nie ma cienia drzew*, [w:] *Naszyjnik...*, op. cit., s. 12, 63; *Walka klas*, [w:] *Wsio*, Białystok 2009, s. 27.

⁷ E. Michalska, *Dobra, dobra...*, Białystok 2019, s. 42.

⁸ Por. J.I. Kraszewski, *Chata za wsią*, Warszawa 1991.

⁹ Zob. E. Michalska, *Festyn, T. Szpytkowa, Wróżba Lipy, No i rozwód*, [w:] tejsze, *Wsio*, op. cit., s. 25, 39, 50, 52; *Sikorki, Słońce jamajki, Cukierek, Choinka, Iwona Bovary*, [w:] tejsze *Za stodołą*, Białystok 2015, s. 48, 51, 54, 55, 60; *Futra, Łysek*, [w:] tejsze, *Dobra, dobra...*, op. cit., s. 30, 31.

wspomina: „Jest jeszcze ten inny, wielkomiejski świat, do którego za nic nie potrafiłam się dopasować”¹⁰.

Zastanawiam się, czy ta droga jest w ogóle Michalskiej tak bardzo potrzebna? Zwłaszcza teraz? Może tylko jako wyznacznik, antagonizm, prowokacja? Wydaje się, że mogło ją to bardzo boleć niegdyś, fakt, że nie poszła nią do „wielkiego świata” (jest sprawą zresztą nader umowną, gdzie znajduje się ów „wielki świat”). I że niby nie spełniła oczekiwań, obowiązujących stereotypów sukcesu, życia. Nieoczekiwanie wypełniła inne, własne, indywidualne – wobec siebie, pracą, rozwojem swoich talentów. Odnalazła prywatną drogę, osobistą ścieżkę. Wyboistą i ciekawą, z żabami i studnią. Czy dużo zyskalibyśmy, gdyby Michalska została krawcową? Mówi: „Ileż pięknych koronek, haftów i najrozmaitszego rękodziela zostało po moich prababkach. A co zostanie po mnie?”¹¹. Ja wolę jak szyje swoje wiersze! A szyje je nerwowo, ostro i lirycznie, z bigłem. Łączy różne warstwy, materiały, wzory, opowieści, przetworzone biografie i autobiografię, jest na zmianę drapieżna i melancholijna. Używa wielobarwnych nici, kordonków, wstążek powiewających na wietrze. Narzędzi: subtelnych igiełek, nakłuc, dłuta, ostrza, szydła, szpadla. I powstaje z nich coś zaskakującego. Odczytujemy te tropy, ślady. Nagle fakt, że Michalska żyje na wsi i że opisuje tę przestrzeń i siebie, stopniowo, nieoczekiwanie stał się jej twórczym atutem, odrębną, oryginalną cechą, firmowym, wyrazistym znakiem. Nazywa się ją „poetką ludowego undergroundu”. Przyznacie Państwo, że jest to naprawdę nośne i zręczne, marketingowe określenie. Michalska jest „inna”, charakterystyczna. Jej teksty próbowano wsadzać do szufladki z tzw. nową poezją wiejską. One przekornie wyskakują kotem Murelkinem z Szafy¹²,

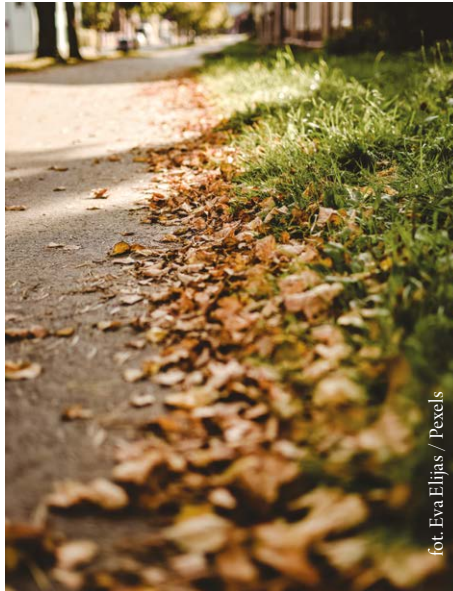


foto: Eva Eljas / Pixels

wysypują się z komódki, robią bałagan, niby nieśmiało pokazują język, zaprzeczają sobie, świecą kolorami, przejmująco lypią oczkami, płaczą głosami myszek¹³.

Zblazowani, znudzeni mieszczanie nawet lubią, jak poetka przekornie zaszokuje czasem dość dosadnymi określeniami i nieco naurąga miejscowymi wulgaryzmami (zwłaszcza, gdy się po niej tego zupełnie nie spodziewali).

Wtedy śmieją się trochę. Autorka używa owych wyrażeń w miarę sprytnie, np. cytując w tekstach inne osoby lub opowiadając, przedstawiając sny. W trakcie lektury czytelnicy, słuchacze coś sobie wtedy przypominają, jakichś dziadków, stryjenki, opowieści, jarmark na Jana, *Różyczki z ligniny*¹⁴, bombki na parapetach, wianuszki itp. („Gawron przed stodołą / Naśladuje gospodarza / Słoma w dziobie – ależ zarost!”¹⁵). Śmiech, gorzki dowcip jest odprężający. Przebija balon, daje chociaż krótkotrwałą ulgę.

Michalska wcale nie musi pędzić do zwodniczego i kapryśnego świata. Świat przychodzi do niej. W całym swym bogactwie i urozmaiceniach, niespodziankach. Ptaki przemieszczają się w swoich wędrówkach, dzikie kaczki i gęsi, żurawie. W kluczach, głośno, z klangorem. Odlatują i wracają bociany na pobliskie gniazdo. Pierzą się literaci na łące, orzeł przysiadł na słupie. Łoś po przechadzce tkwi za płotem, a archeolodzy na polu. Autorka napisała kiedyś tekst o pobliskiej, dawnej, gwarnej drodze, szlaku:

*Tu, gdzie stoi mój dom
biegła kiedyś droga
obrosła pokrzywą bylicą
i mniejszym zielskiem bez imienia (...)*

¹⁰ *Małe miasta: duchowość pozakanoniczna* pod red. M. Zemły, Białystok 2020, s. 420.

¹¹ Tamże, s. 419.

¹² E. Michalska, *Szafa*, [w:] *Wsio*, op. cit., s. 42.

¹³ E. Michalska, *Myszy*, [w:] *Tu jest tu...*, op. cit., s. 15-16.

¹⁴ E. Michalska, *Różyczki z ligniny*, [w:] *Naszyjnik z grązeli*, op. cit., s. 8.

¹⁵ E. Michalska, *Tracowiny...*, op. cit., s. 39.

*Czasem w bardzo ciche lato widzi się ludzi
co sto albo i więcej lat spieszyli tędy na tartak
Żyd pokrzykuje szmaty szmaty
a jego konik złoty jest od potu
rybak wiąże sieci i podśpiewuje
„Wojenko, wojenko, cóżeś ty za bladź”
piosenka rybaka leci za nami i chowa się pod ziemię
będzie tam czekać jeszcze wiele lat
na suche palce etnografa¹⁶*

Na wydzierżawianym przez Michalską polu, hej, tam na drugim końcu tęczy, znalazł się niespodziewanie gliniany garnek ze skarbem. Przemieszczanie się warstw gleby, zmiany, erozja, opady i orka wyrzuciły na powierzchnię po ponad 900 latach starodawne monety. Zabłyszczały w słońcu. Przypadkiem zauważył tę prowokację przechodzień nad rzeką. W ziemi tkwił zbiór 230 srebrnych, rozmaitych, nie tylko polskich z epoki pierwszych Piastów i formowania się państwa, monet z wczesnego średniowiecza, schyłku X i pocz. XI w. (w tym dopiero trzeci, znany z owej odmiany egzemplarz denara Bolesława Chrobrego, także pieniądz Ottona I i II, Beli I oraz tzw. srebrne placki i komplet metalowych odważników w koszulkach z brązu – zupełny unikat). Znalezisko prawdziwie rozpalające wyobraźnię. Może to zagrożony przez zbójców lub ranny, niedomagający, chory kupiec nocujący nad Narwią schował swoje profity i już ich nie zdołał wydobyć? Na pole opadli archeolodzy, wzniesli profesjonalne ogrodzenia i rozpoczęli prace. Z entuzjazmem i radością wykopali skarb i unieśli go do Muzeum Historycznego w Białymstoku w celu oczyszczenia, przebadania i inwentaryzacji. Po zakończeniu procedur, 16 listopada 2016 r. w Pałacyku Cytronów przy ul. Warszawskiej 37 z udziałem prelegentów i zaproszonych gości uroczystie otwarto wystawę „Skarb ze Złotorii: niezwykle znalezisko – unikatowe monety”.

Przygody, prace archeologów, stale ponawiane wędrowki historyków i etnografów (w niedalekim Jeżewie miał swoją główną siedzibę Zygmunt Gloger, do 1859 r. rodzina mieszkała m.in. i w Złotorii, dawniej Złotoryi), pobliska twierdza – Tykocin, arsenał Rzeczypospolitej i miasto. Szlak wodny, spływ, droga wzdłuż karmiącej,

świętej rzeki. Wzdłuż Narwi. Teraz, po doświadczeniach pandemii, zamknięci, stłoczeni w swoich betonowych, miejskich klitkach – klatkach, miniaturowych mieszkankach, jak niespodziewanie mogliśmy pozazdrościć ludziom mogącym po prostu bez zagrożenia, bezkarnie wziąć, złapać oddech, powietrze. Wyjść, przejść się po sadzie, nad rzeką. Jakież to nagle był luksus i szczęście. Jak zaczęło się to doceniać. Oczywiście do czasu. Gdyż następuje nieubłagana zima i trzeba wrócić z podwórza. W domu zaś bezwzględny, prozaiczny waźniak – piec domaga się nieustannej, całopalnej, kosztownej ofiary dla ognia¹⁷ („Pierwszy maja, kogut pieje / – No i dobra w kanciapie nie ma już / Ani jednego kawałka węgla¹⁸”). W dodatku dymi:

*Dwie Królowny – Stare Panny
siedzą na schodach
swego drewnianego palacu
i dumają jak rozwiązać
problem grzewczy na nadchodzącą zimę.
– Co z opalem Rozamundo?
– Hortensjo, ja planuję umrzeć.
W Królestwie Niebieskim
jak powszechnie wiadomo
temperatura dobowo nigdy nie spada
poniżej dwudziestu pięciu stopni,
tak czy siak będę miała ciepło
w ręce, nogi i przydatki.
– A ja planuję wyjść za mąż za księcia Teodora.*

*Niestety, ziścił się najgorszy scenariusz –
śmierć nie nadciąga,
książę Teodor zapukał
odmrożonym palcem do serca służącej.
Rozamundo, Hortensjo, widzicie? (...)¹⁹*

Elżbieta Michalska na żadnym polu nie spełnia stereotypowych oczekiwań, sztancy, sztampy. Co każe się też wyprostować, z godnością nosić swoją rolę miejscowego odmieńca. Michalska od zawsze szukająca ujścia dla swej energii, w nieustannej grze z wyobraźnią, także plastyczną, z monotonią, przekształcająca, przerabiająca rzeczywistość,

¹⁶ E. Michalska, *Droga*, [w:] *Tu jest tu...*, op. cit., s. 21.

¹⁷ Zob. E. Michalska, *Powiadam wam, Zimno mi, Styczeń, Erotyk kamienny*, [w:] *Wsio*, op. cit., s. 29-32, 48.

¹⁸ E. Michalska, *Tracowiny...*, op. cit., s. 21.

¹⁹ E. Michalska, *Gorące serca, zimne dłonie*, [w:] *Dobra, dobra...*, op. cit., s. 19.

odrębna, obca, stała się ich obcą? Naszą obcą? Osadzoną właśnie „Tu”, nie należącą do „Tam”? Czy jest to jednak przedwczesny, zanadto optymistyczny scenariusz? Zresztą „Tam” Michalska raczej nie mogłaby zostać naszą obcą. Za wielkie terytorium, za dużo anonimowości i obojętności, nadęcia, wbrew pozorom gonitwy za blichtrzem, namiastką, obłudy. Marzenia za zwyczajnym, bezpiecznym życiem będą zawsze. Niezwyčajne jest trudniejsze, pełne innych wyzwań, strachu, nieproste. Każdy z nas jest odmienną

i odrębną, obcą wyspą. Wszyscy, jeśli mamy czas się nad tym zastanowić. Często nie umiemy, nie możemy wyrzezać z siebie wystarczającej siły i cierpliwości do drugiego. I w gruncie rzeczy bolejemy nad tym faktem. Udajemy i gramy. Nasze wyspy czasem się spotykają, nasi, swoi obcy. Piętrzą się i ścierają. Tworzą tymczasowe archipelagi. Wspólne i indywidualne znaki, którymi oznaczamy i ozdabiamy drogę.



fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

MAŁGORZATA DOBKOWSKA

– białostoczanka, poetka, bibliotekarz. Jej teksty prezentowane były m.in. w: „Okolicy Poetów”, „Studium”, „Kartkach”, „Kinie”, „Bibliotekarzu Podlaskim”, „Kontaktach”, antologiach (np. esperanto, litewskiej). Nagrodzona m.in. w: III Konkursie o Nagrodę Skrzydła Ikar, Katowice – Ostrawa 2000; I Ogólnopolskim Konkursie im. Anny Świrszczyńskiej, „Studium”, Kraków 1999; Konkursie na arkusz poetycki, „Kartki”, Białystok 2002; zdobyła Grand Prix w XI Ogólnopolskim Konkursie o Laur Klemensa Janickiego, Poznań 2003. Wyróżniona m.in. w IX Ogólnopolskim Konkursie o Laur Klemensa Janickiego, Poznań 2001. Jej debiut książkowy to tomik *Zatopione w słowach*, który ukazał się w 1999 roku. Nagrodę Literacką im. Wiesława Kazaneckiego otrzymała za tom następnym *Azymut* (2006). W 2015 roku ukazały się *Przełęcz* – kolaż wierszy i zdjęć wykonanych przez autorkę, a w 2018, nakładem Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku – tom *Dziki ogród*.

Elżbieta Michalska

Dywan

Czterdzieści lat.

Brązowy dywan w koniczynki
był łąką, gdzie pasły się nasze złudzenia.
Myślałam, że i moje dzieci nauczą się
na nim chodzić, ale ich kości
jak kostki domina rozsypały w nieistnieniu,
już nikt ich nie pozbiera, nikt ich nie podeprze.

Koniczynki szeptały pojednawczo:

– A tam, bierzesz do głowy,
jutro będzie gorsza bieda.

Na tym kwadracie z wątku i osnowy
istniało nasze małe i zależne
od innych mocarstw

państwo Michalskie, bądź co bądź
byliśmy trzyosobowym narodem.

Przecież mieliśmy kota, pojęcie i pretensje,
a to już naprawdę sporo.

Ojciec go przyniósł z poczty
i nim wszedł do domu,
babe na ulicy oskubały zaklejoną rulon.
Każda chciała zobaczyć co za чудо.

– Mamy dywan!

– Jaki?

– Ładny.

– Drogi?

– Bardzo drogi.

– Najładniejsze to perskie.

– Nasz nie z żadnej Persji, nasz aż z Łodzi.

Matka wzięła pożyczkę i kupiła.

– My też kupim.

– Wy gównu kupicie!...

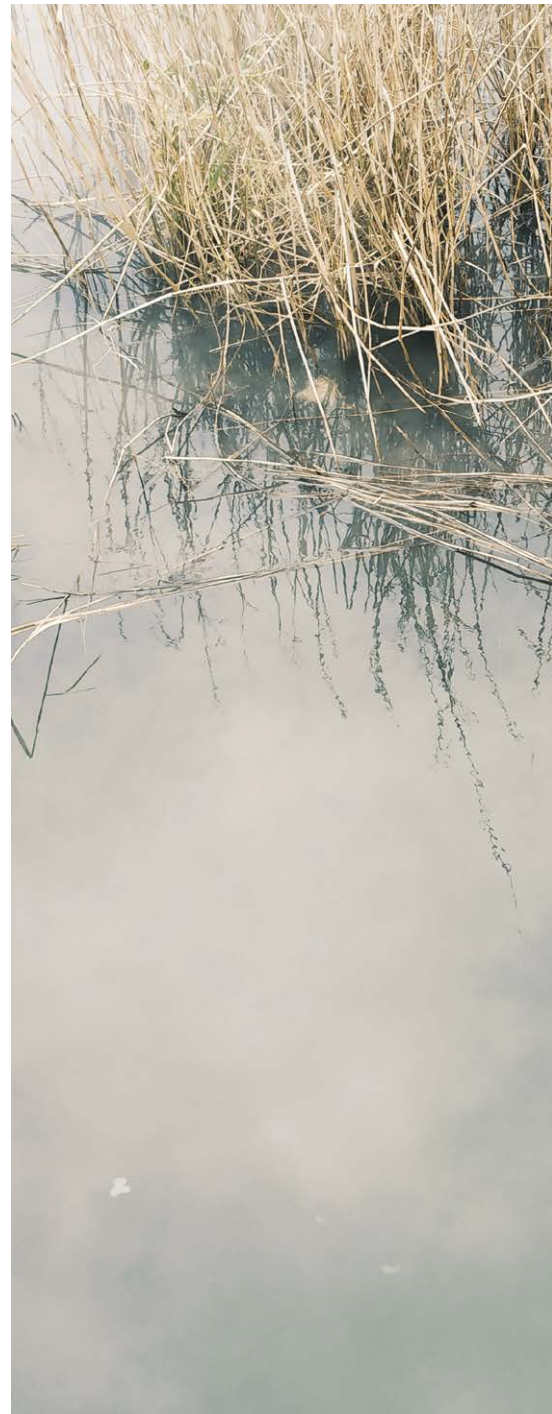
Różgowy dywan, tania meblościanka
ze szklaną rybą co połknęła słońce
(landzafit bez słońca, kto to widział?!)
i te kryształowe szklanki, których nigdy nie było okazji
używać, czekają. A nas już nie ma.
Odlecieliśmy szybując nad dachami Babilonu i Megiddo.
Rozrzucaliśmy Wiernym czterolistne koniczynki
na znak opamiętania.



Kołysanka dla Wacusia

Chciałam Ci zanucić kołysankę,
 mój Mały Męczenniku,
 bo nie potrafię zapomnieć domu,
 w którym śmierdziało chorymi ludziami.
 Tam mieszkali Święci, Celebryci Cierpienia.
 Jeleń na landszafcie wtórował im w lkaniiu,
 na komodzie dwa porcelanowe lwy
 (najprawdopodobniej przyniesione z getta) dodawały męstwa.
 Błaznane wiaderko z fekaliami,
 tatarak, piwonia, kadzidło,
 olejek rozlany.

Wszyscy chłopcy, jak to na wsi,
 mieli nowoczesne imiona:
 Andrzej, Krzysiek, Robert, Leszek,
 a Ty na przekór modom i sezonom
 Wacek.
 A potem srebrna trumienka.
 Czarne żyły – rzeki piękniejsze od Narwi
 na pięcioletnich rączkach topielca.
 Jaśmin na całym świecie kwitnie
 tylko dla Ciebie w ten czerwcowy wieczór.
 Obok trumienki, w pudełku, kotka karmi kocięta,
 mrużąc radość macierzyństwa.
 Twoja Matka już nie ma siły płakać,
 dopiero po tygodniu Święty Antoni pomógł
 odnaleźć w grzędawisku zwłoki.
 Święty Antoni z Padwy,
 Święty Antoni z Niewodnicy,
 Święty Antoni z gliny i złudzenia
 pomóż nam się odnaleźć po latach.
 Na zawsze już pozostaniemy dziećmi,
 czytać będziemy strupy na nogach,
 pisać na zamarzniętych szybach
 listy do samego Boga.





fot. Inga Seliverstova / Pexels

Przekwitanie

Czytam łąkę. Znowu
napisałeś do mnie ziołami.
Piszesz, że nie masz czym palić w sercu
i że sumienie wygryzło ci wielką dziurę w butcie,
jak skończy się życie, to mnie odwiedzisz.
Tymczasem mam być wierna i spokojna.
Koniczyna, maruna, wiekiutki i cykorcia...
Ile motyli, tyle pocałunków,
ile kropel rosy, tyle zapańczenia.
Siedzę na miedzy i nie należę do nikogo,
miedza to moje miejsce,
chwasty to nasze rajske ogrody,
kępa ostów milczy na całe gardło
– On kłamie!

ELŻBIETA MICHALSKA

– urodzona w 1971 r. Mieszka w rodzinnej Złotorii na Podlasiu. Publikowała m.in. w tomiku Poczty Literackiej Radia Białostok, a także w „Tytule”, „Zeszytach Literackich”, „Kartkach”, „Kwartalniku Artystycznym”, „Pro Arte”. Laureatka wielu nagród i wyróżnień, m.in. II nagrody w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Haliny Poświatowskiej, (1992), Nagrody Literackiej im. Wiesława Kazaneckiego za tomik *Tu jest tu, tam jest tam*. Ilustrowała teksty swoje i innych, m.in. Czesława Miłosza czy Janusza Koronkiewicza. Miała wystawy plastyczne w Legnicy, Bydgoszczy, Białymstoku, Chełmku, Choroszczy. Jest bohaterką dokumentalnego filmu Andrzeja Miłosza i Anny Kowalskiej pt. „Takie ze mnie dziwadło” z 1998 r. Wydała: *Tu jest tu, tam jest tam* (1999), *Naszujnik z grąźeli* (2001), *Tracowiny* [haiku] (2001), *Wsio* (2009), *Za stodołą* (2015), *Dobra, dobra...* (2019).

Ścieżkę „na Parnas” każdy musi okupić własnym doświadczeniem...

– z Krystyną Konecką rozmawia Justyna Sawczuk



foto. Justyna Sawczuk

Justyna Sawczuk: 50 lat pracy twórczej – brzmi dumnie. Czuje Pani dumę, patrząc na swój dorobek? A może towarzyszą Pani inne uczucia?

Krystyna Konecka: Takiego uczucia jak duma nie odczuwam w żadnym wypadku. Dumny jest na pewno inny jubilat z tego samego maja 1972 roku – Polskie Linie Lotnicze LOT, których samolot właśnie wtedy wykonał swój pierwszy rejs poprzez ocean na, największe podówczas na świecie, lotnisko w Chicago, a teraz na tej trasie lata rocznie blisko 200 tysięcy pasażerów. Czytałam o tym sukcesie – z dumą. Moje osiągnięcia są niewielkie, zwłaszcza w porównaniu do wielu ludzi pióra w kraju i w naszym województwie. Na pewno odczuwam jednak satysfakcję, że było mi dane doczekać

takiego jubileuszu, że znalazłam właściwą dla siebie formę poetycką, jaką jest sonet, w którym czuję się dotąd najbezpieczniej. Że ta poezja znajduje czytelników oraz życzliwość krytyków. Teraz – jest to też odrobina radości, i wzruszenie, że Książnica Podlaska, z którą czuję się związana od ponad 40 lat, wydała właśnie moją książkę oraz wspaniale zorganizowała w swoich murach to moje literackie święto, za co pragnę wyrazić wdzięczność.

Jak zmieniła się Pani twórczość na przestrzeni tych 50 lat?

Zawsze, zapewne podświadomie, odczuwałam muzykę klasycznych form wiersza. Podejmując już pierwsze próby

liryczne, na długo przed debiutem prasowym, wiązałam je z wewnętrznym poczuciem rytmu i rytmu, zapewne także pod wpływem książek poetyckich, którymi się zaczytywałam, zwłaszcza z okresu, kiedy mowa wiązana była rzeczywiście „wiązana” wszelkimi regułami. Debiutancki, niestrofowy wiersz pt. *Dedykacja* (zadedykowany reżyserowi Kazimierzowi Kutzowi), jaki pojawił się w maju 1972 roku na łamach katowickich „Poglądów” był konsekwencją tych sympatii. Podobnie zrytmizowany, coraz bardziej świadomy był też wiersz *Narodziny*, który mimo rymowanej formy otrzymał III nagrodę w ogólnopolskim konkursie na wiersz o Warszawie w 1974 roku.

Nieco później zmierzyłam się z formą sonetu, a w roku 1977 napisałam cykl 14 sonetów, powiązanych ze sobą pierwszymi i ostatnimi wersami. Pierwszy powstał w drodze do domu, kiedy wracałam wieczorem z katowickiej drukarni po dyżurze przy powstawaniu numeru mojego tygodnika „Echo” w Tychach (gdzie podjęłam pracę w zasadzie równocześnie z debiutem poetyckim). Dlatego pierwszy wers pierwszego sonetu w pierwszej książce poetyckiej to: „W wieczornym autobusie zamilknę o wszystkim”. Ta książka, raczej książeczka pt. *Sonet codzienne* ukazała się w 1978 r. w tzw. czarnej serii Związku Literatów Polskich w Katowicach na pakowym papierze.

Od tej debiutanckiej publikacji do wydanej w roku 2020 w Kanadzie – cyklu „sonetti a corona” pt. *Kruchość* – upłynęła niepostrzeżenie epoka. Nigdy przez te lata nie wydałam książki z innymi niż sonety, wierszami, próbując tylko mierzyć się z odmianami sonetu petrarkowskiego czy szekspirowskiego. Jeżeli mówić o zmianach w mojej twórczości, to wiążą się one z tematyką sonetów. Ale to przynoszą przygody życia, podróże, doświadczenia losu.

A czy na przestrzeni tych lat, gdy Pani tworzy, zmienił się odbiór poezji wśród czytelników i jej miejsce na literackiej mapie Polski?

Nie zajmuję się przekrojową analizą poetyckich zjawisk w kraju, mogę powiedzieć o tym raczej w oparciu o własne doświadczenia, nagromadzone podczas wieloletniego uczestnictwa w takich imprezach jak Warszawska Jesień Poezji, Międzynarodowy Listopad Poetycki w Poznaniu,

Festiwal Poezji Słowiańskiej, czy Międzynarodowa Galicyjska Jesień Literacka. Dawna kameralność spotkań z poezją, także śpiewaną, w przeróżnych piwnicach (nie tylko w krakowskiej „Pod Baranami”, czy w stołecznej „Starej Prochowni”) pozwalała uczestnikom na bardziej osobisty, intymny kontakt z nastrojem i przesłaniem wiersza. Przez cały wiek XX stopniowo zmieniały się konstrukcje poetyckie, aż znakomity poeta i krytyk literacki Andrzej

Krzysztof Waśkiewicz określił je jako „powszechna bylejąkość formalna”.

Zmieniła się też, za sprawą internetu, dostępność do słowa, do litery: wprawdzie w wielu księgarniach znikają regały z książkami poetyckimi (a nawet całe księgarnie), o czym wspominałam kilka lat temu

podczas sejmiku poetyckiego w Książnicy Podlaskiej, za to na przeróżnych portalach i blogach autorzy publikują, a czytelnicy czytają w sposób nieograniczony wszystko to, co pojawia się pod wspólnym mianem poezji. Jej promocji służą też niezliczone konkursy poetyckie, organizowane przez placówki kultury i przeróżne fundacje oraz ich rezultaty – antologie, almanachy i florilegia, powstające również jako wizytówki imprez literackich.

Sama nie mam strony czy bloga, ale praktyczne uwagi znajomych w rodzaju „nie jesteś na Facebooku – nie istnieje” jakoś mnie nie przekonały. Zapewne z powodu braku odwagi do publicznych konfrontacji z innymi poetami, także takich jak coraz powszechniejszy slam, którego uczestników podziwiam – za chęci i umiejętność prezentacji własnej twórczości przy pomocy różnorodnych narzędzi wizualno-werbalno-akustycznych.

To niewątpliwie także kwestia mojego „signum temporis”, że nie przemawia do mnie rapowanie słowa lirycznego. Czy ta, również bardzo powszechna forma, rzeczywiście niesie przesłanie tekstu do słuchacza? W 2016 roku, podczas obchodów w Stratfordzie 400. rocznicy śmierci Williama Szekspira (jednego z moich mistrzów), słuchaliśmy trwającego przez 5 godzin nocnego maratonu rapowania wszystkich jego 154 sonetów. Prezentował je ciemnoskóry artysta Devon Glover – Sonnet Man. Wszystkim z zapytanych osób (które wiedziały, że to o miłości) performance podobał się, bo nastrój itd., ale nikt nie potrafił przytoczyć konkretnych słów.

*Zawsze,
zapewne podświadomie,
odczuwałam muzykę
klasycznych form wiersza.*

Sonet, pogardzany przez przeciwników form klasycyzujących, jednak pojawia się znowu, podobnie jak poemat czy fraszka. Bo z literaturą i sztuką bywa tak jak z modą tekstylną: wszystko już było, więc dlaczego nie sięgać do tego, co sprawdzone. Podczas tegorocznego Światowego Dnia Poezji sonet został szczególnie, bardzo obszernie uhonorowany na łamach periodyku „POEZJA dzisiaj” przez redaktora naczelnego, Aleksandra Nawrockiego. Miałam zaszczyt uczestniczyć w przygotowaniach wizualnych do, organizowanego pod egidą pisma przez poetę Pawła Krupkę, specjalnego projektu wizualno-muzycznego z sonetami oraz uczestnictwa w nim, z udziałem muzyków i aktorów, na początku kwietnia w stołecznym Domu Polonii. Rozszerzony program prezentowaliśmy (bez rywalizacji) w dniu 8 czerwca w Międzypokoleniowej Klubokawiarni warszawskiego Domu Kultury „Śródmieście” pn. „Sonety dawne i nowe z Polski i innych krajów Europy”. Byłam wzruszona frekwencją na tym, blisko dwugodzinnym spotkaniu, serdecznym przyjęciem nas przez gospodarzy oraz wieloma profesjonalnymi, miłymi wypowiedziami publiczności na temat naszej prezentacji.

Ilość „okołopoetyckich” aktywności, o których Pani wspomina, sugeruje że ludzie chcą czytać poezję, znajdując przy tym nowe formy jej prezentacji i interpretacji. To ciekawe, bo moje doświadczenia wskazują, że poezja jest „produktem” niszowym. Mam wręcz wrażenie, że ta łatwość pokazania swej twórczości światu za pośrednictwem internetu, sprawiła, że więcej jest (często samozwańczych) poetów aniżeli czytelników łaknących kontaktu z liryką.

Ależ ma Pani rację: poezja zawsze była, jest, i chyba pozostanie „produktem” niszowym. To bardzo szczególna forma twórczości człowieka, od autora wymagająca rozległej wiedzy o języku i świecie. Także – samowiedzy, umiejętności precyzowania myśli, przy czym angażująca w ogromnym stopniu emocje piszącego, jak chyba żadna inna działalność twórcza. Do tego – niegdyś poeta musiał podporządkowywać się „reżimowi” przeróżnych reguł i zasad wersyfikacyjnych, co odróżniało wiersz od prozy. Zatem musiał być naznaczony tym „darem bożym”, żeby go poezja była poezją.

*(..) poezja
zawsze była, jest,
i chyba pozostanie
„produktem” niszowym.*

Rozprężenie formalne sprawiło, że obecnie trzeba dysponować szczególnymi predyspozycjami, żeby napisany wiersz wolny, wiersz biały niósł w sobie jakieś przesłanie uniwersalne, trafiające do czytelnika. „By żyć w ludziach”, jak to celnie zdefiniował w 1985 r. redaktor naczelny „Poezji”, Bohdan Drozdowski.

Tymczasem obecnie, w epoce internetu i kultury obrazkowej, można być poetą nie trzymając się żadnych zasad, za to prezentując dowolny „produkt” wyobraźni, prozę poetycką (to jeszcze znakomicie), czy w ogóle – prozę rozczłonkowaną na kilkanaście pozbawionych logiki wersów, za to opatrzoną intrygującą ilustracją. Wspomniany redaktor Drozdowski stwierdził także, iż „Łatwizna wolnego wiersza sprawia, że każdy (...) może pisać »wiersze«, więcej – on nawet musi pisać »wiersze«, gdyż uważa, że pisząc »wiersze« staje się kimś więcej, niż gdyby wierszy nie pisał, choć powiększenie nicości jest niemożliwe... A jednak często bywało, i bywa, że „wiersze” otrzymują wysoką ocenę kolegów – recenzentów, jak to doskonale przed wieloma laty sprecyzował w swoich strofach *W obronie wiersza* Leopold Staff:

*Gdy modny belkot snobistycznej blagi
Krytyk zaciemnia kadzidlany dymem,
Doszło do tego, że aktem odwagi
Jest wiersz napisać z rytmem, sensem, rymem.*

Na zupełnie przeciwnym biegunie istnieje poezja współczesna najwyższej próby, także w naszym regionie, a nazwiska poetów, ich książki, spotkania na forum krajowym, recenzje i komentarze, oraz to, co najlepsze w tradycji, gromadzi i prezentuje od lat, poza internetem, Zbigniew Fałtynowicz w kwartalniku „KRONIKI według Muzeum Marii Konopnickiej w Suwałkach”.

Mimo wszystko – „czytelnicy łaknący kontaktu z liryką” jednak gdzieś istnieją. Mogę to potwierdzić wieloletnimi doświadczeniami – że wrócę na własne podwórko. Zarówno podczas spotkań autorskich w licznych placówkach kultury w Białymstoku, jak również w Warszawie, Augustowie, Krakowie, bibliotece w Zakopanem, w Domu Mehoffera w Krakowie, w klubie fińskim w Porvoo czy w angielskim Bristolu zawsze

spotykało się liczne grono słuchaczy. Radość z ich obecności, możliwość dzielenia się z nimi tajemnicą poezji, przez te wszystkie lata mieszła się jednak z uczuciem tremy jak przed maturą, i tak pozostało do dzisiaj...

Mając wiedzę i doświadczenie, zdobyte podczas 50 lat pracy twórczej, co dziś powiedziałaby Pani Krysi Koneckiej, będącej na początku swojej literackiej drogi? Jakie wskazówki by jej Pani dała, przed czym przestrzegła?

Tej młodej, tej małej z pierwszych lat pisania, chciałabym w jakiś sposób wyrazić uznanie, a nawet podziw, że w bardzo trudnych, naznaczonych traumą latach adolescencji, odnalazła swój azyl w książkach. Obchodzący właśnie 100 rocznicę urodzin prof. Aleksander Krawczuk przypomniał w krakowskim wywiadzie zasadę: „...nie zmieniać lekkomyślnie miejsca swojego pobytu ani adresu zamieszkania”. Ale co mogła, osierocona przez ukochanego ojca, nastolatka z rozbitej, niemal dysfunkcyjnej rodziny, przemieszczającej się co kilka lat z miasta do miasta, i z mieszkania do mieszkania, gdzie nigdy nie miała własnego kąta? Mogła tyle, że – podlegając przeróżnym opresjom, ograniczeniom, karom za nic, samotności – sama znalazła remedium: zbudowała swój wspañiały, bogaty świat wyobraźni oparty na literaturze, sięgając także po pozycje dla dorosłych, z najwyższej półki. Dotychczas zdumiewają mnie jej wczesne zainteresowania poetyckie, z których zrodziła się taka niecodzienna,

[Poezja]
*To bardzo szczególna
 forma twórczości człowieka,
 od autora wymagająca
 rozległej wiedzy o języku
 i świecie. Także – samowiedzy,
 umiejętności precyzowania
 myśli, przy czym angażująca
 w ogromnym stopniu emocje
 piszącego, jak chyba żadna
 inna działalność twórcza.*

przecież trudna, droga twórcza. Wprawdzie pisarka Zofia Kossak-Szatkowska stwierdziła, że „samotność jest największym i najbardziej koniecznym luksusem w życiu”, ale nie ona powinna prowadzić dziecko do dorosłości i życiowych wyborów, bo taka ścieżka pozostaje w biografii jak niezatarta blizna...

Jeżeli chodzi o jakiegokolwiek wskazówki, a zwłaszcza przestrogi dla tamtej, podejmującej pierwsze próby, to i wtedy było, i teraz jest, jak sądzę, podobnie.

Przepaść międzypokoleniowa zawsze rodziła opozycję młodych wobec starszych, teraz „dziadersów”, „boomerów”. Na poletku literackim widać było wszelkie antagonizmy, wyrażane publicznie, często obraźliwie. W życiu prywatnym, osobistym jest nie inaczej. Ci, którzy zaprzeczają, należą do wyjątków. Już widzę, jak niejaka „Krysią” wysłuchuje z uwagą ostrzeżeń czy napomnień jakiejś „ciotki rewolucji”. Nie, ona na pewno nie. Dlatego zawsze szła własną drogą, potykając się, przewracając i rozbijając do krwi twarz – jak niegdyś przez niewidoczny drut, rozciągnięty przez bezmyślnych kretyków (którzy istnieją – obok przyjaciół – w rzeczywistości, niezależnie od wieku). Może to zbyt drastyczna, jakże niepoetyczna, metafora, ale tak się dzieje także w naszym ulotnym świecie Muz: po prostu – własną ścieżkę „na Parnas” każdy musi okupić własnym doświadczeniem...

Dziękuję za rozmowę.

Krystyna Konecka

Znikanie

Znów – często – coraz częściej – pod pętli nawisem
odbywam, jak monodram, z masek rozebrana
dialog z minionym. Skąd tu dobiega nad ranem
szepc w tonach requiem. Kto jest ze mną. Ty? Czy nicość.

Selekcja księgozbioru świtem. Niech księżyc
oko nie dojrzy tomów myszom darowanych.
Stopklatek codzienności rozliczanie. Zmiany
w maskę rafaelskich do niedawna rysów.

Resetowanie wspomnień. Drogim spadkożercom
nic po nich. Więc odfruną wraz z szyderstwem wiatru.
Gwałtowny przypływ ciemnej krwi odetnie serce.

W tym prześmiesznym spektaklu z proscenium teatru
schodzimy maska w maskę. Ostrożnie, kochanie.
Przed nami najtrudniejsza z trudnych ról. Znikanie.

Dlaczego sonet

Pytasz, dlaczego sonet. Rytm. Średniówki. Rymy.
Sonetti a corona... Po co szukam w słowie
muzycznej analogii dźwięków. Co mnie trzyma
przy tych czternastu wersach do znudzenia? Powiem.

Zbieram sto osiemdziesiąt dwie sylaby w całość
w rymach naprzemianległych i okalających.
Potykam się o sensory. Żeby powięzły
niezdyscyplinowanych wersów koniec z końcem.

Nie ogarnę ogromu świata w tetrastychach
i nie poddam refleksji w tercynach chwilowych
czy w dystychu. Potrafię hibernować cicho

jak mysz pod miotłą. Jednak gdy eksplozja w głowie,
gdy w fazie weny frazy bezrymowe mamia,
sama świadomość formy wystarcza. Że mam ją.

Modlitwa

Zdarzyłam się bezgłośnie. Myślałeś, że kamień.
Zapomniałeś. A czas – nie. Ciął mój los jak brzytwa.
Ileż razy słowami nieznaney modlitwy
szeptałam, byś nie rzucił mną o ziemię, Panie.
Jak więc przez bagna, morza, przez ogień i chmury
przebrnęłam? Jak w ciemnościach rozpoznałam miłość?
I to, co zwań sukcesem? Strwożona prosiłam
niebo nocą – nie podnoś mnie, Panie, do góry.
Mam dla siebie samotność o świcie. I chwilę
na westchnienie nad światem, z którym coś się stało
niewyobrażalnego, o czym nie wiedziałam.
Nie wiem, gdzie teraz jesteś. Czy obok? Więc tylko
proszę, proszę, nim los mój zamieni się w śnienie
– nie podnoś mnie do góry. Nie rzucaj o ziemię...

Wiersze z tomu *Znikanie* (Białystok 2022)

KRYSTYNA KONECKA

– urodziła się 23.10.1945 r. w Dobiegniewie (woj. lubuskie) w rodzinie repatriantów z Wileńszczyzny. Absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Warszawskim i podyplomowego Studium Kulturalno-Oświatowego na Uniwersytecie Śląskim. Poetka i dziennikarka, eseistka, reportażystka (pracowała w tygodniku „Echo” w Tychach, następnie była zastępcą redaktora naczelnego w miesięczniku reportażu „Kontrasty” i „Gazecie Współczesnej” w Białymstoku). Współpracuje z czasopismami w kraju oraz e-Dwutygodnikiem Literacko-Artystycznym *Pisarze.pl*. Zajmuje się też fotografią, dokumentuje tematy i środowiska literackie, publikując zdjęcia w prasie, książkach i prezentując je na ekspozycjach w kraju i za granicą. Należy do Związku Literatów Polskich, Oddział w Warszawie.

Debiutowała wierszem *Dedykacja* w maju 1972 r. w dwutygodniku społeczno-kulturalnym „Poglądy” w Katowicach. W poezji preferuje sonety (w tym sonetti a corona), jest autorką kilkunastu książek poetyckich – od debiutanckich *Sonetów codziennych* (1978) po ostatnie: wybór *Koneksje / Connection* (2015), *Bard ze Stratfordu. Mapa sonetów / Bard from Stratford. Map of Sonnets* (2016), *Ultima Thule. Głosy Islandii / Voices of Iceland* (2017), *Zwierciadło Marii Stuart / Mary Stuart’s Mirror* (2020) – wszystkie w tłumaczeniu Ewy Sherman oraz *Kruchość. Sonetti a corona* (2020) i *Znikanie* (2022). Jej wiersze znajdują się w polskich oraz zagranicznych czasopismach, antologiach i na portalach (m.in. w Czechach, Indiach i Korei Południowej, na Litwie, w Rosji, na Ukrainie, w USA i Wielkiej Brytanii oraz we Włoszech). Wydała też dwie książki reportażowe z podróży po Półwyspie Koreańskim. W 2018 r. została „Poetką Listopada” amerykańskiego czasopisma „The Year of the Poet”. Za dokonania twórcze otrzymała wysokie oceny krytyków oraz liczne nagrody. Uczestniczy w międzynarodowych festiwalach literackich. Od wielu lat pasjonuje się postacią i dziełem Williama Szekspira, wędrując śladami barda po Wielkiej Brytanii. Jej tom sonetów pt. *Ogrody Szekspira*, wraz z przekładami Ewy Sherman, został włączony do zbiorów bibliotecznych The Shakespeare Centre w Stratford-upon-Avon.

Należy do Anglo-Polish Society of the West of England. Przewodniczy gremiom jurorów ogólnopolskich konkursów poetyckich. Jest członkiem Literackiej Rady Redakcyjnej serii „Białostocka kolekcja filologiczna” przy Instytucie Filologicznym Uniwersytetu w Białymstoku.

Barbara Ezman



Stała na peronie. Jakaś mała stacyjka. Pusto.

– Widzi pani tę hałdę piasku?

Pytanie było zadane lekko, od niechcenia. Spojrzała. Jakies dwa metry od niej stał mężczyzna w okularach i zniszczonym ubraniu. Zmierzyła go od góry do dołu. „Jest bez butów” – zarejestrowała – „Stoi bez butów...”

– Widzę... – odpowiedziała.

– Ciekawe, kto tu ją przywiózł... A widzi pani ten las?

– Tak widzę...

– Wie pani... Mam ochotę iść na grzyby... I potem położyć się na tej hałdzie...

– To chyba pan zmęczony?

– Ale jest zimno...

– To prawda...

Nastala chwila milczenia. Słysząc było odległe śpiewy ptaków. Dźwięk samochodów i turkot nadjeżdżającego pociągu.

– Ciekawe, czy to słowik, czy wróble? Słyszysz pani, jak śpiewają?

Słyszała. Słyszała i widziała. Ten człowiek bez butów także widział i słyszał to, co działo się wokół. Początkowy lęk zastąpiło u niej zaciekawienie. Kim jest? Co tutaj robi? Dlaczego bez butów? Obuty człowiek może jest mniej wrażliwy. A ten... Ten czuje ziemię... Nie współczuła mu. Nie litowała się, tylko z nim rozmawiała. Poczucie odprężenia i lekkość rozlewały się po całym jej ciele. W istocie, można po prostu tak być.

Zwyczajnie. Naturalnie. Bez ambicji.

BARBARA EZMAN

– pisze od ponad 10 lat fraszki, wiersze i prozę poetycka, prowadzi stronę „Fraszkwonia, czyli Fraszki Baszki” na portalu Facebook; swoją twórczością dzieli się od niedawna, jej teksty ukazały się m.in. na łamach „Babińca Literackiego”, „Bezkresu”, „Akantu”, „Przestrzeni”. Na co dzień uczy języka polskiego. Pasjonują ją sny, morze, uważność i tango. Mieszka w Toruniu.

Maria Gładyszewska

Nazywam cię Irena



fot. Steve Johnson / Pexels

Był rok 1888. Teofila Chrudzimska niedawno urodziła. Niemowlę spało w kołysce zawinięte ciasno w pieluszkę, a troje starszych dzieci bawiło się w pokoju obok. Młoda mama popatrzyła na nie przez otwarte na oścież, dwuskrzydłowe drzwi. Dwóch synów i córka. „Chłopcom jest łatwiej” – pomyślała, kątem oka spoglądając na kołyskę. Rozważała wszystkie za i przeciw. Uważała się za rozsądną osobę. „To będzie dobre dla maleństwa” – dodała w myślach, oceniając skromniutkie wnętrza. Zachciało się jej, żeby to nowe stworzenie miało lepiej, bogaciej, bo Lucjan tak ciężko pracował i tak ubogo żyli. Marzyła o fortepianie, który został w domu rodzinnym. Bardzo lubiła grać. Jeszcze raz przypomniała sobie rozmowę z państwem K. Przyjechali kareta i zaproponowali, że wezmą małą na wychowanie. Dadzą jej wszystko jak córce, bo młoda pani nie mogła mieć dzieci. Szkoda, była taka piękna i miła. A ona ma już trójkę. I nie ma środków na wychowanie całej gromadki. Nie myślała, co powie Lucjan. Postanowiła,

że sama zdecyduje. Mieli przyjechać w południe. Spojrzała na zegar stojący na kredensie. To już. Dziecko nawet się nie obudziło, kiedy wzięła je w ramiona i wyniosła szybko na widok nadjeżdżającego powozu. Konie zarżały hamując, a niemowlę otworzyło oczy. Podala je bez słowa w wyciągnięte ręce i usłyszała: „Dziękuję”. Konie pociągnęły powóz dalej, do Łodzi, a ona weszła z powrotem do domu. O niczym nie myślała. Niczego nie czuła. Może trochę wzbierające piersi. Przyszło jej do głowy, że powinna ją nakarmić, ale tak się bała jej dotykać. Westchnęła głęboko.

Lucjan wrócił z pracy i przytulił ją mocno – w progu, jak zwykle. Z uśmiechem wręczył jej mały bukietek polnych kwiatów.

– To dla mojej dzielnej żony – powiedział, zdejmując marynarkę. A ona już brząkała talerzami, wystawiając wagę, nalewając do niej zupę.

– Jedz, proszę – uśmiechnęła się do niego.

– A jak tam maleństwo? Już wymyśliłaś imię dla naszej córeczki? – zapytał wesoło. Nie odpowiedziała. Zdziwiony jej milczeniem rozejrzął się w poszukiwaniu kołyski.
– Gdzie dziecko? – zapytał zdezorientowany.

– Jedz proszę, to wszystko ci opowiem – odpowiedziała cicho, siadając obok. – Trzy dni temu przyjechali tu z Łodzi, chcieli wziąć noworodka na wychowanie. Pani Elwira nie może mieć dzieci. Mała będzie miała dobre, bogate życie. Niczego jej nie zabraknie. I zgodziłam się. Dzisiaj ją zabrali – mówiła spokojnie, jak do dziecka, ale Lucjan zerwał się i w mgnieniu oka zrozumiała, że nie będzie tak jak sobie wymyśliła. Krzyknął:

– Jak to nie zabraknie?! To nasze dziecko! Dlaczego nic nie powiedziałaś? – i ruszył do niej z takim wyrazem twarzy, jakby chciał ją uderzyć. Przestraszyła się, ale tylko odchyliła się na krześle i patrzyła mu prosto w oczy. Lucjan nagle się opamiętał: – Wstań, kobieto, wstań – i wstała. – Jak wychowujemy trójkę, to wychowamy i czwórkę. Idź po dziecko i bez niego nie wracaj – zakończył i popchnął ją lekko w stronę drzwi. Patrzyła na niego zaskoczona. Nie takiej reakcji się spodziewała. Miał jej przytaknąć, pochwalić pomysł. A on całym ciałem kierował ją do wyjścia, zaganiając jak kurczaka. – Nie wracaj bez dziecka – powiedział spokojnie, ale wiedziała, że nie żartuje. Złapała chustę i wybiegła.

Z Brzezin do Łodzi było... 20 kilometrów. Szła szybko, układając w głowie dzisiejszy dzień. Myślała, że dobrze zrobiła. Stawiała krok za krokiem, a przebyte kilometry wypłukiwały z jej głowy cały misternie ułożony plan. Zostawała tylko ona, żalonna, wyrodna matka, która porzuciła własne dziecko. A jak Lucjan ją znienawidzi? Tak go kochała. Chciała mu ulżyć. Co zrobi bez niego? Podniosła głowę i rozejrzała się, powoli zapadał wieczór. A co jak nie będą chcieli jej oddać dziecka? Przerazenie wślizgnęło się do jej wnętrza i zacisnęło stalową obręcz w brzuchu. Zrobiło jej się słabo. Zwolniła trochę i zaczęła głębiej oddychać, żeby odsunąć mdłości. Znowu poczuła nabrzmiałe piersi. „Mam dużo pokarmu” – pomyślała i przyspieszyła kroku. Kolejne kilometry osypywały kurzem jej suknię. Włosy wysunęły się z koka, ale ona szła coraz szybciej, a na koniec prawie biegła przerażona, że brama będzie zamknięta i nikt jej nie otworzy. Ale brama była otwarta, w oknach paliło się światło, mimo późnej pory. Osunęła się na schody, żeby uspokoić szalejące serce. Po chwili wstała, otrzepała suknię i poprawiła

włosy. Przetarła spoconą twarz czystą stroną chustki. Zastukała kołatką. Usłyszała szcęk otwieranych drzwi i na progu stanął sam właściciel.

– Co się stało? – zapytał zdziwiony na jej widok. Zaniemówiła. Stali tak, patrząc jedno na drugie, aż znowu poczuła piersi i jednocześnie usłyszała płacz dziecka.

– Ja... – zaczęła – mam dużo mleka, może ją nakarmię? – zapytała. Zobaczyła nadchodzącą panią z dzieckiem – jej dzieckiem. – Płacze pewnie z głodu – starała się mówić normalnym głosem. – Mam dużo pokarmu, może ją nakarmię, proszę pani – poprosiła grzecznie i pochyliła się w niemym ukłonie. Pani zastanawiała się przez chwilę. Pan stał ciągle obok, patrząc pytająco na żonę.

– Dobrze, chodź na górę do pokoju – odezwała się w końcu. Teofila czuła, że ma tylko jedną szansę.

– Nie, po co wchodzić, tu na dole ją nakarmię, w kuchni, dziękuję pani – i już, ciągnąc za sobą kurz przebytych kilometrów, przepchnęła się obok pana i wyciągnęła ręce po dziecko. I znowu przygięła się w ukłonie przed ubraną w błyszczącą, piękną suknię panią. Bała się, że gdy spojrzy jej w oczy, ta zorientuje się, że chce zabrać dziecko. Nagle pan kichnął. Pani podała jej płaczące rozdzierająco maleństwo, już przebrane w koronki i hafty.

– Tędy, moja droga. Może to się dobrze składa, bo mamka jeszcze nie przyszła, a mała ciągle płacze. – Tuląc dziecko w ramionach szła w obstawie do pustej o tej porze kuchni. Tak jak myślała, było tu wyjście na zewnątrz. Usiadła niedaleko drzwi na ławie i zaczęła rozpinać suknię. Popatrzyła na pana ze skrepowaniem.

– A, tak – domyślił się i wyszedł.

Kiedy zaczęła cichutko mówić do maleństwa – uspokoiło się nagle i patrzyło na nią szeroko otwartymi oczami. Przystawiła je do piersi i poczuła ulgę dziecka, które zacisnęło łapczywie usta i zaciągnęło pokarm z absolutną pewnością, że tego pragnie najbardziej.

– Dlaczego właściwie przyszłaś? – zapytała nagle pani Elwira. Tym razem popatrzyła jej prosto w oczy.

– Nie mogę zostawić dziecka, proszę pani. Mąż mi nie pozwolił. Zabronił mi bez niej wracać – odpowiedziała. – Zaraz sobie pójdziemy, tylko oddam ubranko – pogłaskała delikatne koronki. – Jest naprawdę pięknie ubrana – zakończyła. Mała jadła łapczywie i w końcu zasnęła. Pani siedziała w milczeniu.

– Szkoda, niczego by jej nie brakowało. Możesz zatrzymać ubranko – powiedziała i wyszła. Teofila przerażona, że zaraz wróci z mężem i mężczyzna wyrwie jej dziecko siłą.

Niemalże zerwała koronkową sukienkę, odłożyła na stół, a maleństwo owinęła ciasno chustką i tuląc do siebie odzyskany skarb, wybiegła w noc. Usłyszała ciche dźwięki fortepianu. Znała tę melodię. To była „Sonata księżycowa” Beethovena. Oddalała się szybko, czujna na odgłosy pogoni, przerażona ewentualnym pościgiem, ale oprócz muzyki niczego nie słyszała. Szła więc wytrwale naprzód. Jeszcze raz zatrzymała się, by nakarmić dziecko. Noc była gwiazdzista i cicha. Było ciepło jak na październik. Zeszła z drogi na pastwisko, położyła się z dzieckiem i zdrzemnęła.

Do domu dotarła o świcie. Drzwi były otwarte, kolyśka przygotowana. Położyła w niej córeczkę. Czuli się tak, jakby urodziła ją po raz drugi. Teraz już świadoma własnego macierzyństwa. Miała w głowie imię: „Nazywam cię Irena, moja malutka Irena”. Odwróciła się, bo poczuła, że stoi za nią Lucjan.

– Nazywa się Irenka – powiedziała, jakby podjęli przerwana przed chwilą rozmowę.

MARIA GŁADYSZEWSKA

– urodzona w 1965 r. Z wykształcenia nauczycielka muzyki i oligofrenopedagog. Z zamiłowania obserwatorka przyrody, japońskich ogrodów i krajobrazów. Czasami po prostu musi pisać. Najczęściej „do szuflady”.



fot. Zofia Piłsiewicz

Karolina Żurawska

Gdy cię los rzuca w świat...

A wojna pochłaniała zasoby.

Wojna zabierała najlepszych ludzi.

Wojna była wyniszczająca.

/Dmitrij Gluchowski/

Przed domem, na dwóch drewnianych krzesłach, siedzieli dwóch braci. Dwóch starców z siwymi i mocno przerzedzonymi włosami, zniszczonymi twarzami oraz zgarbiionymi plecami. Z oddali wydawali się być zwykłymi starszymi panami, jakich często mija się na ulicy, mającymi za sobą spokojne życie i oczekującymi już tylko spokojnej śmierci. Ci mężczyźni byli jednak inni. Patrząc na nich, z jednej strony chciało się jak najszybciej odwrócić wzrok z uczuciem lekkiej odrazy i lęku, z drugiej było w nich coś magnetycznego, co sprawiało, że ludziom trudno było przejść obok nich obojętnie.

Ta sprzeczność była konsekwencją charakterystycznych cech ich wyglądu. Twarz siedzącego w cieniu Witolda oszpecona była, biegnącą od prawego policzka poprzez środek nosa i kończącą się nieznacznie nad lewym okiem, blizną. Sama w sobie może nie byłaby tak szpetna, gdyby nie siatka głębokich zmarszczek, pokrywających każdy centymetr skóry. Efekt był odrzucający, szczególnie dla dzieci nieprzyzwyczajonych do oglądania brzydoty i obcowania z nią. Każdy, kto na niego patrzył, widział człowieka, który został pokarany przez Boga. W oczach, koloru wzburzonego morza, kryło się coś hardego i niebezpiecznego.

Właścicielem takich samych oczu był Jan. Młodszy z braci także nie grzeszył pięknnością, ale, w przeciwieństwie do pogrążonego w cieniu brata, siedział w promieniach słońca, które nadawały jego twarzy łagodności. Jan na pierwszy rzut oka nie był oznaczony żadną skazą. Dopiero patrząc na jego lewą rękę można było zauważyć wiele małych, mocno zaczerwienionych szram, rozsianych od nadgarstka do łokcia, wyglądających jak pozostałości po ranach powstałych na skutek oparzenia. Nie był to miły widok. Ktoś, kto nawet przypadkowo dotknął ręki Jana w tym miejscu, szybko cofał swą dłoń z obrzydzeniem. Młodszy z braci mógł łatwo ukryć swój defekt, ale lato

z wysokimi temperaturami nie sprzyjało noszeniu długiego rękawa, więc jego brzydota również razila innych.

Witold i Jan, każdy patrząc w inną stronę, a przełotnie także na siebie, nie zauważali swego ohydztwa. Byli już w takim wieku, kiedy człowiek nie ma ochoty



na prowadzenie długich rozmów i dyskusji, pragnie posiedzieć z kimś w kojącej ciszy i spokoju. Dlatego obaj milczeli, wdychając w płuca świeże powietrze, obserwując biegające po podwórku dwa dobermany i szybujące po niebie ptaki.

Każdy z nich był osobną historią. Tym, co przeżyli i widzieli, czego doświadczyli i musieli dokonać, można byłoby obdarować kilku ludzi. Przyszli na świat u schyłku dziewiętnastego wieku w czasach królów, arystokracji i cesarzy, wraz z dwudziestym wiekiem dojrzewali i wchodziłi w dorosłość, słuchając nawoływań maluczkich o sprawiedliwość społeczną, zemstę na panach i świat bez podziałów. Wkłali się w wojny i rewolucje. Walczyli o przeżycie oraz o sprawy bliskie i dalsze swoim sercom. Widzieli, nieprzypominających ludzi, ocalałych z obozów koncentracyjnych. Dostosowywali się do życia w twardym

i pozbawionym sentymentów świecie, rozdartym zimną wojną. Czytali w gazetach o kolejnych żołnierzach, ginących w Korei, Algierii, Wietnamie. Widzieli brutalność, z jaką świat pozbywał się tych niewygodnych, nawołujących do spojrzania na słabszych i pokrzywdzonych przez los: braci Kennedych, Che Guevary, Martina Luthera Kinga.

Początkowo ścieżki ich życia szły jednym torem. Urodzili się w Kalinowie, pomagali rodzicom w gospodarstwie, bawili się z resztą rodzeństwa, uczyli się czytać i pisać oraz poznawali otaczający ich świat, wypełniony przyrodą i beztroską. Dojrzewali w miejscu, gdzie tylko sporadycznie docierały wieści z wielkiego świata.

Nadszedł jednak moment, gdy obaj musieli wziąć się z losem za bary. Przymusowy pobór do wojska carskiego rozdzielił ich nie tylko z rodziną, ale i ze sobą. Witold został skierowany w głąb Rosji, Jan miał więcej szczęścia – trafił do Petersburga. Ich życiem, jak i wielu innych chłopców, wstrząsnęła wieść o śmierci arcyksięcia Franciszka Ferdynanda w Sarajewie. Na świecie rozszalała się Wielka Wojna. Naprzeciwko siebie stanęły trony, armie, idee i ludzie.

Witold od razu trafił na front, walczył w Prusach Wschodnich przeciwko Niemcom. Został poważnie ranny i do czynnej służby po raz kolejny trafił dopiero w 1916 roku jako jeden z żołnierzy, biorących udział w ofensywie Aleksieja Brusilowa. W czasie walk na Wołyniu, odseparowany od towarzyszy broni, wpadł w ręce Austriaków i trafił do obozu jenieckiego. Wbrew pozorom uratowało go to przed zawieruchą, która pod koniec 1917 roku rozszalała się w Rosji. Doczekał tam zakończenia wojny. Jesienią 1918 roku wrócił do nowo powstałej niepodległej Polski. Wrócił do domu.

Nie zastał w nim jednak Jana, o którego losach od czasu wybuchu wojny nikt nic nie wiedział. Żyjąc w pewnym zawieszeniu, nie wiedząc, czy uznać brata za żywego czy martwego, wstąpił do Wojska Polskiego. Bił się pod Łomżą z bolszewikami, a po wszystkim podjął zmuśną pracę naprawiania i przywracania do normalności rodzinnego gospodarstwa. Ożenił się, został ojcem i powoli w jego życie zaczęła wkradać się monotonia. Wyblakły wspomnienia o zaginionym bracie. Nie interesował się polityką. Nie był z tych, którzy wieszczyli wybuch nowej wojny. Był przekonany, że po okropieństwach tej ostatniej ludzie ludziom już nigdy więcej nie zgotują



fot. Damiela Chan / Unsplash

podobnego losu. Jednak w 1939 roku człowiek znów wycełował broń w drugiego człowieka. Wiele rodzin zostało rozbitych. Europa i świat po raz kolejny broczyły krwią.

Wraz z rodziną był niemym obserwatorem ataku Niemców na Łomżę w początkach września, późniejszego przyjscia Rosjan i ich chaotycznej ucieczki na Wschód w wyniku marszu Adolfa Hitlera na ZSRR w czerwcu 1941 roku. Słyszał historie sąsiadów o zaginionych, zabranych i zabitych synach. Sam również był ojcem żołnierza, który walcząc w kampanii wrześniowej trafił do niemieckiej niewoli i słuch o nim zaginął. Nie mogąc znieść niepewności i bezczynności wyjechał do opanowanej przez niemieckiego okupanta Warszawy, licząc na to, że tam się czegoś dowie. Szybko przesiał duszącą zgrozą, panującą w stolicy, wszechobecnym strachem i przemocą. Jego próby poznania prawdy o losie syna okazały się bezowocne. Tak zastał go w Warszawie wybuch powstania, a on starał się ze wszystkich sił pomagać walczącym. Budował barykady, przynosił jedzenie, zdobywał amunicję. Po kapitulacji, mimo że nie był zaprzysiężonym członkiem podziemia, został aresztowany przez Niemców. Trafił później do obozu w Sachsenhausen. To właśnie tam wdał się w bójkę z jednym ze strażników, który ranił go nożem w twarz. Wolność odzyskał wiosną 1945 roku, gdy obóz wyzwolili żołnierze Ludowego Wojska Polskiego i Armii Czerwonej. Wrócił do domu. Tak samo jak w 1918 roku nikt nie wiedział, co się stało z jego bratem Janem, tak teraz, w 1945 roku na zawsze zaginiony pozostał jego syn.

Witold podjął drugą próbę ułożenia sobie na nowo życia. Oddał gospodarstwo w ręce młodszych, a sam powoli wycofał się na drugi plan. Nikomu nie powiedział, co widział, przeżył i czuł w oblężonej Warszawie i w tak wyczerpanym z nadziei i dobra miejscu jak Sachsenhausen.

Co się stało z Janem? Gdy wybuchła Wielka Wojna nie został skierowany na front, ale pozostał w Petersburgu, aby pilnować porządku w mieście. Sytuacja była bardzo napięta, na ulicach, w mieszkaniach i restauracjach wrzało. Górę nad ludźmi zaczęły brać hasła socjalistyczne i wołania o przywrócenie porządku społecznego w Rosji. O strącenie z piedestału panów i postawienie na ich miejscu robotników. Na stanowisku pozostał także po rewolucji lutowej w 1917 roku, ale po zwycięstwie bolszewików nie mógł już patrzeć z boku na to, co się dzieje. Czując się otoczonym ze wszystkich stron czerwoną nawałą i nie mając możliwości powrotu do domu, wstąpił do tworzonej przez Lwa

Trockiego, Armii Czerwonej. Z czasem zaczęły do niego przemawiać głoszone przez Lenina hasła sprawiedliwości i równości społecznej, ale widząc bratobójczą wojnę domową i metody, za pomocą których nowa władza wprowadzała zmiany, stracił wiarę w stworzenie idealnej ojczyzny proletariatu. Jednak, aby mieć większą szansę na przeżycie, dalej walczył w szeregach czerwonoarmistów. Brał udział w obronie Carycyna. Stykał się z bitną armią konną Siemiona Budionnego. Strzelał do stojących po przeciwnej stronie żołnierzy armii Denikina.

Stał się na wskroś rosyjski. Od kilku już lat w ogóle nie używał języka polskiego. Początkowo tęskno mu było do stron rodzinnych, pragnął powrócić do niepodległej Polski, lecz z czasem te uczucia wyblakły. Stał się, nawet jeśli nie ideowym bolszewikiem, to na pewno bardziej Rosjaninem aniżeli Polakiem.

Po zakończeniu wojny domowej i ugruntowaniu władzy przez komunistów, śmierci Lenina i dojściu do władzy Stalina, podjął próbę ułożenia sobie życia w Piotrogradzie. Ożenił się, został ojcem. Tylko czasami wracał myślami do Kalinowa, wspominając rodziców i rodzeństwo, a szczególnie brata Witolda. Co się z nim stało? Czy przeżył wojnę? Choć bez problemu mógł pojechać do Polski, nie miał odwagi. Nie chciał, aby rodzina i sąsiedzi widzieli w nim czerwonoarmistę i Rosjanina. Człowieka, który odrzucił polskość i przystał do tych, którzy w 1920 roku chcieli zrobić z Polski twór na wzór radziecki.

Dzięki temu, że trzymał się na uboczu, nie angażował się w politykę ani nie pozostał żołnierzem, Jan i jego rodzina w miarę bezpiecznie przeżyli wielką czystkę w latach 1936-1938. Mimo to stracił w wyniku tego ślepego terroru wielu znajomych. Zauważył, że niektórzy sąsiedzi i ludzie, których często mijał na ulicy, zniknęli, a ich imiona i nazwiska zostały okryte całunem zapomnienia.

Spokój Jana został zakłócony w 1939 roku wraz z agresją niemiecką, a później radziecką na Polskę. To wtedy, po wielu latach, poczuł wewnętrzny sprzeciw wobec postępowania swojej obecnej ojczyzny w stosunku do dawnych rodaków. Cudem uniknął uwięzienia w oblężonym przez Niemców Leningradzie, przebywając w chwili ich dojścia pod miasto, poza jego granicami. Blokada ta pochłonęła wiele istnień ludzkich, w tym jego żonę i dzieci. Nie wiedząc co ze sobą zrobić, chcąc uciec od wojny, która otaczała go ze wszystkich stron, postanowił wyjechać w głąb kraju. Za Ural. W drodze został pojmany przez Armię Czerwoną, która na gwałt potrzebowała żołnierzy. Uciekając przed

Niemcami, musiał teraz stanąć z nimi twarzą w twarz. Brał udział w ofensywie Rosjan na Zachód, maszerował przez Białoruś, Polskę i Niemcy, dochodząc aż do Berlina. W międzyczasie został ciężko poparzony w walkach pod Białymstokiem. Przez długi czas nie mógł się sprawnie posługiwać lewą ręką. Widział pozostawione przez Niemców obozy koncentracyjne. Czuł pozostałą w tym miejscu aurę zła i słyszał niemy krzyk oskarżenia i pretensji.

Gdy zakończyła się wojna, Jan nie miał do czego wracać. Wszechogarniająca samotność sprawiła, że postanowił pojechać do domu. Do Kalinowa.

Kwiecień 1954. Jan szedł środkiem prostej drogi, przecinającej rodzinną wieś. Po jednej i drugiej stronie stały mniejsze i większe domy, murowane i drewniane. Mijał

ludzi, których nie poznawał. Dla nich on też był obcy. W głębi duszy cieszył się z tego stanu rzeczy, z drugiej bał się, że w jego rodzinnym domu mieszkają obcy ludzie, a po bliskich nie ma już śladu. Wiedział, że rodzina wiele lat temu uznała go za zmarłego. Ale czy oni przeżyli? Czy przeżył Witold? Czy tak samo jak on, starszy brat też zmuszony był tulać się po Europie? Czy może, mimo wszystko, ułożyli sobie życie i są szczęśliwi? Jan pragnął znaleźć odpowiedzi na te pytania. Czuł w sercu tłumioną przez wiele lat tęsknotę. Przyśpieszył kroku. „Spraw Boże, aby ktoś z nich był w domu. Spraw Boże, aby mnie rozpoznali. Spraw Boże, aby mi wybaczyli, że opuściłem ich na tak wiele lat” – idąc, modlił się nieustannie.

Gdy przeszedł przez bramę prowadzącą na podwórze, powitał go Witold. Mimo lat rozłąki, żaden z nich nie miał wątpliwości, że stoi przed nim brat, za którym tęsknił.

KAROLINA ŻURAWSKA

– łomżyńska, absolwentka historii na Uniwersytecie w Białymstoku. Obecnie studentka Uniwersytetu Jagiellońskiego. Poza historią drugim obszarem jej zainteresowań jest literatura o bardzo szerokiej tematyce: od powieści historycznych Henryka Sienkiewicza, poprzez kobiecą twórczość Jane Austen, a kończąc na nieśmiertelnych historiach miłosnych Lwa Tołstoja. W wolnych chwilach podejmuje własne próby pisarskie.



foto Justyna Sawczuk



Oliwia Broś / PLSP w Supraślu

Norbert Grzegorz Kościeszka

Baba Wanda

Opowieść o śmierci

Baba Wanda potoczyła niewidzącym wzrokiem po zebranych. Ludziom siedzącym wokół ogniska zdało się, że przenika każdego z nich do głębi duszy. Nagle zrobiło się zimno i zerwał się lodowaty wiatr, choć był przecież środek lata. Zebrani zadrżeli z trwogi i strachu, a może to chłód sprawił...

Wanda opuściła wzrok i spojrzała w ogień, a za jej spojrzaniem powędrowały oczy gawiedzi. Wesole do tej pory płomienie, jakby przygasły i pociemniały, choć skry szły wysoko. Gdy starucha zaczęła mówić, w świetle ognia pojawiły się cienie i postacie.

Zebrani zamilkli. Nawet zwierzęta, pałętające się do tej pory bez celu, przysiadły i skierowały spojrzenia w stronę Szeptuchy¹. Zapadła ponura cisza i mrok otulił wszystkich. Nie było słyhać ani bzyczenia owadów, ani głosu nocnych ptaków – nawet puchacze, płomykówki i uszatki przycupnęły na gałęziach. Tylko płonące konary trzaskały w taki sposób, że trwoga ogarnęła zebranych. Dzieci wtuliły się w ramiona matek, a mężczyźni objęli kobiety.

– Wiele lat temu, w naszej puszczy – opowiadająca wskazała ręką w kierunku ciemnej linii drzew – żył biały jelen. Najpiękniejszy, najpotężniejszy i najszlachetniejszy samiec, jakiego ziemia nosiła. Był łaskawy dla zwierząt i ludzi, którzy go czcili, groźny i bezlitosny dla tych, którzy chcieli pozbawić go życia. Prawdziwy olbrzym. Wysokość w kłębie² jak półtora męża, a poroże sięgające ponad korony niektórych drzew. Piękny, groźny i wspaniały, prawdziwy pan puszczy, w której żył od setek lat – baba westchnęła przeciągle. – Kiedy byłam młoda, starzy ludzie powiadali, że pewnej zimy, wiele wieków temu, biały jelen

pojawił się w naszej okolicy. Postanowił na niego zapolować pradawny litewski książę Kugoviytas³. Trzy dni i trzy mroźne noce trwało polowanie. Nagonka zaganiała jelenia w różne pułapki, ale on wciąż umykał. Wszyscy opadli z sił, kilka osób zmarło z wychłodzenia, inni potopili się, gdy lód pękał na bagnach. Śmierć krążyła wokół ludzi, księcia i białego jelenia. Po kilku dniach, tylko zwierzę i Kugoviytas wciąż jeszcze walczyli ze sobą. Pierwszy – o życie, drugi – o trofeum i sławę wśród ludzi.

Na niewielkim wzgórzu, gdzie nie było drzew, zaczął się Litwin. Tamtędy prowadziła jedyna droga ucieczki między nagonką, która z trzech stron otoczyła zwierzę, a głębokimi, zamrożonymi bagniskami, których było tu kiedyś pełno. Książę klęknął, naciągnął cięciwę swego pięknego łuku i czekał. Mróz dawał mu się we znaki, więc nakrył się grubym niedźwiedzim futrem, a padający śnieg zakrył jego postać. Z oddali słyhać było nawoływania ludzi możnowładcy. Słońce poczerwieniało jak krew na zachodzie, jego ostatnie promienie przezierają przez oblepioną białym puchem pradawną puszcę. – Szeptucha wypuściła powietrze, które niczym para z gotującego się samowaru, wyleciało z jej ust i wzniosło się nad ogniskiem. Wyglądało to tak, jakby oddychała w mroźny dzień, jakby stała na tej polanie wraz z litewskim księciem. Spoglądającym zdało się, że w ogniu widzą polującą postać Kugoviytasa, uciekającego jelenia oraz nadciągającą ze wszystkich stron nagonkę z oszczepami w dłoniach. Prawie słyszeli ludzkie nawoływania, skry z ogniska wydały im się skrzypiącym, srebrnym śniegiem, gorąc zaś – szczypiącym mrozem.

– Nagle! – starucha krzyknęła, aż zebrani podskoczyli przerażeni, a sowy na pobliskich gałęziach zaczęły groźnie

¹ Szeptucha, szeptun, szeptuni (inaczej zwani także Wybrańcami, Uzdrawicielami, Czarownicami i Wiedźmami) – postacie na wpół mityczne, legendarne, obdarzone mocą uzdrawiania i leczenia ludzi. Na Podlasiu osoby obdarzone szcunkiem współmieszkańców, wg wierzeń mogą parać się magią białą lub czarną.

² Wysokość w kłębie – pionowy rozmiar zwierzęcia czworonożnego, liczony od poziomu ziemi do kłębu, czyli najwyższego punktu tułowia, położonego na szczycie łopatek.

³ Kugoviytas – Kukowoyt, legendarny książę litewski z XI wieku.

pohukiwać. – Samiec pojawił się nieopodal wzgórza – zgromadzeni ponownie drgnęli ze strachu, oczekując tego, co miało niechybnie nastąpić. – Kugoviytas zerwał się na równe nogi, zrzucił niedźwiedzie futro – Wanda mówiła teraz szybko i głośno. – Śnieg, który z niego spadł, oślepił zwierzę, ale ramię księcia było już zmęczone i zmarznięte po długim oczekiwaniu i trzymaniu łuku w ciągłym napięciu. Wypuszczona strzała przeszła powietrze. – Słuchający wydali okrzyk trwogi. Zdało im się, że w ogniu widzą lecącą strzałę i żelazny, błyszczący grot. – Ostrze trafiło białego jelenia, lecz go nie zabiło. Zmęczony książę zbyt słabo naciągnął cięciwę. Zranił zwierzę, lecz uciekło w ostępy i głębokie bagna. Książ nigdzie nie mógł znaleźć rannego samca. Ciemność spowiła puszcę i zerwała się śnieżycą. Wściekły Kugoviytas musiał zostawić jelenia w puszczy, zdało mu się, że na pewną śmierć... – Wanda otarła ukradkiem łzę, ale nikt tego nie zauważył. Jej głos przycichł, tak że wydawało się wszystkim, iż to nie ona, a wiatr szumi im opowieść do ucha.

Baba podniosła spod nóg nieduży patyk, splunęła nań i rzuciła w ogień, który natychmiast strawił drewno.

– Książę musiał uciekać – ciągnęła dalej swą opowieść. – Inaczej zginąłby w zawierusze, która rozpętała się na ziemi. To gniew starych bogów wywołał śnieżycę. Byli źli, że człowiek poluje na ich święte zwierzę – westchnęła po raz wtóry Wanda. – Leszy⁴ wysłał na pomoc zwierzęciu Wybrankę, która miała je uleczyć. Lecz Tryglaw⁵ chciał białego jelenia dla siebie i posłał do niego śmierć. – Szeptucha bezwiednie zasłoniła prawe przedramię, na którym widniało ciemne znamię w postaci dłoni.

Cisza zapadła przy ognisku, każdy był zamyślony, strwożony i oczekiwał końca opowieści. Tymczasem Wanda także pograżyła się w myślach, może we wspomnieniach...

– I co? I co? – zaczęli dopytywać zebrani.

– Podrzucicie do ogniska – odparła wciąż zamyślona kobieta.

Natychmiast zerwało się kilku mężczyzn, oddalili się w różnych kierunkach, a po chwili do przygasających płomieni dorzucili przyniesione drwa i gałęzie.

Ogień z wolna przybierał na sile, trawiąc świeżo dorzucone drzewo. Syczał przy tym i przeskakiwał między patykami, zmieniał kolory od białego poprzez żółty, pomarańczowy, czerwony, aż do niebieskiego. Chłopi ułożyli wiązkę gałęzi niedaleko miejsca, gdzie siedziała zebrana przy ognisku gromada, tak, by w każdej chwili móc dorzucić do paleniska. Każdy zajmował z powrotem swoje miejsce i kierował wzrok ku Szeptusze. Wydawało się, że zasnęła. Ona tymczasem myślała nad tym, co minęło bezpowrotnie. Zamknęła oczy i jakby próbując przywołać wspomnienia, wróciła do snucia opowieści.

– Lesny bóg Leszy wyprowadził śmierć na manowce. Do jelenia pierwsza dotarła Wybranka. Strzała, którą wypuścił litewski książę, tkwiła tuż przy sercu zwierzęcia. Próżne były starania przybyłej – choć udało się zatamować krew, wyjęcie grotu było niemożliwe. Uzdrowicielka nic więcej nie mogła zrobić, lzy cierpienia wylewał jelen, lzy rozpacz – kobieta – Starucha zamyśliła się na chwilę i powiedziała jakby do siebie: – Tylko bogowie mogli wtedy pomóc, ale nie chcieli, gdyż wojnę wtórą wywołałby między bogi i zakaz też mieli srogi, bo Bóg krześcijański wówczas wkraczał powoli w puszczańskie progi. Z daleka obserwował to smutny Leszy i triumfujący Tryglaw – wciągnęła nagle powietrze Wanda. – Wtedy pojawiła się ona! – nieukrywaną grozę było słycać w głosie Szeptuchy i strach ogarnął wszystkich. – Śmierć! – Wanda wypowiedziała imię przybyłej, a ogień strzelił mocnym płomieniem ponad konary drzew. – Bo to była ona we własnej osobie – wyszeptwała. – Piękna i smukła kobieta, czarne włosy i blada cera, oczy niewidzące, zaiste piękna. – Ludzie spojrzeli po sobie w zdumieniu. – Wybranka nie zeszła jej z drogi, gotowa walczyć o życie białego jelenia. Lecz śmierć sama jest bogiem, a czego dotknie to umiera. Złapała więc uzdrowicielkę swymi chudymi palcami. – Szeptucha bezwiednie położyła lewą dłoń na prawym przedramieniu. – Lecz nie mogła jej zabić, jedynie sparzyła Wybrankę swym chłodem. Uzdrowicielkę chronił czar wybranych i sam Leszy. Śmierć pchnęła więc posłanniczkę Leszego na ziemię i ruszyła szybko w kierunku jelenia. Ku zdumieniu Wybranki oraz spoglądających z dala bogów, kostucha

⁴ Leszy – w słowiańskich wierzeniach demon lasu, jego pan i władca zwierząt w nim żyjących. Czczony także jako demon dusz ludzi zmarłych.

⁵ Tryglaw, Trzyglów, z łac. Triglav – jedno z ważniejszych słowiańskich bóstw. Przedstawiany jest często z trzema głowami. Do jego atrybutów należy czarny koń oraz święty dąb.



fol. Diana Parkhouse / Pixabay

nagle zamarła, spoglądając w oczy przecudnego stworzenia. Wyciągnęła dłoń, by dotknąć zwierzęcia, a ono patrzyło ufnie w jej oczy. Śmierć powoli przykłęka i nie dotykając samca, wyjęła strzałę. W tym momencie rana się zabiżniła. Mroczna żniwiarka cofnęła ręce...

Szeptucha przerwała opowieść, ale wszyscy wiedzieli, że to jeszcze nie koniec. Z szacunkiem czekali na ciąg dalszy. Wyczuwając ludzką ciekawość, Wanda znów zaczęła mówić, tym razem łagodnie.

– Śmierć po raz pierwszy od tysiącleci, zakochała się w żywym stworzeniu. Była wszędzie tam, gdzie był biały jeleń, chroniła go od gradu strzał i oszczepów, zasadzek, nagonek, od ludzi i zwierząt. Gdy padał deszcz lub mocno grzało słońce, śmierć rozpościerała nad nim swą czarną jak noc suknię. Gdy jeleń spał, ona czuwała lub razem spoglądali w gwiazdy. Jeśli ktoś podniósł rękę na zwierzę, umierał. Stworzenie i śmierć stali się nierozłączną parą. Ludzie nauczyli się unikać spotkania z nim. Wiedzano, że za nim kroczy kostucha. Mijały lata i wielki, biały jeleń został królem puszczy, kłaniały mu się zwierzęta,

a okoliczne plemiona przynosiły mu dary. Czas mijał nieubłaganie, choroby i starość dopadły stworzenie. Wiosna za wiosną, zima za zimą, samiec stawał się słabszy, a olbrzymia korona rogów coraz bardziej mu ciążyła. Zwierzę nie mogło umrzeć, bo śmierć nie chciała go dotknąć – zbyt mocno je kochała – Wanda ściszyła głos i znów siedzącym wydało się, że to wiatr szumi im w uszach niezwykłą opowieść. – Pewnej wiosny, gdy stado pobiegło na zieleniejącą łąkę, a król puszczy nie mógł za nimi nadążyć, śmierć zrozumiała... Biały jeleń po raz ostatni dumnie uniósł swą koronę, ostatni raz podszedł do swej pięknej, czarnowłosej królowej o cerze bladej jak jego sierść. Kostucha cofnęła się, jednak on chwiejnym krokiem podążał za nią. Wyciągnął z ufnością nozdrza w kierunku jej ręki – po raz pierwszy dotknęła jelenia. Zapłakał on i zapłakała ona, wzięła głowę stworzenia w swe smukłe ramiona, a on wtulił się w nią, zasypiając na zawsze. – Ludzie nie mogli pohamować lez. – Tam, gdzie spoczął biały jeleń i gdzie płakała śmierć, nie żyje żadne zwierzę, nie rośnie żadna roślina. Miejsce to ukryte jest głęboko w kniei. Każdego

roku, wczesną wiosną, czarnowłosa, bladolica piękność oplakuje ukochanego.

Cisza zapadła przy ognisku, aż nagle odezwało się jakieś dziecko:

– A co śmierć rozumiała?

Wanda spojrzała na pytającego ją chłopca, błękitnymi jak niebo w letni dzień, oczami.

– Widząc, jak, pomimo upływu setek lat i chorób, które trawiły jego stare ciało, dumnie i z ufnością kroczy do niej jelen, śmierć rozumiała, że każdy musi w końcu

odejść. Niezależnie od tego, jak mocno kocha i jak bardzo jest kochany.

Szeptucha ciężko wstała od ogniska i wyciągnęła prawą rękę po kostur, który opierał się o dąb. W blasku ognia i tańczących płomieni ludziom zdało się, że na jej obnażonym przedramieniu widzą ciemne znamię w kształcie dłoni. A może tylko wyobraźnia, pobudzona opowieścią Wandy, tak im podpowiadała...

NORBERT GRZEGORZ KOŚCIESZA

– pisarz, były funkcjonariusz policji. W 2017 r. wydał swoją pierwszą książkę *Legenda o czwartym Królu*, w 2019 r. ukazały się kolejne: *Folwark komendanta* oraz *Psy Prewencji*. W 2020 r. jego *Dzielnica cudów* została wybrana najlepszą polską książką roku w niezależnym plebiscycie „Brakująca Litera”, a w maju 2021 r. otrzymała niezależną nagrodę „Filiżanka literatury” w kategorii: literatura. Na III Festiwalu CZAS NA KSIĄŻKI 2021 w Ząbkowicach Śląskich autora wyróżniono tytułem OSOBOWOŚĆ LITERACKA.

W wolnych chwilach poświęca się pisaniu, jest kucharzem i cukiernikiem amatorem, uwielbia zwierzęta. Poczucie humoru i ciekawość świata sprawiają, że jest człowiekiem otwartym na nowych ludzi i wyzwania.

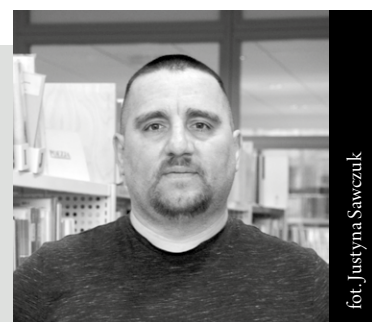


foto Justyna Sawczuk

Zuzanna Rybarczyk

Fach



fot. Priscilla du Preez / Unsplash

Stałem wówczas na krańcu peronu, rozglądając się dookoła lekko zmieszany. Nie dłużej przecież jak tydzień wcześniej zegnałem rodzinne strony, oddalając się w kierunku Zurychu, a już z powrotem, stąpając po nierównej kostce dworca, pozdrawiałem kłaniające mi się dęby i buki. Ustąpiwszy drogi wjeżdżającym na stację pociągom, skierowałem się więc do rodzinnego domu, wspominając po drodze dzieciństwo, o którym przypominały mi teraz znajome ulice, jakie mijalem, idąc powoli.

Rodziców miałem dobrych, choć chłodnych w obejściu, a w naukach surowych. Matka zwykła znosić ciężkie stosy książek do chłodnej sieni, skąd w wilgotne dni swąd starego, ołowianego tuszu docierał aż na samo poddasze, niosąc w duszącym oddechu kaszel i ołowicę. Mnie natomiast kazano czyścić księgi z kurzu i pajęczyn, a matka co i rusz wyrwała mi z rąk którąś powieść i, wskazując inną, leżącą na pobliskim stosie, oznajmiała zdecydowanym tonem: „tę zanieśiesz do biblioteczki, a tamtą przeczytasz przed jutrem”. Potem wracała do pracy, nie odzywając się więcej.

Księgozbiór mieliśmy wielki. W najlepiej oświetlonej izbie, po wschodniej stronie domu, trzy z czterech ścian wsparte były na ciężkich, świerkowych regałach, na sześć łokci szerokich i na tyle samo wysokich. Ojciec – na polecenie matki – pomalował białe niegdyś półki szmaragdowozieloną bejcą i ustawił na nich stare, opasłe tomy z zatartym już lekko drukiem i wypłowiałą barwą stron. Były to w większości dzieła porzucone, które przynieśli ojcu klienci, a po które nigdy już nie wrócili. Bo ojciec trudnił się introligatorstwem. Nie było w tym jednak nic nadzwyczajnego, cech ten bowiem traktowali mężczyźni w mojej rodzinie jak sacrum, tradycję kultywowaną od kilku pokoleń.

Pierwszy introligatorstwem parał się pradziad, którego po rabacji galicyjskiej wuj posłał na nauki do szkółki łacińskiej przy plebanii na południu Wielkopolski. Tam nauczono go fachu, jako że proboszcz znał się na introligatorce znacznie lepiej aniżeli na gramatyce łacińskiej czy dialektyce. A ponieważ powiodło się pradziadowi

i szybko otworzył własny warsztat, do którego ściągali klerycy z sąsiednich województw, postanowił przyuczyć także swojego syna, by i jemu sztuka papiernicza przyniosła szczęście. Dziad mój jednak – uważany we własnej wsi jak i w sąsiednich za włóczykija i łachudrę – za nic miał nauki swojego ojca; nawet nie myśląc ksiązek całe życie kleić, spakował pewnej nocy tobolek i przeżegnawszy się u progu drzwi, ruszył w świat pewnym krokiem. Zaledwie jednak zbliżył się do brzegu Proсны, złapali go trzech okoliczni parobkowie, których pradziad odpowiednim trun-kiem uraczywszy, zapobiegawczo o przysługę prosił. Tak ojciec mojego ojca odprowadzony jeszcze przed brzaskiem do domu, pojął, że nie ma dlań przed warsztatem ocalenia i zgodził się pozostać w rodzinnej wsi. Niedługo potem zakochał się, ożenił i doczekał potomka.

Jego syn, pamiętając nauki własnego dziadka, a i o historii swojego ojca nie zapominając, żył w cichym pogodzeniu z przypisaną mu od pokoleń rolą. Uczył się cechu od najmłodszych lat z charakterystyczną dlań cierpliwością. Szybko pojął technikę obkrawania, klejenia i falcowania, a wychodziło mu to tak sprawnie, że wnet podwoił liczbę przyjmowanych w warsztacie zleceń, pracując z godną podziwu, pedantyczną precyzją. Najdłużej zajęła mu nauka wytłaczania okładek; ściągający z oddali duchowni życzyli sobie bowiem tłoczeń bardzo drobiazgowych i trudnych. Ojciec nie odrzucał jednak żadnych zamówień, siadał tylko w rogu warsztatu i z kamienną twarzą, nie wypowiedziawszy ani słowa póki nie skończył, pracował w pełnym skupieniu. Był on – co zaznaczyć należy – człowiekiem z natury spokojnym i milczącym.

Nie odzywał się prawie wcale, żył cicho i niezauważenie, swoją obecność w domu zaznaczając jedynie ciepłym światłem, które do późnej nocy paliło się w warsztacie, podczas gdy on falcował harmonijkowe złamy po obu stronach arkusza papieru. Pogodzeniu z przyszłością introligatora nie był winny temperament przeciwny charakterowi jego ojca. Tkwiła w tym niezłomna wiara w siłę przeznaczenia, w tysiące czy nawet setki tysięcy nici łączących najbardziej skomplikowanymi więzami zawilosci pamięci ludzkiej. Nie było dlań nic pewniejszego, nic bardziej świętego od tajemniczej opatrności, która przenikała wszelkie życie, przewodząc mu bezdyskusyjnie. Powierzał więc siebie całego tej niezachwianej ufności, jaką pokładał w odgórności i nieodwołalności losu, pracując w rodzinnym warsztacie przy melodii własnej, milczącej zgody.

Takaż sama przyszłość miała czekać i mnie. Od najmłodszych więc lat – zupełnie jak ojciec – pomagałem w mniej skomplikowanych robotach; a to przekrawałem zadrukowane arkusze, a to podklejałem pojedyncze wypadające strony. Im starszy jednak byłem i im dłużej trudniłem się pracą w warsztacie, tym więcej wstępu żywiłem do fachu introligatora. Nużyła mnie żmudna robota przy wycinaniu, opary kleju powodowały bóle głowy, a słabe światło starej żarówki w pracowni niemalże mnie usypiało. Nie wierzyłem również w przeznaczenie, a spadkobierstwo zawodu w mojej rodzinie brałem za zwykłą przezorność życiową i nic poza tym. Zamierzałem w przyszłości wyjechać do większego miasta i podjąć się pracy tłumacza, a byłem tak zdecydowany, że nie dopuszczałem do siebie myśli, jakoby plany moje mogły ulec zmianie.

Do czasu aż zmarł ojciec.

Wydarzyło się to zupełnie nagle i niespodziewanie, i przysporzyło wiele problemów. Zostałem bowiem ostatnim spadkobiercą warsztatu introligatorskiego w rodzinie, jako iż dziad mój zmarł wiele lat wcześniej, pozostawiając pracownię do dyspozycji ojca. Stałem się jedynym właścicielem całego dobytku, jedynym, który potrafił posługiwać się profesjonalnymi narzędziami, a także jedynym, na którego mogli liczyć stali klienci zakładu. W pierwszej chwili po śmierci ojca zdawało mi się, że może ten stary, cichy człowiek, który przeżył swoje niespełna siedemdziesiąt lat w lekkiej



zgodzie z przeznaczeniem, miał rację i oto jakaś przedziwna siła pchała kolejnego mężczyznę w rodzinie ku warsztatowi. Tę myśl – jak i wiele innych, równie niedorzecznych, które nawiedzały mnie później – zepchnąłem w najdalsze zakątki świadomości i powziąwszy postanowienie o przerwaniu tradycji rodzinnej, udałem się do Zurychu, gdzie – z dala od domu – zamierzałem rozpocząć pracę tłumacza.

Przyjazd do Szwajcarii, jak okazało się później, rozpoczął historię zupełnie odmienną od tej, jakiej oczekiwałem. Wkrótce miało wydarzyć się coś, co przyniesie mógł tylko duch mojego nadgorliwie ufającego przeznaczeniu ojca, a co zaczęło się w konsulacie, gdzie szukałem pomocy w sprawie zatrudnienia. Otrzymałem bowiem informację, że nie tylko nie ma dla mnie posady tłumacza, ale nie ma dla mnie posady żadnej, a w ogóle to nie powinienem zwracać urzędnikom głowy, sprawują oni bowiem bardzo poważne i odpowiedzialne funkcje, i nie marnują przy tym czasu, jak ci flegmatyczni imigranci, poszukujący łatwego zarobku. Domyśliwszy się, że to do mnie piją, postanowiłem szukać zatrudnienia na własną rękę. Dopiero odnalezione zupełnym przypadkiem w jednym z poczytniejszych tygodników informacyjnych ogłoszenie o poszukiwaniu asystenta księgarza pozwoliło mi wierzyć, że nie czeka mnie bankruci los emigranta. Na rozmowę o pracę poszedłem przepelniony pewnością siebie i naiwną wiarą w pomyślność dalszej mojej szwajcarskiej przygody. I faktycznie – z początku wszystko wskazywało na to, że dostanę posadę, o którą się ubiegałem. Nieopatrznie jednak, chcąc podkreślić więź, jaka łączyła mnie z książką od najmłodszych lat, wspomniałem kilkoma słowami o tradycji rodzinnego fachu. Oczy rozmawiającego ze mną księgarza błysnęły, uśmiechnął się szeroko i oznajmił, że nie mógł spodziewać się lepszego kandydata niż taki, który parął się w przeszłości introligatorką, jako że na zapleczu leżą całe stosy starych, zniszczonych książek, które księgarnia, przez brak miejsca magazynowego, miała odsprzedać miejskim antykwariatom ze sporą stratą. Słyszac to, poczułem, jak staje się własnym ojcem, jak przeznaczenie dosięga mnie swoją chciwą dłonią, jak milknę pod ciężarem nieuniknionej przyszłości. Nie, na to przystać nie mogłem. Zerwałem się i bez słowa opuściłem sklep. Chciałem jak najszybciej wyjechać z Zurychu, nie wierząc, by to miasto mogło dać mi schronienie przed tym, przed czym uciekałem z tak daleka.

Bez zastanowienia spakowałem swoje rzeczy i pobiegłem na dworzec kolejowy, licząc, że zdążę jeszcze złapać ostatni pociąg do Paryża. Ponieważ jednak zablądziłem po drodze, gubiąc się wśród zawilych uliczek miasta – spóźniłem się. Następny skład odjeżdżał za prawie pół doby, ale ponieważ wymówiłem już pokój w moim hotelu i nie miałem dokąd wrócić, pozostało mi przeczekać na dworcu. I właśnie stacja, na której się zatrzymałem, peron, który obejmowałem uważnym spojrzeniem, przyniesieć miał gwałtowną zmianę kolei moich losów, a zmianą tą miało być dziecko. Dziewczynka, którą dostrzegłem tuż obok, zanosila się pełnym żalu szlochom, a wyglądała przy tym tak mizernie i słabo, że nie potrafiłem przejść obok obojętnie i musiałem zapytać, czy nie mógłbym jej jakoś pomóc. Ze łzami w wielkich, okrągłych oczach wyznała, że jej ukochana książka umarła.

– Umarła? – zapytałem.

Dziewczynka wytłumaczyła szybko, choć nieskładnie, że książka jest już tak stara, iż grzbiet jej zupełnie się zniszczył i wszystkie kartki oderwały się od okładki. A potem wybuchła jeszcze głośniejszym płaczem. Uspokoić ją udało mi się dopiero, gdy wytłumaczyłem, że książki mają to do siebie, że nie umierają nawet wtedy, gdy są bardzo, bardzo stare.

– Książki są wieczne – powiedziałem. – Ostatecznie, nawet jeśli cały tusz wyblaknie, wszystkie strony się gdzieś zapodzieją, a okładka złamie się na dwie części, historia, którą książka opowiadała, pozostaje w czytelniku i dlatego nigdy nie ginie.

Przyznałem nawet, że potrafię naprawiać takie niewielkie, literackie defekty i już miałem obiecać jej pomoc, gdy uświadomiłem sobie, co robię.

Cisnąłem książkę na ziemię i nie bacząc na onie miała ze zdziwienia dziewczynkę, ruszyłem przed siebie. Pokonany, zrozumiałem, że nie ucieknę od przeznaczenia. Pojąłem w końcu, że mężczyźni w mojej rodzinie są przeklęci przedziwnym introligatorskim urokiem i że nie ma mocy, która uratowałaby mnie przed starym warsztatem, z cierpliwością dawnego przyjaciela, oczekującym mojego powrotu. Zmieniłem więc plany podróży i złapałem pociąg do Polski, w niedługim czasie przedostając się z powrotem w rodzinne strony.

I tak szedłem teraz wzdłuż ulicy mojego dzieciństwa, pachnącej mirabelkami i schnącym w ogródkach praniem, wzdłuż ulicy, na końcu której stał mój dom rodzinny, a przy nim warsztat wraz ze wszystkimi narzędziami, klejami

i pożółkłymi arkuszami papieru. Warsztat, niosący w sobie historię mojej rodziny, zupełnie jak książka zapisująca dzieje głównych bohaterów. Szedłem więc, ciągnięty losem, jak mój dziad prowadzony przez parobków, a także jak mój ojciec cichy w swej zgodzie i pokorze. Szedłem, aż stanąłem u bram mojego dzieciństwa, a tam, gdzie kiedyś mieściła się izba biblioteczna i obok niej pracownia, odnalazłem teraz zgłiszcza tego, co kiedyś było moim domem.

Pożar – mówili sąsiedzi. – Wszystko z dymem poszło.

Splonęły trzy izby, a wraz z nimi malachitowa biblioteczka i wszystkie książki kolekcjonowane przez matkę.

Splonął również warsztat i wszystko, czego używali do pracy mój ojciec i dziad, a więc i wszystko to, czego i ja mógłbym używać do pracy. Nie myśląc wiele, zabrałem swój bagaż i skierowałem się w dół ulicy, zastanawiając się, czym teraz, jeśli nie intrologatorką, będę mógł się zająć. Po drodze dziwiłem się samemu sobie, gdyż to, co ojciec nazywał nieuniknionym losem, a co nie istniało dla mnie dotychczas, teraz objawiało się pustką w moim umyśle, paskudną dziurą, która zajęła miejsce dawnego, dziecięcego mitu, w który nie wierzyłem przecież, a który był mi tak bliski i drogi.



foto. Quinten de Graaf / Unsplash

ZUZANNA RYBARCZYK

– urodzona w 2004 roku, uczennica II Liceum Ogólnokształcącego w Białymstoku. Jest laureatką Olimpiady Literatury i Języka Polskiego.

Aleksandra Igras

Farciarze

Teraz. Pogrzeb Krystiana

Jesień dżdżyła. Ostatnie dni września, wcześniej letniego, przyniosły złą wiadomość i załamanie pogody. Było rzewnie. Aura współgrała z bólem mieszkańców Dąbrówki. Ich twarze szpecił identyczny, udręczony grymas. Tak jakby jedna uporczywa i wspólna myśl błędziła nad trumną Krystiana. Z początku obywało się bez dramatycznych scen. I tak zostałoby do końca, gdyby nie Sabina.

Sabina – wysmukła, długowłosa blondynka – nosiła bardzo krótkie spódnice. Niezależnie od panujących mód, pór roku i sytuacji. Zawsze. Trwała przy tym odosobniona, nieco karykaturalna. I tamtego dnia oczy wszystkich, nawet matki Krystiana, zwróciły się na jej przepiękne nogi – dygoczące, choć przyobleczone w grube, czarne rajstopy. Sabinę po cichu wypełniał żal, aż w końcu na pogrzebowy orszak spadła kaskada jej zawyc i szlochów.

Mieszkańcy Dąbrówki bez słowa oglądali spektakl Sabiny. Nawet proboszcz stał oniemiały. Liczył na to, że wszystko potoczy się bez niepotrzebnych ekscytacji. Po pierwsze, bo aplikacja „Pogoda” w jego telefonie przepowiedziała tę psią aurę, a proboszcz mimo „mocno słusznej” postury był dość chorowity, a po drugie – później miał się odbyć ten drugi pogrzeb.

Sabina zawodziła. Pierwszy odzyskał rezon Mietek od Wszelakich. Przywołał swoją córkę, Karinę, która uczepiona paska z klamerką przy kurtce dąbrówkiej płaczki, próbowała swoim łkaniem zasłużyć na miano jej następczyni.

– Karina! – warknął Mietek. – Cho no tu! I to już!

Dziewczyna wyglądała jak wybudzona z letargu. Zamrugła przesadnie wytuszowanymi rzęsami i tylko poluzowała uścisk dłoni na sabinowym pasku. Mietek zmierzył ją krytycznym spojrzeniem i pomyślał, że jego Karinka prezentuje się kuriozalnie przy Sabinie: jak mały, czarniawy grzyb. Zreflektował się jednak, że tak nie wypada o własnym dziecku. Podejrzewał, że i jego córka nie pozostała obojętna na urok tego cholernego Krystiana. Splunął dyskretnie w bok. O zmarłych albo dobrze, albo wcale – przywołał się kolejny raz do porządku.

– Cho no tu! – zawarczał na córkę ponownie, po czym dodał ściszym głosem: – Chalira jasna by to wzięła. To ty nie wiesz, że czas już kończyć tę szopkę? Tamte zara przyjdą.

Karina posłusznie przesunęła się do ojca. Pociągnęła nosem, wytarła rozmazany tusz i przyjęła neutralny wyraz twarzy. Mietek szybko zajął zwolnione przez nią miejsce, chwycił Sabinę za łokieć, potrząsnął nim i powiedział jej coś stanowczo wprost do ucha. Jego oblicze stężało, a rozżalona Sabina znieruchomiała, tak jakby Mietek nacisnął w niej guzik pauzy.

– Dobra, chłopaki, zasypujem! Bierzem! Ej! – krzyknął do trzech wyrostków.

Namówił Halinę – matkę zmarłego – żeby nie przeplacała za grób murowany. Przekonywał ją do tego dwa dni wcześniej:

– Hala, bierz pieniądze z ZUS-u. Z proboszczem się zagada. Może co spuści, choć lasy na kasę. Ja z Wierzbickimi wykopię dla Krystiana ziemny grób, bo co mu tam za różnica... No, a za to pomnik mu ładny zrobisz. A resztę se zostaw. Przyda się...

Chwycili za łopaty. Szło opornie. Sztychy grzęzły w gliniastej, lessowej ziemi, dodatkowo namokniętej od deszczu. Brązowożółte kopczyki padały na jasną trumnę. Jeden wyrostek mocował się ze zbyt głęboko wbity w ziemię łopatą – za dużo chciał na raz podnieść. Przegrał z zasadą dźwigni i poślizgnąwszy się, zabrał nogą trumienną tabliczkę. Mietek złapał wyrostka za polny sportowej, czarnej kurtki. Tabliczka spadła i wbiła się w dopiero co zrzuconą na trumnę grudę gliny.

– Chuj by to strzelił! – zaklął pod nosem Mietek, na tyle jednak głośno, że aż odwrócił się proboszcz kroczący z powagą do cmentarnej furty.

„Mój Boże, kiedyż to się wreszcie skończy!” – skwitował ksiądz w myślach i wznosił oczy ku niebu, z którego nakapało mu na jego obrzmiałą, niby rumianą, a jednak chorowitą twarz.

Mietek ofiarnie zeskoczył do dołu. Cały się ubłocił. Wziął tabliczkę, wdrapał się z powrotem i rękawem kurtki zaczął ją wycierać. Tłumaczył się sam przed sobą, że i tak

ma już uwalone całe odświętne ubranie. Zatrzymał wzrok na czarnych literach na białym tle: „Krystian Krakowiak, żył 27 lat, spoczywaj w pokoju”.

– Dziękuję, Mieciu. Dziękuję – usłyszał słaby, kobiecy głos. To była Halina.

– No, Hala, musim się zbierać. Bo to... wiesz. Tamte już się pewnie gromadzą – odpowiedział jej i machnął bezradnie ręką. Kątem oka zauważył kolejkę do składania kondolencji.

Wtedy (dwadzieścia lat wcześniej). Tamte

Zaczął się od muzyków. Przyjechali we trzech. Mały siwy, większy z kitą włosów na głowie i ten nijaki. Nie było z nimi najbardziej znanego – solisty zespołu. Wysiedli z hippisowskiego busa marki Volkswagen. Mały siwy obstukał obcasy kowbojek o świeżo wylany asfalt. To była spora gminna inwestycja. Mieszkańcy Dąbrówki zabiegali o tę nitkę drogi dobre dziesięć lat.

Mietek Wszelaki korzystał tego dnia z uroków późnej wiosny i z ogromną przyjemnością pedałował po nowej asfaltowej szosie zdezelowanym składakiem Wigry 3. W szmacianych torbach zaczepionych symetrycznie o kierownicę pobrzękiwało osiem „perełek”. Jechał do Haliny, młodej wdowy po Bolku Krakowiaku. Z Haliną znali się jeszcze z podstawówki i zawsze mieli się ku sobie. Dzielili również zamilowanie do lokalnych wyrobów browarniczych – zamilowanie obce małżonce Mietka, Celinie.

Zauważył przybyszów z daleka. Trzy majaczące nieznanome sylwetki. Był przekonany, że jedna z nich należy do kobiety, wprawdzie dosyć barczystej i wysokiej, ale za to z nobliwym kokiem na głowie. Aż zahamował, gdy jego oczom ukazała się męska – nadszarpięta zębem czasu i estradowym życiem – twarz właściciela koka. „Perełki” w siatce niepokojąco uderzyły o siebie. Mężczyzna od koka założył ręce i stał niewzruszony niczym wódz Apaczów. Za to jego towarzysz – mały siwy – podskoczył jak w oberku i stuknął obcasami kowbojek. Potem w geście powitania rozpostarł szeroko ramiona i rzucił w stronę Mietka wesołe spojrzenie. Pasowało ono tą wesołością do kwicistej koszuli, którą miał na sobie. „No tego jeszcze u nas nie było” – pomyślał Mietek i pokręcił głową z niedowierzaniem. – „Chyba pedały, jak to mówią”.

– Gospodarzu? – zagaił Mietka mały siwy od kowbojek.

W jego głosie Mietek wyczuł protekcyjność. „A skąd on, kurwa, wie, że ja gospodarzę? Bo po wsi ro-

werem jeżdżę?” – zastanowił się, po czym fuknął na niego z irytacją:

– Co jest, co jest! Jak już, to może lepiej „proszę pana”?!

– Eee... jasna sprawa. Wie pan, kto jest właścicielem tych działek? – Siwy wskazał palcem w kierunku doliny sąsiadującej ze „starą wsią”. – Tych od tej szosy do rzeczki?

– Może i wiem. A co?

– A to, że byśmy chcieli je kupić. Domy będziemy sobie stawiać. I nawet, szanowny panie, studio nagrań!

– Tutaj? – Mietek wzruszył ramionami. – Przecie tu same pola. Traktory głównie po szosie jeżdżą i kombajny. Duże uprawy tutaj. We wsi to się rozumie. Ale we wsi to wam nikt nie sprzedaje. – Obrzucił dziwaków pogardliwym spojrzeniem, jego wzrok zatrzymał się chwilę na koku.

– Proszę pana – siwy celowo przeciągle wyartykułował zwrot grzecznościowy – wie pan czy nie?

– Do Górskiego.

– A gdzie tego Górskiego można zastać?

– Panie, ja za Górskim nie lażę. Ja swoje honory mam! Z Górskim to już tylko bracia Mazury piją i szczają pod siebie. Pewnie leżą pod chałupą. O tam, za tym sadkiem. – Mietek wskazał widoczne w oddali rachityczne stare gruzełki i śliwy.

– Ha! – Siwy znowu stuknął obcasami i aż przyklasnęła z zadowolenia. – Panowie, szczęście nam sprzyja! – zwrócił się do współtowarzyszy. – Coś czuję, że z panem Górskim szybko się dogadamy. – Wykonał charakterystyczny gest uderzenia kantem dłoni o szyję. Po szosie poniósł się ich męski śmiech.

Mietek zdębiał. Wsiadł na rower i z tego chwilowego pomieszania zmysłów pojechał w przeciwną niż planował stronę. Po namyśle stwierdził, że nie zawróci, bo się ośmieszy. Zmuszony był zrobić wielkie kółko – objechał wieś, by potem stromym lessowym wąwozem dotrzeć do Haliny. Mieszkała na szczycie wąwozu.

Tym sposobem po raz pierwszy w życiu zobaczył swoje rodzinne strony. Wcześniej tylko patrzył, ale nie widział. Było jak było. Otaczającą rzeczywistość przyjmowało się jako coś oczywistego: chałupy w większości murowane, bo ziemia żyzna; podwórka z porzewiałym sprzętem rolniczym, bo już niektórym znudziła się gospodarka i jeździli do roboty do Lublina; wąwozy lessowe z wielkimi wystającymi korzeniami drzew, przywodzące na myśl jakąś pozaziemską scenę; doliny trzech rzeczek, wśród nich ta, gdzie babka Mietka na tarze prała dziadkowe koszule;

renesansowa baszta po Firlejach; nocne ujadanie zawsze złych psów; sarny na polach; wszędobylskie przyglupawe bażanty; stado półdzikich koni pasących się w dolince – pozostałość po hodowli Bratkowskiego. A to wszystko tylko dziesięć kilometrów od lubelskiej poczty głównej.

Mietka ołsnął ten widok. Nie silił się jednak na górnotne przyrównania. Ale za dwadzieścia lat niejednokrotnie będzie świadkiem jak tamte nonszalancko wymieniają nazwy dalekich zakątków: włoskich i francuskich. Będzie obserwował, jak parkują swoje SUV-y przed wybudowanym dla nich marketem „półki premium” i jak witają się z nowo przybyłymi z tamtych: „Kogo ja widzę! To ty też się wybudowałeś w Dąbrówce? No ale sam powiedz, to nasza podlubelska Toskania... Prowansja, mówisz. Ach, no tak, ty mieszkasz przy tych urwanych zboczach. Może i Prowansja”. Będzie widział, jak niby od niechcenia rzucają siedmiocyfrowymi kwotami, spieszczając je: „Daj spokój, ja nie taki krezus jak ty, ja za swoją chałupinkę tylko dwa milionki dałem”.

I niestety Mietek w końcu będzie zmuszony sprzedać za pół milionka swoje idealnie kwadratowe pole z najurodzajniejszymi w okolicy porzeczkami. Sprzeda jednemu z tamtych, by Karinka mogła uszczknąć sobie na mieszkanie w mieście. Bo Karinka do końca życia pozostanie naiwna i w swych sercowych porywach wyjdzie za miastowego, leniwego gołodupca.

I tylko jeden jedyny raz Mietek zrobi użytek z zasłuchanej rozmowy tamtych, kiedy w markecie będą się sprzeczać o zakup ostatniej butelki wina z tej ich Prowansji czy Toskanii. Mietek wtedy zamknie im usta i ich spór. Znienacka przejedzie między nimi sklepowym wózkiem. Będzie głuchy na ich burknięcia, żeby uważał, bo któremuś skórzanego mokasy na drasnął. Zapakuje do wózka ową cenną butelkę – nawet nie spojrzy na cenę – i odjedzie w stronę kas. To będzie za dwadzieścia lat, w przeddzień pogrzebu Krystka.

Wtedy. Halina i Mietek

Mietek zasapał się u szczytu wzniesienia, na którym stał dom Haliny. Zsiadł z roweru i doprowadził go do bramy. Pies na łańcuchu wystrzelił jak na huk startera. Od wściekłych klów dzieliło Mietka pięćdziesiąt centymetrów. Niezjący gospodarz Bolesław – mąż Haliny – z sadystyczną precyzją odmierzył długość łańcucha od budy do bramy. Pół metra: tyle ten skurwiel Bolek zostawił zapasu – podsumował go refleksyjnie Mietek.

Zdawało się za każdym razem, że pies naprawdę wierzy w to, że wreszcie mu się uda, że w końcu z tego łańcucha się zerwie i rozszarpie mietkową grdykę. Gdyby nie rower i zawieszona na nim siatki, Mietek jak zwykle obilby psa drągiem albo rzucił w „bydlaka” kamieniem. Zwierzę i on żywili do siebie najczystsza formę nienawiści, odczuwali potrzebę mordy. Mietek tyle razy obiecywał sobie, że podrzuci mu kawałek kielbasy ze strychniną.

– Kuras! Kuras! Dobry pies, pieseczek!

Do psa mordercy podbiegł wyrosnięty ośmiolatek. Był brudny od stóp do głów. Uwagę przykuwała czupryna ciemnych, zmierzwionych loków. Chłopiec wtulał się w swojego pupila, a loki kontrastowały z jasną sierścią Kurasa. Znad psiego łba błysnęło złowrogie spojrzenie dziecka.

– Krystek, pilnuj go, kurwa, pilnuj, bo nie ręczę za siebie! – zrugął chłopaka Mietek. – Pierdolony pies – zakończył wściekle.

Mały nic nie odpowiedział, tylko tym samym nienawistnym wzrokiem odprowadził Mietka do wejścia do domu. Mietek z impetem odgarnął sznury koralików wiszące w świetle drzwi.

– Hala! Ukręcę łeb temu Kurasowi, a zaraz potem Krystkowi! Jak Boga kocham.

– Daj już spokój, Mietek! Chłopak ojca stracił, psa ma! Co się czepiasz!? Zresztą, jak ci się mój syn nie podoba, to fora ze dwora! Po co żeś tu znowu przylazł? Celina ma drugą zmianę na taśmie?

– O, jaka przekłeta, zeźlona! A tydzień temu inaczej śpiewałaś.

Podszedł do Hali, złapał ją w pasie, odwrócił tyłem do siebie i przyłgnął do jej szerokich bioder. Odepchnęła go z udawaną złością.

– No to co? Masz jakiego gościńca czy żeś z pustymi rękami przyjechał?

Przy trzeciej „perelce” byli już w jak najlepszej komitywie. A gdy przeszli na halową berbeluchę, ich miłość rozkwitła na nowo. Halina zawsze trochę się wzbraniała, ale od czternastego roku życia pragnęła Mietka jak nikogo na świecie. Bolek był piękny, to prawda – Mietek nijak mógł się z nim równać. Ale za to mąż Haliny w materii wzrodu był „cienkim Bolkiem” – dosłownie jak w tym powiedzeniu – a do tego jeszcze, kiedy w rok po urodzeniu Krystiana spadł okrakiem na rurę rusztowania, o jakichkolwiek kontaktach erotycznych między małżonkami nie mogło być już mowy.

We wsi dziwili się, że Hala, taka dorodna, tylko jednego Krystianka wydała na świat. Prawdę знаła ona, Bolek i Mietek. Romans Mietka i Haliny rozgorzał parę miesięcy po zaniemożeniu Bolka. Wtedy na nowo Mietek i Halina przypomnieli sobie to, co w ostatniej klasie podstawówki odkryli na gumowym materacu w szkolnej kanciapie przy sali gimnastycznej.

Potem nie musieli już niczego odkrywać. Wiedzieli. Halina prawie zawsze chciała, żeby Mietek posiadał ją od tyłu, na stojąco. Czasem z zadartą na plecy sukienką. Czasem, pod nieobecność Krystiana, przy wejściowych drzwiach, w sieni, w zagajniku za domem. Wszędzie. Mrużyła oczy i przypominała sobie tamto laskotanie między nogami, kiedy jako dwunastolatka podglądała na łące spółkujące konie Bratkowskiego. Raz jeden, w wyniku mieszanki dziwnych, przeciwstawnych uczuć, do których dołączyło przemożne podniecenie, Mietek nakreślił perliste ślady nasienia na kuchennej ścianie. Nigdy nie czuł się tak nieszczęśliwy jak wtedy, kiedy obserwował,



Zuzanna Januszko / PLSP w Supraślu

jak wtapiały się w wymalowane walkiem jasnobrązowe wzorki. Tak oznaczył swoim DNA wytarte, brudne tynki halinowego, owdowiałego domu.

Ślub Hali i Bolka był dla Mietka ciosem, dlatego szybko się ożenił. I w rok po jego weselu Bolek zginął tragicznie. Drogi jego i Hali niefartownie się rozmięły. Żonaty i wdowa.

Wtedy. Górski

Muzycy panoszyli się po okolicy w najlepsze. Ich konkwiśta Dąbrówki rozpoczęła się z przytupem i była dla autochtonów takim samym folklorem jak oni dla tamtych. Najpierw wzięli pod włos Górskiego. Jak na miastowych, mieli wyjątkowo pobłażliwe podejście do wiejskich pijaków. Ta fałszywa pobłażliwość stanowiła przykrywkę dla interesu. Muzycy umieli Górskiego podejść.

Górski był przywiązany do swoich stron: wawozów, pagórków i wstęgopatych pól uprawnych. Fakt, do roboty nijak się nie palił. Żadnej. A do gospodarki – najmniej. Od dziecka byłznaczony. Jak go ze szpitala przywieźli, to babka, zajrzawszy do betów, na jego uwiędłej wczesniaczej twarzyczce dostrzegła spore czerwone znamię na środku czoła.

– Un jakiś oznaczun – zmartwiła się.

Jego ojciec mętnym, zapitym wzrokiem próbował dostrzec owo znamię, ale zbyttno ostatnio świętował na poczet narodzin pierworodnego i mieniło mu się w oczach. Z kolei dziadek Górskiego znany był z tego, że niewiele się odzywał, a jak już, to słowa te kasały. Był człowiekiem surowym i nieczułym. Mimo posiadania wielu żywnych mórg wyróżniał się wybitnym skąpstwem.

Dziadek potłukł się chwilę przy kuchni. Hałasował, przekładając fajerki. Złościł się na małżonkę, że zamiast polać mu barszczu – tak jak to zawsze, bez wyjątku czyniła – bachorem się zajmuje. I to jeszcze od tego syna. Dziadek Górskiego o wszystkich miał złe zdanie, ale o tym synalku najgorsze. Ojciec Górskiego już jako piętnastolatek migał się od roboty, tylko wiecznie wódkę i karty kombinował. Łać już się go bardziej nie dało, to jak dwudziesty pierwszy rok mu przyszedł, dziadek pogonił go z domu wprost w żeniaczkę. Zalałwil mu też robotę w cegielni.

Dziadek pchnąwszy łyżką w blaszaną miszkę, roz-bryzgał barszcz. Z impetem odsunął syna i rzucił okiem na wnuczę.

– E tam oznaczun! Un już na pijoka wygląda. Pijok bedzie i tyła! Jak tatuś.

U Górskich już tak było, że albo pijaki, albo farciarze się rodzili. Ci drudzy Górscy życiowo radzili sobie świetnie: dorabiali się majątków, zdobywali profesorskie nominacje, budowali miasta, konstruowali maszyny, byli właścicielami azjatyckich fabryk i praw autorskich do aplikacji na smartfony. Ci drudzy Górscy nie byli już z tych, a z tamtych. A t a m t e nie chciały mieć za wiele wspólnego ze swoim naznaczonym kuzynem. Wiele lat potem tamte Górskie powróciły z miasta, by pobudować w Dąbrówce swoje opasłe, nieprzyzwoite wille. Ale i tak nie było wśród nich żadnego poety.

Poetą okazał się ten ze znamieniem na czole, a przynajmniej on sam czuł się poetą. Niestety, tak jak dziadek mu wyróżzył, dość szybko został pijakiem.

Górski miał inne, wsobne widzenie świata. Coś w nim drgało. Nijak nie umiał tego wyrazić. Każdy nietypowy podmuch wiatru kierował go do niecodziennej refleksji. Nie potrafił objąć tego rozumem. Każda zmiana pogody zasługiwała na inną tkliwość, inną uwagę. To było i w nim, i poza nim. Bliskie i dalekie. W miarę wcześniej – bo już w siódmej klasie podstawówki – odkrył urok taniego wina, które wraz z pierwszymi łykami mamilo słodyczą, a na koniec żegnało się z nim siarczaną zgrzebnością. To alkoholowe rozgrzanie trzewi przynosiło mu ulgę i uczyło pokory wobec wszystkich i wszystkiego, co w życiu napotykał.

Było w Dąbrówce urwiste lessowe zbocze, które z daleka przypominało do złudzenia nadmorski klif. Górski w swych długich alkoholowych wyprawach ciągnął do tego klifu jak lunatyk do pełni księżyca. Docierał na szczyt chwiejnym chodem. Siadał na skraju, nogi mu dyndały nad przepaścią tak, jak u dzieci na trzepaku. Wciągał do płuc wilgoć wczesnej jesieni i zmierzchu. W tej mieszaninie wyczuwał matowy zapach butwiejących rdzawych liści, niemal nieobecny i słodki – żółtej nawłoci, duszący – dymu idącego z pól, irytująco kwaśny – buraczanych obrzynków, i ten słomiany – minionego lata. Dodawał do tego bukietu zapach wielkiej, szerokiej rzeki. Tej, którą widział na jedynej w swym życiu wycieczce szkolnej do Kazimierza Dolnego. Zapamiętał z tej wycieczki, że on, mieszkaniec Dąbrówki, przynależał do wielkiej rzeki przepływającej przez Krainę Lessowych Wąwozów. Kraina ta zaczynała się u stóp dąbrówckiego zbocza. Przymyślał oczy, pochylał się nieostrożnie do przodu i za chwilę „leciał”. Kotłowały mu się w głowie obrazy o jaskrawych barwach i kanciastych kształtach.

Wynurzały się z nich kontury siedlisk zamkniętych w półokręgi i prostokąty. Leciał i bezbłędnie je rozpoznawał: to siedlisko Wszelakich, tamto Krakowiaków, a to tutaj – z okręgiem studni – jego babki – jedynej, która go kochała. Tę miłość do niego wynosiła wieczorem w blaszanej kance skrywającej mleko, chłodzące się potem w wodzie studni. Górski – gdy wracał nad ranem ze swoich dalekomorskich rejsów – cieszył się na to zimne mleko, które jak nic innego potrafiło ukoić skacowany przełyk. Teraz – jeszcze chwilę poszybował nad studnią, a po chwili przysypał ją puder piasku niosącego się z nadbrzeżnych rzecznych wydm. Nie, ten piasek to nie puder, to ostre kamyczki. Właśnie wciskają się do jego oczodołów. Są kłujące, niepotrzebne...

– Górski, obudź się i idź do chałupy. Ty chyba chcesz się w końcu stąd spierdolić! – Mietek wracający o brzasku od Haliny klepał Górskiego po ramieniu; musiał zdążyć przed szóstą, nim dzieci wstaną, a Celina wróci z nocnej zmiany.

Górski zawsze podnosił się posłusznie i bez słowa oddalał w stronę domu babki. Mietka ten widok fascynował – widok Górskiego zwiniętego w embrionalnej pozie, śpiącego na skraju urwiska. Bładym świtem. Biła od tego widoku ostateczność. Granica nocy i dnia; życia i śmierci. Misterium.

Wtedy. Górski i bracia Mazury

Górski i bracia Mazury byli dąbrówceckimi wędrowcami. Młodszy Mazur wędrował zawsze szosą na Nałęczów, dalej polem mietkowych porzeczek i wąwozem przy domu Haliny. Ten ostatni odcinek był dla wszystkich wspólny. Górski obowiązkowo zaliczał klif i wracał główną drogą do domu babki, a starszy Mazur odbijał na wschód do dolinki Bratkowskiego i stamtąd powracał do sadku za domem babki Górskiego.

Nałóg trzech wędrowców był w ciągłym ruchu. Nikt nie wiedział, czy sobie na ten temat doradzali, czy leżąc w sadku otumanieni alkoholem, kiedykolwiek poruszali wątek swoich pijackich wędrówek. Najprawdopodobniej był to dla nich zarówno temat tabu, jak i na tyle oczywisty, że niewart poruszenia. Nie zastanawiano się nigdy nad tym, kiedy ich nałóg miał swój początek. Bardzo wczesnie, co do tego nikt nie miał wątpliwości. Ale patrząc na tych zniszczonych, zmurszałych mężczyzn, najprawdopodobniej stosunkowo młodych bądź co najwyżej w sile wieku, trudno było w nich dostrzec niegdysiejszych

dziewięcioletnich chłopców. A przecież kiedyś byli nimi na pewno i w Dąbrówce każdy z nich sypał płatki bladuróżowych petunii w białym tygodniu tuż po pierwszej komunii. A wcześniej, na śpiących wędrowców w niemowlęcych kołyskach spoglądały z miłością czyjeś oczy. Tak musiało się dziać. Nie byli znajdami. Byli stąd, z tych pól, wawozów, z tych dolinek trzech rzeczek. Z tych ludzi.

Ta nieustanna potrzeba ruchu, a raczej bycia w ruchu, zapewniała im namiastkę kontroli nad zalewającą ich mózgi i wnętrzości falą etanolu. Resztkami lub urywkami świadomości dostrzegali stale punkty codziennych wypraw i zostawiając je za sobą, odhaczali jak sprawunki na liście zakupów. Panowali nad tymi punktami, tak jak nad zapewnieniem sobie ciągłych dostaw alkoholu. Cała reszta była życiem równoległym – trochę wyższym, trochę koszmarnym.

Każdy z nich miał swoje miejsce poboru: sklep koło stacji z gazem przy szosie nałęczowskiej, garażowy sklepik w centrum wsi albo punkt gastronomiczny przy świetlicy GOK-u. Pod koniec lat sześćdziesiątych ten punkt szumnie ochrzczono klubokawiarnią. Dąbrówczanie dostali wyremontowane pomieszczenie z żółtą boazerią do połowy wysokości ścian. Wtedy po raz pierwszy próbowano zadzierzgnąć znajomość z miastowymi obyczajami.

Za białą ladą wystawienniczą, na której zawsze stały trzy puchary trzydniowego kremu sultańskiego i odwieczny sękacz – równolatek klubokawiarni – stanęła matka Mazurów. W pięknym śnieżnobiałym fartuchu przeglądała „Przyjaciółkę”, a czasem z nudów „Poznaj Swój Kraj”. Klubowicze płci męskiej nie mogli oderwać od niej wzroku. Gruba kreska na powiekach i kruczoczarna grzywka upodabniały ją do Karin Stanek, a kawiarniany strój nadawał jej powagę i romantyczność innej ulubienicy ekranu – doktor Ewy.

W klubokawiarni zawrzało. Niezliczone szklanki w wiklinowych koszyczkach, z brunatnym miałem w środku, napełniały się gorącą cieczą spod zwinnych palców matki Mazurów. Dąbrówceccy młodzieńcy pić lubili, to z przyjemnością zamawiali kolejki kaw, aby móc dłużej zabawić przy kontuarze. Rekord padł, kiedy ojciec Mietka zamówił siódmą kawę. Niestety w międzyczasie raczył się solidnymi łykami wódki stołowej. Ostatecznie dostał „pikawy” i jego współtowarzysze musieli odwieźć go na furze do ośrodka zdrowia. Nie stawał już w konkury do matki Mazurów, ale w przyszłości, kiedy dowie

się, że synowa chce dać jego wnuczce Karolina na imię, przekona ją do Kariny.

Dąbrówceccy mężczyźni do klubokawiarni ani do kawy się nie przekonali. Po pierwszych wygranych bitwach ostatecznie atak miasta został odparty. Za to wiele lat później muzycy z Lublina przekonali „poetę” Górskiego do sprzedaży siedliska po babce i dwóch hektarów pola. Podobno wyczuli w nim „uduchowienie” i zaczęli wabić twórczą współpracę.

Zabierali go swoim busem do centrum miasta, gdzie w stylizowanej na Młodą Polskę knajpie raczyli koniakiem. Górskiemu niespecjalnie ów trunek smakował, ale cenił czyhający w jego złotawej barwie wigor. Z początku rozglądał się nieśmiało, na zmianę pochylał i prostował. Samoświadomość niedostatków budziła się w nim nagle, jak w każdym człowieku, któremu odebrano, co znane, wyrwano ze swojego środowiska i bez jego wiedzy gdzieś wstawiono – jak zdezelowanego Kena do pałacowej komnaty w domku zarozumiałych, wyfiokowanych lalek Barbie.

Górski zauważał swój sfatygowany ubiór, swoją niechlujność, brudne rękawy kurtki, rozdeptane i zabłocone ni to trzewiki, ni to pantofle, a jak bliżej przyjrzał się odbiciu w lustrzanej ściennnej mozaice, to dostrzegał żółtawy mech na uzębieniu i włosy obsypane małuskimi śnieżynkami – dwa zaskakujące go zjawiska przyrodnicze.

Ale jak to u Górskiego, rozważania jego ulecą wprost do rozświetlonych kryształków knajpianego żyrandola. Złocisty płyn wkrótce rozświetli wnętrze Górskiego, które jak ulal dopasuje się do blichtru sali bankietowej, pięknie wyżłobionych karafek, błyszczących zębin współtowarzyszy. Już wkrótce Górski stanie z tym wszystkim w korowodzie. Zrzuci słomiane okrycie, zapomni o zapachu lata, o kłifie i o lotach. Znajdzie się przed zatartym obrazem człowieka ciężkawego – siedzącego za ciężkim meblem i opasanego ciężkim materiałem marynarki. Górski z dziwną lekkością na duszy podpisze w jego obecności akt notarialny. On sercem, a tamten szkiełkiem i okiem przypieczętuje sprzedaż spadku po babce Górskiego.

Za jedną trzecią rynkowej wartości.

Majestat urzędu i rozsądek notariusza zabezpieczą Górskiemu służebność mieszkania i pozwolą żyć w domu babki. Z czasem ta sąsiedzka obecność Górskiego będzie solą w oku okolicznych tamtych. Będzie to konflikt natury estetycznej.

Górski, rzecz jasna, ani konta bankowego, ani tym bardziej karty do tego konta nie posiadał. Wszystkie



Zuzanna Januszko / PLSP w Supraślu

pieniądze ze sprzedaży, w gotówce, przechowywał w sobie znanych skrytkach, o których bardzo często zapominał.

Górski przez całe życie nie był w posiadaniu nawet portfela. W garażowym sklepie w centrum wsi zaopatrywał się w chleb i pryte, czasem piwo – na krechę. Ta krecha około piętnastego każdego miesiąca skrzętnie podsumowywała dług Górskiego. Póki żyła babka, która „oznaczyła” Górskiego na swojego towarzysza starości, oddawała mu lwią część emerytury. Potem, zdradziwszy mu tuż przed śmiercią, między którymi wykrochmalonymi poszwami schowała oszczędności, spokojnie umarła w tkliwych objęciach wnuka. Były to jedyne czule ramiona, jakie poznała w swoim długim życiu. Po jej śmierci Górski już sam finansował swoje sprawunki. Pozostał sam sobie.

Teraz. Krystian i Sabina

Nowy, niskopodłogowy podmiejski autobus przywiózł na pętlę jedyną pasażerkę. Był to ostatni kurs. Z otwartych drzwi wyloniła się smukła noga Sabiny. Przez ułamek sekundy jej właścicielka zawahała się nad brudnym lustrem kaluży. Poratowała ją dłoń Krystiana. Sabina ominęła mokrą przeszkodę. Te rzadkie gesty rycerskości Krystiana przywracały Sabinie wiarę w ich miłość.

Krystian tamtego dnia był inny. Zazwyczaj pozdrawiał ją przeciągłym gwizdem. Na jej widok twarz mu po szelmowsku jaśniała. Nierzadko w otoczeniu swoich męskich towarzyszy dawał do zrozumienia, że dobrze zna każdy sekret ukryty pod skąpymi, krótkimi spódnicami Sabiny. I owszem, ciało Sabiny nie miało przed nim tajemnic.

Ale tym razem było inaczej. Niespodziewanie objął ją ramieniem, odgarnął długie jasne włosy i z czułością pocałował w szyję. Uwiązał w zapachu gładkiej dziewczęcej skóry. Sabina poczuła wewnątrz ten jedyny w swoim rodzaju przeciąg, który można by odczuć podczas skoku z wieżowca, z tą różnicą, że najlepiej, gdyby ten skok trwał wiecznie.

Objęci oddalili się w stronę łąki Bratkowskiego. Zmierchało. Przedzierali się przez wysokie trawy, odgarniali rękami skłaniające się ku nim musztardowe ostrosłupy nawłoci. Niewrażliwi na lepik trawiastej wilgotności broczyli zanurzeni w swoich myślach. Pierwszy odezwał się Krystian:

– Wyjedźmy stąd, Sabciu. Chcesz? Ty i ja. Mam dość tego syfu tutaj. Pierdolona Dąbrówka! Widzisz to? Jak się tamte panoszą? Ta ich dzieciarnia nawet nam „dzień dobry” nie powie, a po sąsiedzku mieszkają. Ja zapierdalam w brukarstwie po dwieście godzin w sezonie i, kurwa, nawet trzech tysięcy nie wyciągnę, bo się jakaś pizda czepia, że paradując w szpilkach, zębów mało o kostkę nie wybiła. I stary nam wtedy po premiach leci. Bo pindzie się wydaje, że kostka brukowa to płaska jak stół będzie. A potem jej mążus zajeżdża przed chałupę furą za pół miliona i, rozumiesz, Sabciu, podchodzi do majstra i z głupim dobrotliwym uśmiechem rabaty chce od niego kupować. Tak, żeby sprawę załagodzić, jak to mówi. Jedźmy stąd! Razem!

– Krystek, ja lubię moją pracę w drogerii – bąknęła Sabina.

Spuściła oczy i za chwilę zarzuciła mu ręce na szyję. Tak jakby przepraszała.

– Lubisz, lubisz – prychnął.

Odepchnął ją. Odgarnął z czoła czarne wilgotnawe włosy. Ich skręt był wyraźny. Loki pobłyskiwały w poświęcie księżycy. Krystian wiedział, że ma nad Sabiną władzę absolutną.

– Byle co lubisz! – wysyczał. – W dupie byłaś i gównem widziałaś!

Dziewczyna skuliła się, wręcz zrobiła się niższa. Krystian zmienił ton:

– Do Irlandii jedźmy! Sabciu, do Irlandii. Są loty z Lublina, tanie jak barszcz. Zamieszkamy tam razem.

Potem wsunął rękę pod jej zgniłozieloną parkę, fioletową cienką bluzkę i położył swoją dużą, zimną, spracowaną dłoń na szczupłym, ciepłym brzuchu. Przesunął po nim kciukiem. Sabina ponownie poczuła przeciąg.

– Stało się coś?

Krystek ociągał się z odpowiedzią.

– Znowu się zaczęło – wycedził w końcu. – Znowu zaczął do matki przyłazić ten frędzel Mietek. Nienawidzę ich, kurwa, rozumiesz? Nienawidzę! Nie chcę mieszkać już z matką. Muszę wyjechać. Mam dwadzieścia siedem lat. Chcę mieć własny dom, rodzinę. Chcę ciebie. Różnie między nami było, ale już wiem, że chcę z tobą. Mam brata ciotecznego w Dublinie. Pomoże nam. Robotę nagra. Mieszkanie już nawet dla nas ma. W centrum, nad taką rzeką. Zobacz.

Na ekranie telefonu pojawiły się zdjęcia szeregowych kamieniczek: wąziutkie klatki schodowe, tycie ogródki, staromodne kominki. Sabina sama nie wiedziała, czy podobają jej się te obrazki. Przez parę lat dorabiała, sprzątając u tamtych. Polubiła zamaszystość i nowoczesność ichniejszych wnętrz.

Skłamała:

– Bardzo ładne. Drogo?

– Jak będzie robota, to nie będzie problemu. Gorzej, że kuzyn mówi, że muszę mu wysłać kaucję za trzy miesiące z góry. I to wychodzi z kilkanaście tysięcy. Musimy szybko się decydować.

– Ale skąd na to wziąć?!

– On nam da. – Krystian pokazał na lunę księżyca za nimi. – Dziś pełnia. Na pewno go spotkamy. Zmuszę go, żeby mi oddał któryś ze swoich zaskórniaków. Starszy

Mazur po dwóch prytych gadał, że ma tego pełno. Pozakopywane. Gnije to w ziemi, a ta lajza i tak tego nie wyda. Jutro nie będzie o niczym pamiętał. Zresztą, kto mu uwierzy.

Sabina opowiadała później Karinie, że tej niefartownej nocy Krystian wyznał jej miłość. Po raz pierwszy i ostatni. Że brodzili po łące Bratkowskiego i nie mówili nic, a mimo to opowiedzieli sobie całe życie – to minione i to wspólne. I że to wszystko wydarzyło się w blasku księżyca. W jego pełni. Mówiła też, że Krystian chciał tylko pomóc Górskiemu wstać, bo zmartwił się tym jego przesiadywaniem na skraju zbrocza. Sabina zapamiętała rozbudzone oczy Górskiego. Jaskrawiły. Patrzyły, jakby Górski dotarł do kresu swojej wędrówki i wszystko zrozumiał. I Górski, wskutek albo tej iluminacji, albo obsunięcia się mokrej gliny, odchylił się gwałtownie do tyłu, wyrzucił ręce do góry i wygiął się w luk swojego triumfu, ostatecznie odleciał. Razem z Krystianem.

Za trumną Górskiego sześciu mężczyzn niosło okazałe wieńce: profesor matematyki ze stolicy, właściciel firmy informatycznej, starszy Mazur i trzech muzyków. Każdemu z nich inaczej ciążyło sumienie. Kiedy mijali Halinę, konwój przystanął. Mężczyźni skinęli głowami, Halina przyjęła to ze zrozumieniem. Stała naprzeciwko nich. Bezradna. Na wskroś samotna. Mietek Wszelaki wymiłowawszy swoją żonę, Celinę, złapał Halinę w pasie, odwrócił do siebie i spojrział w jej nieobecne oczy. Potem wziął ją pod rękę, by zostawić wszystko za sobą.

Odeszli razem. Niefartowni.

ALEKSANDRA IGRAS

– urodzona w 1981 r. w Lublinie. Absolwentka dziennikarstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Niegdyś pracowała jako copywriter. Od wielu lat przedsiębiorczyni. Jako aktorka amatorka uczestniczyła w kilkuletnim projekcie teatralnym Dzielnicowego Domu Kultury Węgliń – *Matka Polka Teatralna. Konkurs*. Do chwili obecnej autorka trzech opowiadań. Debiutanckie *Od niechcenia* opublikowała na stronie Wydawnictwa j. Kolejne *Pokrzywy* wydrukowano w kwartalniku „Akcent”. *Pokrzywy* zostały również wyróżnione w ogólnopolskim konkursie im. Eugeniusza Paukszty. Prezentowane opowiadanie *Farciarze* to jej trzecia próba prozatorska.



foto. archiwum prywatne autorki

Aleksandra Tarnowska

Gdzie byli sąsiedzi

Było zgłosić na policję. Nie ma co się pierdololo. Kolejna osoba startuje do życia, a tu taki cwel się przypalałta, nie wiadomo co nawyczynia i nikt niby nic nie widział. Chłopiec będzie mieć szramę na bani, bo nikt nic... Zastanów się...

Zobaczyła ich przez judasza. Chłopiec mógł mieć siedem lat, nie więcej. Na jego karku ciążyła wielka, czerwona dłoń. Typ szedł zaraz za nim, zasapany, bo przecież musiał z chłopcem wejść schodami. Ona zajęła windę.

Tak, troszkę niezgrabnie wyszło z jej strony. Tak, widziała, że nawet przebiegł ostatnie trzy kroki, żeby też załapać się do środka. Ale jakoś tak, z siatami w dłoniach, nie udało jej się nacisnąć przycisku otwierania drzwi na czas. Zdarza się.

Z doświadczenia matki małego dziecka i właścicielki psa wiem, że niektórym wszystko przeszkadza, nawet jak się w nocy pstryczek elektryczek do własnej toalety przełączy, bo już hałasy, bo już piją, bo już dziecko biją, policja, kurator na karku...

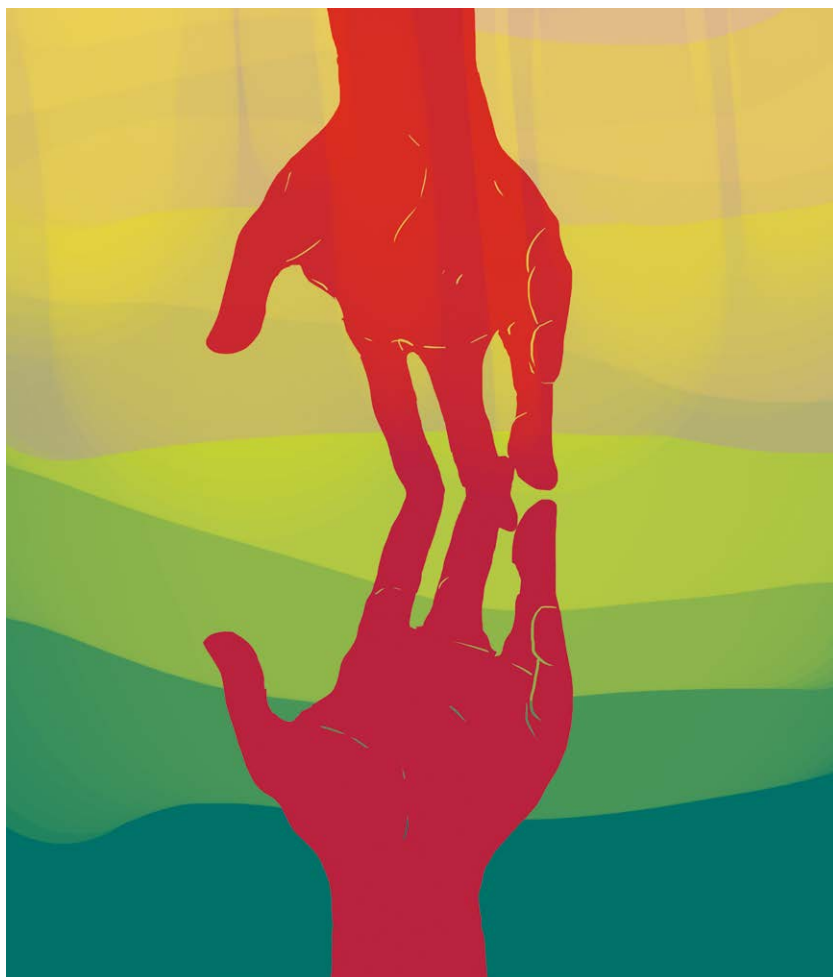
I tak poszło im szybko. Ledwie przekręciła klucz w zamku, usłyszała zbliżający się na piętro oddech. Zdążyła z zakupami wskoczyć do środka, trzasnąć drzwiami i zerknąć przez judasza. Byli już naprzeciwko.

Typ poklepał się po tylnej kieszeni džinsów i chłopiec od razu wsunął do niej rękę. Klucze zadzwoniły w drobnej dłoni, kiedy je wyciągał. Mężczyzna odsunął się, żeby wskazać gestem drzwi i zaraz znowu ustawił się w poprzednim miejscu, zakleszczając chłopca między swoim ciałem a zamkniętymi

drzwiami. Zgrzyt zamka i weszli do środka. Nigdy wcześniej nie widziała tu tego chłopaka.

Ja to czytam i ręce opadają :(((Proszę cię, zgłoś to gdziekolwiek! Na policję, do opieki, gdzieś! Niech tak się nie dzieje! Niech ludzie wreszcie przestaną być obojętni na ludzką krzywdę!!! :(((

Jeżeli już to chyba przed klatką. Tak, pewnie przed blokiem biegał. Postawiła siatki w korytarzu i powoli krążyła w tę i z powrotem, między kuchnią a zakupami, żeby powkladać wszystkie rzeczy do szafek, do lodówki,



Julia Kulikowska / PLSP w Supraślu

do pawlacza, żeby stukaniem wciąż niezdejętych butów zagłuszyć myśli po co, po co, po co ten typ przyprowadził chłopca do siebie.

Za któryś razem nie zawróciła. Z kartonem mleka w ręku znów podeszła do judasza. Pusto, cicho. Przekreśliła klucz w zamku i uchyliła drzwi. Zawiasy zajęczały, ale nie wróciła do środka. Podeszła do kwietnika, który przy wycieraczkę ustawiła jeszcze jej babcia. Z mieszkania obok nie docierały żadne głosy. Tylko muzyka. Rytmiczna.

Dotknęła palcami ziemi – za sucha.

Nie ma mojej zgody na zero-jedynkową ocenę obcej osoby, z pozycji wścibskiego babska usytuowanego wygodnie w fotelu i klepiącego w klawiaturę. Skoro coś się dzieje, to niech się zainteresuje, zapuka, zapyta, a nie, że nawet dzień dobry nie powie, ale na policję uprzemie doniesie.

Musiała wyjść na klatkę jeszcze raz. Żeby podlać kwiatki, oczywiście. Ale muzyki już nie słyszała. Podeszła bliżej sąsiedzkich drzwi. Tak, trochę się bała, aż w gardle poczuła twardość, która w stresujących momentach stawała jak tama i nie pozwala wyrzucić z siebie słów, zalewających całe ciało.

Teraz też mogła zapukać, kiedy usłyszała chłopięcy płacz. Zapytać, czy jakoś pomóc, czy coś się stało, swobodnie, życzliwie, po sąsiedzku. Ale ta nieszczęsna tama. Musiała wrócić za własne drzwi.

Dobrze, że nie jesteś moją sąsiadką. Mam trójkę dzieci, z czego dwoje okropnie płaczkliwych, gorzej, nie powiem, czasem wyją tak, że bębniaki w uszach pękają. I co? Dawno bym już dzieci nie miała przy takiej sąsiadce. Skąd wiesz, że dziecko płacze, bo coś mu się złego dzieje? Siedzisz tam u sąsiada w mieszkaniu?

Odpaliła komputer. Bez większego przekonania wyszukała sobie kolejny odcinek serialu. Zanim się załadował i skończyły się wszystkie reklamy, jeszcze raz, ostatni,

podeszła do drzwi. Zbliżał się wieczór, wlewał się burą szarością na korytarz, ale nie zapaliła światła. Próbowwała coś dojrzeć przez judasza, ale straciła tylko pierwsze sześć minut z odcinka. Musiała cofać. I znów wskoczyły reklamy.

Poskrolowała fejsa, zajrzała na grupy. I wtedy znów zapomniała o serialu. Zadała pytanie na miejskiej grupie. Publicznej. Zaczynała się już czwarta minuta serialu, ale tym razem nie cofnęła do początku.

Ale konfitura z ciebie wyszła! Zanim zadzwonisz po służby, może napisz liścik? Możesz zostawić na wycieraczkę i obok jakąś czekoladkę czy ciasto. Zazwyczaj wystarczy być człowiekiem dla drugiej osoby, żeby wiedziała, że też nim jest. Napisz, że się martwisz, że chcesz pomóc. A jak się nic nie poprawi to wtedy możesz gdzieś zgłosić, ale delikatnie, anonimowo. Może do jakiejś fundacji?

Ciągłe powiadomienia nie dawały jej skupić się na serialu. Już nawet nie słyszała lektora, całkiem pogubiła się w fabule. Będzie musiała cofać. Do tego pewnie od początku, a robiło się późno i jutro musi wcześniej wstać. Aż sapnęła ze złości, zatrzymując odtwarzanie. I jakby na zawołanie, usłyszała coś. Spojrzała w kierunku drzwi.

Przesunęła laptopa i wyskoczyła z łóżka. W dwóch, trzech krokach była przy judaszu. Mężczyzna, mocno trzymając chude ramię, prowadził chłopca do windy. Wyglądali normalnie. Żadnej podejrzanego bładości albo rumieńców. Zwykle, szare twarze.

Poczekala jeszcze aż zasuną się drzwi windy, aż zgaśnie światło przed mieszkaniem. W ciemności widziała tylko wyświetlane na czerwono, kolejne numery. Kiedy pojawiło się zero, odkleiła się od drzwi.

Wróciła przed komputer i znów włączyła odcinek. Od początku. Jeszcze tylko wyciszyła telefon i spokojnie obejrzała reklamy.

ALEKSANDRA TARNOWSKA

– urodzona w 1990 r., absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Niektórzy chodzą na siłkę, na ring, a ona pisze. Swoje opowiadania publikowała m.in. w „Malkontentach”, „Drobiazgach” i „Epei”. W wolnych chwilach zachwyca się teatrem radiowym i przesłodzoną herbatą.

Joanna Kuklińska

Proszę pani

I.

– Skąd masz pewność, że to ona jest sprawcą tej zbrodni?

– Mojejcą, psze pani. Ona jest mojejcą. Tylko ona była w klasie, gdy ktoś zniósł Cynamonka.

– Krzysiu, a może narysujesz Cynamonka jeszcze raz? I dzięki tobie odzyska utracone życie?

Marta wielokrotnie zastanawiała się, dlaczego wybrała ten zawód. Mogła zostać kasjerką albo pilotką. Mogłaby teraz unosić się gdzieś wysoko ponad ziemią, z dala od tych małych, niewychowanych gamoni. Mogłaby. Rozważania nie potrwały jednak zbyt długo, bo z tego bujania w obłokach wyrwał ją przeraźliwy krzyk Stasia, któremu Władzio wrzucał właśnie małe, różnokształtne klocki Lego do majtek.

– Władziu, zostaw Stasia. Żuczku, klocki służą do budowania, a nie do...

– Ależ proszę pani. Staś powiedział, że był w toalecie i postawił kloca. Ja doprawdy nie wiem, co to miało znaczyć, ale chciałem uzupełnić mu ubytek klocków. W majtkach.

Gdyby ktoś zapytał Martę jeszcze raz, czy zgodzi się na bycie wychowawczynią w zerówkach, zastanowiłaby się ponownie. Na pewno nie zgodziłaby się na przyjmowanie do jej klasy jakiegokolwiek nauczycielskiego dziecka, a już na pewno nie zgodziłaby się na Stasia, syna Bogusi Majewskiej, najbardziej wymagającej polonistki wszechczasów. Jednak mleko się wylało. Za późno na te dywagacje, gdy dwudziestka dzieci kręci się po sali, szukając co by tu zmalować.

Z opresji wyrwał Martę dzwonek. Jak dobrze, że to już koniec na dziś. Ustawiała maluchy w pary, wyciągnęła Marysię spod ławki, bo ta wystraszyła się dzwonka (oczywiście Marysia, nie ławka, ławka stała niewzruszenie), rozdzieliła Patryka i Miłoszka, bijących się o stanie w parze z Izunią i, nareszcie, oddała dzieci do świetlicy. Dobrze, niech się Gabi, świetliczanka, teraz martwi o te maluchy. Zaraz zaczną przychodzić po nich rodzice i będzie miała trochę spokoju.

2.

Marta usiadła w rozłożystym, granatowym fotelu i przyrzekała się warstewce kurzu na książkach. Przypominał

jej delikatne płatki śniegu opadające na auta. Poczula, jak zdejmuje buty i bosą stopą wskakuje na swojego fiata pandę, aby tańczyć na śniegu. Jej żółta sukienka wirowała pięknie w rytm melodii z „La la land”, a przechodnie zatrzymywali się, aby podziwiać ten występ. Zaraz, zaraz, coś tu nie gra. No nie. Marta otworzyła oczy. Zobaczyła Łatkę, swojego podstarzałego cocker spaniela, liżącą mokrym językiem jej gołe stopy. No tak, zasnęła. Ma prawo być zmęczona. Która godzina? Piętnasta. Dobrze. Bartek – jej mąż – wróci z bliźniakami z treningu za jakąś godzinę. Jak to dobrze, że w rodzinie istnieją męskie pasje, takie jak judo. Chłopaki we trójkę trochę się posiłują, poturlają i poturbują, a potem wrócą do domu głodni i spokojni. Marta kochała to połączenie – uwielbiała karmić swoich mężczyzn, przygotowywać wydumane potrawy zaspokajające ich rosnące potrzeby, a do tego bardzo lubiła, gdy wszyscy byli w domu, ale bez zbędnych hałasów. Po prostu po całym dniu w szkole potrzebowała ciszy, herbaty i książki. I swojego męża. Zdecydowanie Bartek był jej buforem i lekiem na całe zło. Przy nim zapominała o powodziach, zamieciach i Stasiu Majewskim. Dobrze mieć takiego męża. Chociaż ich początki zaliczały się do bardzo burzliwych i o mały włos nie skończyły się oblaniem matury i wyjazdem do Indii, to teraz, po latach, nie miała już wątpliwości, co do słuszności swojego wyboru. Fajny z niego facet. A jak tańczy! Och, dobrze, że nie krępuje się tłumy gapiów. Jego dłoń delikatnie łapie ją w tali i pozwala się oprzeć, odchylając głowę do tyłu. Spadający śnieg pięknie osadza się na jego garniturze, gdy nonszalancko obraca Martę na dachu fiata pandy i... Dzwonek do drzwi? Skąd u licha dzwonek do drzwi na parkingu. Boże, znowu zasnęła.

– Cześć mamo, to my! To znaczy ja, bo Piotrek z tatą coś tam robią w garażu. Nawet nie uwierzysz, jaki łomot spuściłem tacie na macie! O, słyszałaś ten rym? Pani z polaka powiedziała, że mam potencję! Nie, po-ten-cjał. Tak, potencjał! Mamo, a jest obiad?

3.

– Jak ci minął dzień? – spytała Marta męża, gdy ten, prosto spod prysznica, wskoczył w końcu pod koldrę. Chłopcy

jeszcze odrabiali lekcje albo oglądali głupoty w internecie, ale Marta, dla świętego spokoju, wolała się trzymać tej pierwszej wersji. Popołudnie spędzili na treningu, później musieli się umyć i odpocząć, więc czas na lekcje znalazł się dopiero późnym wieczorem. I tak cieszyła się, że póki co, odpukać w niemalowane, chłopaki bez specjalnej namowy wypełniali swoje szkolne obowiązki. Dzięki temu w domu zapanowała cisza, spokój i przyjemny półmrok.

– A wiesz, że dobrze. Paweł jest coraz lepszy na macie. Jak z nim walczyć to daję mu fory, ale obawiam się, że niedługo taryfa ulgowa nie będzie już potrzebna. Za to Piotrek to intelektualista, co też dziś pokazał na treningu, powalając kolegę w dwie sekundy, bo zamiast prędkości i siły mięśni, wykorzystał sekwencję kilku chwytów. Nieźle nam się dzieciaki udały. No, a poza tym to nudno. Szef od rana był nie w sosie, więc wszyscy chodziliśmy koło niego na paluszkach. A jak u ciebie? Czy wielmożny Stanisław wygłosił dziś jakąś mowę?

– A żebyś wiedział! – krzyknęła Marta, śmiejąc się od ucha do ucha. – Dziś zajmował się etymologią stwierdzenia „stawić klocka”. Wiesz, jak siedzę z nimi tojestem strasznie zmęczona. Ale jak tak sobie teraz myślę, to smutno by było bez tych małych karaczanów.

4.

– Przepraszam, proszę pani, czy ma pani chwilę? – do klasy zajrzała rudowłosa Natalia z klasy 3a lub b.

– Tak, proszę, maluchy mają teraz angielski, do dzwonka mam jeszcze chwilę wolnego. Czy coś się stało?

– Nie. To znaczy tak. Proszę pani, ja na korytarzu znalazłam to. – Natalia wyciągnęła rękę zza pleców i oczom Marty ukazała się przezroczysta, foliowa reklamówka, z czymś

niezidentyfikowanym w środku. To coś niezidentyfikowanego niestety przywodziło na myśl tylko jedno – zebraną z trawnika psią kupę.

– Ojej, fuj, czy to jest to, co ja myślę? Jeśli tak to trzeba to szybko wyrzucić do śmietnika. I umyć ręce. Koniecznie z mydłem.

– Proszę pani, to nie to. To ładnie pachnie. A w smaku to chyba jest budyń czekoladowy.



Ewa Maksimowicz / PLSP w Supraślu

W tym momencie Martę zamurowało. Po pierwsze – skąd, u licha, pod jej sałą torebka foliowa z budyniem czekoladowym/psią kupą. Po drugie – dlaczego, matko kochana, Natalka wie jaki jest smak tego czegoś. Wolała nie pytać, wpatrywała się więc w uczennicę z szeroko otwartymi oczami i zastanawiała się, jakie są procedury na sytuacje takie jak ta.

– Proszę pani, czy mam to zanieść pani dyrektor? Bo to przecież poważna sprawa. Może ktoś handluje w szkole nielegalnym budyniem. Mieliśmy o tym na lekcji. Yyy, to znaczy nie o handlu budyniem, ale o tym, że nie powinniśmy nic sobie sprzedawać w szkole, bo to nielegalne. A my nie chcemy iść do wię-

zienia. Ale to w sumie mogłoby być ciekawe. Czy wie pani, że w więzieniach można się uczyć? Ale ja mam dopiero dziewięć lat, więc jeszcze nie można mnie aresztować. Chociaż czytałam historię, że w jakimś stanie w Ameryce...

Przydługi wywód Natalki został przerwany dzwonkiem. Wraz z nim do klasy wbiegła zerówka zupełnie nie zwracając uwagi na obcą uczennicę. Wygląda na to, że anglistka nie mogła wytrzymać z nimi całej godziny i odprowadziła ich tak, aby równo z dzwonkiem weszli do sali. Nic dziwnego, kto by z nimi wytrzymał.

– Płosię pani, heloooj, maj nejm ar Patrik, ukradli! – Patryczek wyglądał na bardzo zaabsorbowanego minioną

lekcją, ale również zaniepokojonego jakąś domniemaną kradzieżą.

– Patryk, spokojnie i po kolei. Tylko po polsku. Co i komu ukradli?

– Mi, torebkę.

– Dobrze – sprawność odpowiedzi Patryczka zaskoczyła Martę, która przywykła do bardzo rozwlekłych opowieści maluchów. – A co to była za torebka i czy wiesz kto ją ukradł?

– Moja mamusia duzio placuje. Ma takiego pana siofeja i on wiezie ją i jej kolezianki do hoteli. I one tam ładnie się ubiegają i opowiadają o pieniądzech. A ludzie psychodzą ich słuchać. Takie one są mądje. Ja to jeście citać nie umiem, a moja mamusia już książki pisze o biznesie. Takie beś objazków, tylko z litejkami.

Marta stwierdziła, że za wcześniej pochwaliła w myślach Patryczka. Trzeba się szybko dowiedzieć, co się stało, bo reszta klasy zaczyna już powoli rozrabiać. I to z nożyczkami w rękę, a to jest najwyższy poziom rozrabiania.

– Klasa, odłóżcie nożyczki, to, że z wami teraz nie rozmawiam, nie oznacza, że was nie widzę! Widzę! I zaraz wstawię smutne buźki, jeśli się nie uspokoicie! Patryczku, cieszę się z sukcesów twojej mamy, ale chcę się dowiedzieć, co z tą kradzieżą.

– No toś mówię. Mamusia pojechała i ja z siostrą zostaliśmy z tatusiem. I tatuś też jest siupej. Ziamawia pizzę na obiad, pozwaja ogądać w nocy bajki i jobi pyśne jedzenie do szkoły. No i ktoś mi ukjadł jedzenie! Bo na śniadanko tatuś zjobił kanapkę z chlebem, kotлетem z zamjaziarki i jabluszkiem. Pycha byjo, mama takich nie jobi. A na djugie śniadanie zjobił budyń. Ciekoladowy...

5.

Bartek śmiał się do rozpuku słuchając historii o zaginionym budynku czekoladowym w foliowej torebce. Kochał tak spędzać wieczory, przytulony do swojej pięknej żony, słuchając jej żalów związanych z ciężkim dniem w pracy, które dla niego brzmiały raczej jak komedia. No dobrze, patrząc na zmęczenie Marty, to może raczej jak tragicomedia albo nawet satyra.

– Widzisz kochanie jaki tobie się wspaniały mąż trafił? Jak kilka razy musiałem sam ogarnąć chłopców do szkoły to robiłem im normalne kanapki z żółtym serem. I nawet gotowałem ryż, żeby mogli zjeść z kotлетem. Nigdy nie wywinałem ci takiej akcji.

– O proszę, najdroższy, czyżbyś zapomniał już, jak kiedyś zostałeś z chorymi bliźniakami w domu, gdy ja musiałam iść do pracy? Mam ci przypomnieć twój popisowy numer?

– Martuś, czy ty musisz wywlekać teraz stare brudy? A poza tym, jak wróciłaś to chłopcy już lepiej się czuli. Czyli podziałało. A skąd ja miałem wiedzieć, że czopki to nie są takie zwykłe tabletki. Rzeczywiście były jakieś duże, ale popili wodą i jakoś poszło.

I tak leżeli sobie przytuleni, wspominając tę i wiele innych historii z ich życia. Marcie przeszło przez myśl, że to niezwykle, że choć są jeszcze w miarę młodzi to mają już tyle pięknych wspomnień. Pomyślała też o swojej klasie i jakoś ciepło zrobiło jej się na sercu. Choć dopiero skończył się wrzesień ona już naprawdę pokochała te dzieci. Dorobiła się też z nimi wielu historii, mogących konkurować nawet ze zjedzeniem czopka.

JOANNA KUKLIŃSKA

– nie pisarka i nie dziennikarka, za to dobra obserwatorka życia codziennego obdarzona sporą dawką poczucia humoru i kreatywności. Z zawodu położna i psycholog. Fanka życia wśród ludzi, aromatycznej kawy i książek, po których człowiekowi robi się lepiej na sercu. Ma nadzieję, że pewnego dnia stanie się autorką jednej z nich.

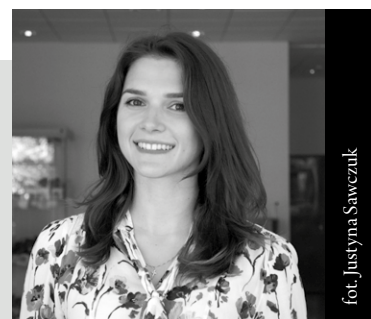


foto Justyna Sawczuk

Anna Bayer

Ksawery i hamburgery

W pewnym miasteczku mieszkał Ksawery,
który uwielbiał jeść hamburgery.
Jadł je od rana, aż do wieczora -
była to góra naprawdę spora.

Prosiła mama i prosił tato:
– Zmień swoją dietę chociaż na lato,
jedz pomidory, jabłka, marchewki,
jajka, sałatę, nabiał, rzodkiewki.

Lecz nasz Ksawery nie chce ich słuchać
i hamburgery wpycha do brzucha,
tłuste, smażone, razem z frytkami,
z sosem czosnkowym i z kielbaskami.

Ksawery tyje, w brzuchu go kłuje,
lecz z hamburgerów nie rezygnuje.
Łapie go kolka, w przelyku piecze,
męczy go zgaga największa w świecie.

Skakać i biegać już nie da rady,
brzuch ma jak balon, no bez przesady,
by chłopak musiał w domu się chować.
Pomoże tylko tu dieta zdrowa.

Świeża sałata, marchew, jabłuszka,
dobrze też zrobi z pora surówka,
rzepa na krzepę jest doskonała,
na deser jogurt, drożdżówka mała.

Ksawery teraz zjada owoce,
gasi pragnienie wodą, nie sokiem,
chętnie wybiera smaczną rzodkiewkę,
bo musi schudnąć chociaż troszeczkę.

Teraz Ksawery stawia na zdrowie:
basen, siatkówkę, rolki i rower
i z kolegami biegnie do lasu.
Na hamburgery nie ma już czasu.

Wielka draka

Na podwórku wielka draka:
kocur przebrał się za ptaka
i na drzewie zgrabnie siada,
ptakom bajki opowiada.

Ptaki bajki uwielbiają,
więc z uwagą go słuchają,
mrużą oczy, stroszą piórka,
tu odzywa się jaskółka:

– Powiedz, jakim jesteś ptakiem?
Kocur odrzekł: – Ja? Kurczakiem.
Na to wróbel oburzony:
– Baniałuki! Farmazoni!

Kłamiesz, ptaszku, bajki pleciesz.
Kurczak tutaj nie mógł wlecieć.
Wrona kracze oburzona:
– Futro sterczy mu z ogona!

Nie ma dzioba, piórek, lotek.
To jest bardzo brzydki kotek.
Ma pazury, ostre zęby,
które mu wystają z gęby.

– Uciekajmy szybko stąd,
bo nas pożre chytry kot
i wyskubie nasze piórka -
zaćwierkała znów jaskółka.

Ćwir, ćwir, kuku, gruchu, gruchu,
wstydz się, wstydz się, łakomczuchu.
Co za brzydka maskarada?
Ptaszki zjadać, nie wypada.

Zając i ślimak

Śmiał się zając ze ślimaka:

– Z ciebie wielka jest pokraka!
A do tego kuternoga!
Z tobą biegać czasu szkoda,
bo na plecach dom swój dźwigasz,
w towarzystwie rzadko bywasz.
Jesteś wielka ślamazara,
niedolega i niezdana.

Na to ślimak rzekł z pokorą:

– Od tych obelg uszy bołą.
Ja swą wartość dobrze znam.
Chociaż wolno, radę dam
dojść do celu, jeśli trzeba
to potrafię nawet biegać.
Dość przechwałek, twoich kpinek,
wzywam cię na pojedynek.

Już na starcie obaj stają,
doping słyhać, trąby grają,
wszyscy klaszczą, głośno krzyczą,
ze ślimaka raczej szydzą:
– Patrzcie, patrzcie moi drodzy,
toż ten ślimak ledwo chodzi.
Po zającu został kurz,
wyrwał susa, no i już.

Ślimak sunie się po drodze,
pot zalewa oczy, brodę,
dech zapiera, kolka kłuje,
a on dalej maszeruje.
Za to zając w międzyczasie
wpadł do domu na herbatę
oraz na niedługą drzemkę,
na sałatę i marchewkę.

Przeciwnika lekceważy,
zamiast biec już jest na plaży
i nurkuje w morskich falach,
chociaż szybki – przegra zaraz.
Bo nasz ślimak już przed metą!
Dom mu ciąży, plecy pieką,
jednak sunie wciąż wytrwale,
chyba wygra, niebywale.

Zając gna jak oparzony,
lecz ślimaka nie dogonił,
więc na mecie stanął drugi.
Teraz leje lez swych strugi.
Zapamiętaj przyjacielu,
konsekwentnie dąż do celu,
przeciwnika nie wyśmiewaj,
nawet kiedy szybciej biegasz.

ANNA BAYER

– pedagog, poetka, instruktor teatralny, autorka: scenariuszy teatralnych, wierszy dla dzieci, muzyki, tekstów piosenek, kolęd, pastorałek. W 2014 r. ukazała się jej książka z wierszami dla dzieci *Szczypawki*, a w 2016 – *Moda na dobre wychowanie*.

Pomysłodawczyni i współorganizatorka konkursów odbywających się na terenie miasta Białegostoku i województwa podlaskiego, m.in. Wojewódzkiego Przeglądu Małych Form Teatralnych „Kolędy to czas” czy Wojewódzkiego Konkursu Plastycznego „Przygody Tymoteusza Rymcimci”.

Jej pasją jest teatr, muzyka i dobra literatura. W wolnym czasie pisze wiersze, lubi niepotrzebne przedmioty, stare fotografie i ich tajemnice.



fot. Justyna Sawczuk

Barbara Gorzawska

O smoku, który nie był jaroszem i bohaterze, który nie był silny

Było sobie królestwo, wielkie i bogate. Władający nim król starał się być mądrym przywódcą, kierującym się dobrem swoich poddanych. Troszczył się o ich potrzeby, rozwiązywał spory i dbał o ich bezpieczeństwo. Życie tam było dobre. Tylko jedna rzecz spędzała sen z powiek króla i jego poddanych. Od kiedy istniało królestwo, istniał też smok, który mieszkał nieopodal. Był wielką, krwiożerczą bestią, która porывała zwierzęta, niszczyła domy i zabijała ludzi.

Kolejni królowie próbowali wielu sztuczek, żeby pozbyć się niewygodnego sąsiada. Podrzucali mu zatrute zwierzęta, barany wypchane siarką, rozwiesili nad wejściem sieci, żeby nie mógł wylecieć, nawet zamurowali mu wejście do jaskini. Nic nie podziałało. Trucizna przypawiła go o chwilową zgagę, która po tygodniu minęła, barany z siarką zjadł i nawet nie dostał po nich niestrawności, sieci porwał, a zamurowane wejście rozpadło się, kiedy tylko smok w nie kopnął. Przeciwno bestii ruszyły też całe rzesze dzielnych rycerzy, ale żaden z nich nigdy nie powrócił. Ludzie bali się coraz bardziej, rycerzy zaczynało brakować, a smok wciąż żył i miał się całkiem dobrze.

Król był już tak zdesperowany, że zaczął wzywać do siebie mieszkańców i prosić ich o pomoc. Kiedy żaden z dorosłych nie podołał zadaniu usunięcia smoka, król zwrócił się do dzieci. Pomyślał, że ich niecodzienne pomysły podpowiedzą mu rozwiązanie. Tak Kazik, całkiem zwyczajny dziesięcioletni chłopiec, został wezwany na audyencję u króla. Wszedł do sali, stanął przed władcą i uklonił się.

– Wezwałem cię tutaj, młody człowieku, ponieważ mam sprawę wielkiej wagi – powiedział król. – Chodzi o nękającą nas bestię. Czy mógłbym cię prosić, żebyś uwolnił nas od niej?

– Nie wiem, jak miałbym to zrobić. – Kazik podrapał się po głowie.

– To nielatte zadanie, jednak jeżeli ci się uda, nie omiśnie cię nagroda.

Chłopiec zaszepił się.

– Wierzę w ciebie – powiedział król.

Kazik skłonił się i wymaszerował z sali. Wsiadł na czekającego przed zamkiem konia i ruszył przed siebie. Był tylko chłopcem, nie miał ani tyle siły, ani odwagi co ludzie, którzy stawili smokowi czoła i poległi. Słyszał mnóstwo opowieści o nim i był tak przerażony, że przez moment pomyślał, żeby zrezygnować. Nie zjechał jednak z drogi. Galopował przez pola i lasy, mijal miasteczka i wioski. Powoli okolica stawała się coraz bardziej pustynna. Lasy zmieniły się w rozległe łąki, miast ani wsi już nie było. Wreszcie na horyzoncie zamajaczyła potężna góra, w której wnętrzu mieszkał smok. Jej wejścia strzegł szlaban z napisem: „ZAKAZ WSTĘPU”.

Kazik zeskoczył z siodła. Chwilę stał przy swoim wierzchowcu, czując, jak jego towarzystwo dodaje mu odwagi. Nie mógł go zabrać ze sobą, chwycił więc przypięty do siodła miecz i bardzo wolno wszedł do pieczary.

Wewnątrz panował mrok, mimo to chłopiec skradal się po cichu. Nie chciał zostać zaskoczony przez bestię. Idąc, mijal szable i osmolone kawalki zbroi, na widok których jeżyły mu się włosy na głowie. Wtem z oddali zaczęły dobiegać ledwo słyszalne odgłosy. To oddychał smok, powoli wciągał i wypuszczał powietrze. Kazik mocniej ścisnął miecz. Kiedy dotarł do ostatniego zakrętu, bardzo ostrożnie wyjrzał zza skały i zobaczył ogromną pieczarę pełną złota i drogich kamieni. Pod jedną ze ścian opary dymu unosiły się znad bulgoczącej lawy. Na wielkim, perskim dywanie leżał zielonoszary smok. Z jego nosa buchała para.

Kazik poczuł się bardzo mały i pomimo ściskania w ręce miecza, bezbronny. Znów dopadła go myśl o ucieczce, ale przypomniał sobie króla i wszystkich ludzi, którzy na niego liczyli. Chwilę stał w miejscu, zbierając całą odwagę, jaką miał. Nie było to łatwe, jeden rzut oka na smoka sprawiał, że od razu bał się bardziej.

Smok nagle otworzył jedno oko i lypnął gniewnie na klepisko pieczary, ale nikogo nie zauważył. Wziął więc głębioki wdech, a jego czerwone źrenice zwężyły się, kiedy wyczuł intruza.

– Wyłaż tchórze! – Głos smoka odbił się od sklepienia pieczary i przeszył chłopca. Kazik z wielkim trudem wychylił się zza skalnego zakrętu. Smok wykrzywił się w złowieszczym grymasie, w tym momencie Kazik zrozumiał, że mieczem niczego nie zdziała.

– Czego chcesz? – wyszczała bestia przez zęby, a jej język zadrgał w paszczy.

– Przybyłem... z tobą porozmawiać – powiedział słabym głosem, chowając miecz do pochwy.

– A to ciekawossotka – zaśmiał się smok. Zbliżył swój ogromny pysk do intruza i przyjrzał mu się uważnie.

Chłopiec był tak przerażony, że ledwo był w stanie mówić.

– Dla-dlaczego nap-p-padasz na wioski? – wyjąkał.

– Nie napadam. – Smok podniósł się. Był tak wielki, że wypełniał całą pieczarę.

– N-niszczysz domy, zab-bijasz ludzi i z-z-zwierzęta? – Pomimo panującego w pieczarze gorąca, drżał tak bardzo, że szczękały mu zęby.

– Waszsze domy rozpadają ssię sssame. Wyszstarczy, koło nich ssstanąć. Budujecie je takie liche.

– A ludzie? – wyrzucił z siebie szybko, zanim strach znów odebrałby mu mowę.

– Napadli na mnie, bronilem ssię.

– A zwierzęta?

– Też je zabijacie.

– To nieprawda! – Zaprzeczył od razu, ale zaraz skulił się w obawie przed smokiem. – Troszczymy się o nie – dodał bardzo cicho.

Paszczka smoka wykrzywiła się w uśmiechu.

– Tak? A ssskąd macie mięssso? Na drzewach nie rośśnie.

– Mięso? – zdziwił się tak bardzo, że zapomniał, że się boi.

– Jadacie mięssso.

– To co innego. – Podrapał się po głowie.

– Aha! Czyli wam wolno jeśść zwierzęta, a ja mam być jaroszszzem? Jessstem tak sssamo mięsssożerny jak wy!

Kazik nabrał powietrza w usta, ale nie wiedział co odpowiedzieć smokowi.

– To dlatego napadasz na wioski?

– Nie mam wyboru. Nikt nie chce mi sssprzedać mięsssa. Ludzie ledwo mnie widzą wyciągają te szszszpilki i kłują! – Podniósł ogon, który wyglądał jak poduszka

do igieł. Wszędzie wystawały miecze, halabardy, topory i szable. – Wieszysz jak to boli?

– Dlaczego tego nie wyciągniesz?! – Krzyknął przerażony tym widokiem chłopiec.

– Mam za długie pazury, a te igły sssą takie malutkie – syknął zły.

– Mogę ci pomóc i je wyciągnąć.

– Naprawdę mógłbyśś? – zdziwił się smok.

– Ale pod jednym warunkiem – dorzucił nieśmiało Kazik.

Smok zaśmiał się tak, że cała pieczara się zatrzęsła, a Kazik poczuł się jeszcze mniejszy niż przedtem, jego strach powrócił ze zdwojoną siłą.

– Zawszsze jessst haczyk. – Z nozdrzy zwierzęcia buchnęła para.

– Już nigdy nie będziesz zabijał ludzi i niszczył ich domów.

– Ssskąd zatem będę miał baraninę?

– Musisz jeść mięso?

Smok otworzył swoją wielką paszczę, ukazując wielkie, ostre jak miecze zęby.

– To nie sssą zęby do gryzienia trawy. – Chłopiec zatrząsł się na ten widok. – Poza tym uwielbiam baraninę, zwłaszszcza lekko przypieczoną. – Zamknął oczy i mlaśnął językiem.

– Dlaczego nie zaczniesz hodować własnych baranów? Nie musiałbyś się wtedy fatygować do wioski.

– Nie mam ani chwili ssspokoju. Wiecznie kręcą ssię tutaj ludzie, depczą, i hałassują ssswoimi zbrojami. Nie da ssię pracować w takich warunkach. Włażą do pieczary, pomimo że jessst szszszłaban i napisss. Może wy nie potraficie czytać? – Zastanawiał się. – I powinien być dla wasss obrazek?

– Potrafimy czytać – zasepił się Kazik. Przypomniał sobie, że też widział napis, a mimo to zignorował go i wszedł do środka. Sądził, że to ludzie postawili szłaban, a to smok nie chciał, żeby ktokolwiek wchodził. I tak jak wszyscy inni, on również zignorował zakaz.

– Czytacie, a mimo to wchodzicie? – Zdziwił się smok.

Kazik poczuł się winny, smok miał rację.

– Mało tego, panoszszzycie ssię jak u sssiebie, to szszszczyt bezczelnośści! Po korytarzu wiecznie chodzą ludzie, wymachują mieczami i grożą. Jessstem potomkiem bardzo ssstarego rodu, mądrych i łagodnych sssmoków, ale dla wasss to nieważne. Byle ussięc bessstię! Przeszszzkadza wam, że porywam zwierzęta, ale nikt



Róża Wiktoria Jaroszewicz / PLSP w Supraślu

nie chce mi sssprzedać ani jednego. Nie interesssuje wasss, że nie mam co jeśść!

Smok odwrócił się tyłem. Najeżony ostrymi mieczami ogon zamajaczył Kazikowi przed oczami. Był wielokrotnie większy i groźniejszy od ludzi, a mimo to cierpiał z ich powodu. „Tak nie powinno być” – pomyślał. To nie była jego wina, że tak wyglądał. Kazikowi zrobiło się wstyd. Napadanie kogoś w jego własnym domu było czynem niegodnym rycerza, bez względu na okoliczności. Podszedł do pierwszego wbitego w ogon miecza i wyciągnął go.

– Co robiszszsz?

– Czyszczę ci ogon. Trzeba to wyciągnąć i zdezynfekować rany.

Sięgnął po kosę wbity pomiędzy dwie luski. Wyszarpnął ją i odrzucił na bok.

– Niczego nie obiecałem – zdziwił się smok.

– I tak trzeba to oczyścić i opatrzyć. Możesz dostać zakażenia i umrzeć od zarasków.

Kazik pracował dzielnie. Między luskami pełno było żelastwa, nie tylko mieczy i kos, ale też noży, sztyletów, sierpów, nawet kawałków drutu kolczastego. Smok cierpliwie czekał, chociaż bez wątpienia nie było to przyjemne. Kiedy nie zostało już nic do wyciągnięcia, Kazik przyjrzał się ranom.

– Masz wodę utlenioną?

– Po co komu woda, kiedy ma sssię lawę – zaśmiał się smok. Humor mu się poprawił. – Nawet najbardziej chorobotwórcze zaraski nie przetrwają, jeżeli zanurzyć je w płynnej lawie.

– Nie poparzysz się?

– Jessstem sssmokiem. Nie ma dla nasss nic przyjemniejszszszego niż kąpiel w lawie. Jessst bardzo dobra na lussski, sssą potem twarde i lśśniące.

– Dlaczego wcześniej tego nie zrobiłeś? Całe to żelastwo rozpuściłoby się w lawie.

– To, co miałem wbite pod lusskami i tak by zossstało.

Smok z radością wskoczył do lawy, chlapiąc nią na wszystkie strony.

– Już dawno nie czulem sssię tak dobrze! – Zawołał po wyjściu. Lawa skapywała z niego i tężała na klepisku pieczary. Luski lśniły pięknym zielonym kolorem. – Teraz to dopiero czuję sssię głodny! Zjadłbym i ssslonia, pomimo że sssą mało sssmaczne.

– Myślę – powiedział Kazik po chwili zastanowienia – że wiem jak rozwiązać twój problem. Muszę się rozmówić z królem.

– Po co?

– To on mnie tu przysłał i jeżeli sprawa ma zostać zakończona, to trzeba to zrobić u króla.

– Możemy też udać, że cię zjadłem i nie będzieszzsz musssiał do niego iśść – zaproponował smok. – Dam ci trochę mojego złota i pozwolę odejśść. Nikt nie musssi wiedzieć, że cię wypuśściłem.

– Jeżeli chcesz żyć w spokoju, muszę się spotkać z królem.

– W takim razie mógłbym go zjeśść. Problem króla byłby rozwiązany.

– Wtedy ludzie by się bardzo zdenerwowali. A jeżeli wybraliby nowego króla, to już w ogóle nie miałbyś spokoju.

– Twój król jessst jak inni, nie ssslucha co sssię do niego mówi.

– Mimo wszystko spróbuje.

Smok długo się zastanawiał.

– Ssskoro tak się upieraszzsz, nie będę cię zatrzymywał. Ossstatecznie... mogę cię podwieźć, w ramach podziękowania za oczyszzszczenie ogona – zaproponował smok.

– Tak!

Przejażdżka na smoku to nie byle gratka, bez względu na to, czy jest się rycerzem, czy chłopcem.

– Wsskakuj!

Smok pochylił się, a Kazik wsiadł na grzbiet. Ruszyli przez tunel w kierunku wejścia do góry.

Na zewnątrz gad wyprostował się i rozłożył skórzaste skrzydła. Zamachał nimi kilkakrotnie. Skóra zatrzęszczała niczym stalowa blacha.

– Czy możemy zabrać mojego konia? Nie chciałbym, żeby został tutaj sam.

Smok delikatnie chwycił zwierzę w łapę i wzbił się w powietrze. Lecieli nad światem, a ludzie z wiosek i miast wychodzili na ulicę i zadzierali głowy do góry, żeby przyrzec się temu niecodziennemu widokowi: smok z jeźdźcem i koniem w szponach. Kiedy wylądowali na placu zamkowym, straż królewska w popłochu rzuciła się do walki, halabardnicy otoczyli smoka, a strzelcy przygotowali kusze i łuki.

– Nie strzelajcie! – krzyknął Kazik, podnosząc ręce do góry. – Jestem rycerzem króla i przylecieliśmy się z nim rozmówić.

Zsiadł ze smoka i ruszył w kierunku sali tronowej.

– Kazik! Sądzilem, że i ciebie pożarł smok! – Król szczerze się ucieszył, widząc go całego i zdrowego.

– Królu nie przybyłem tutaj po nagrodę, gdyż jeszcze nie wykonałem swojego zadania.

– Jak to?

Kazik otworzył drzwi na balkon, a smok wsunął do środka swój pysk. Był tak wielki, że zajmował całą salę tronową. Król pobladł na ten widok.

– Oto smok, którego wszyscy się boją. Nie jest zły ani niebezpieczny, jednak w obronie własnej musiał pokonać wszystkich rycerzy, których do niego wysłałeś.

– A te dwie zniszczone wioski? – Zastanowił się król.

– Jak widziszsz królu, jessstem ssspory i gdzie sssię nie obróćę o cośś zahacę. Naprawdę ciężko jessst mi nie niszzszczyć waszzszczych domków – odpowiedział smok. Para z jego nosa buchała królowi w twarz.

– Smok lubi baranię i to na niej mu zależy. Najlepszym rozwiązaniem będzie, jeżeli mu ją dostarczymy. W ten sposób nie będzie musiał fatygować się do wiosek i miast po mięso.

– Pomysł niezły, ale nie mogę nagle zabrać ludziom baranów i powiedzieć, że to dla smoka. – Król poglaskał długą brodę.

– Nie powiedziałem, że chcę je za darmo – zaprotestował smok. – Mam złoto i mogę za nie zapłacić.

– W takim razie załatwione! – Król klasnął w dłonie. – Jeszcze dzisiaj wydam dekret, według którego raz w tygodniu będziemy ci dostarczać barany.

– Jest jeszcze jedna sprawa – wtrącił się Kazik. – Smok nie życzy sobie, żeby wysyłać do niego kolejnych rycerzy.

– Lubię prywatność i na szszszlabanie napissałem: zakaz wssstępu, ale nikt sssobie z tego nic nie robi – poskarżył się.

– W takim razie moi heroldzi ogłoszą, że ziemia otaczająca twoją górę również należy do ciebie i każdy, kto na nią wstąpi będzie ukarany grzywną.

Smok chciał pokiwać głową, ale był tak wielki, że w komnacie nie było już na to miejsca. Wyjął więc pysk i wypuścił w powietrze ogniste języki.

– A więc zgoda! Dziękuję ci, Kaziku. Jesteśś jesszzszcze mniejszzszy niż pozossstali ludzie, a jesteśś od nich wszszszystkich sssto razy mądrzejszzszy – powiedział i odfrunął do swojej pieczary.

Król wyszedł na balkon. Na placu zamkowym zebrali się mieszkańcy miasta.

– Dziękujemy ci, Kaziku! – powiedział tubalnym głosem. – Uratowałeś nas od smoka. I udało ci się tego dokonać nie mieczem, ale rozumem. Nikt do tej pory nie pomyślał o tym, żeby załatwić sprawę polubownie. W ten sposób nie musimy zabijać smoka, a i on nie będzie nas już nękał. Oto twoja nagroda. – Król wyjął z kieszeni złotą kokardę. – Mianuję cię najwyższym królewskim doradcą! – Przypiął kokardę do kurtki Kazika. – Od dzisiaj, ilekroć będę miał problem do rozwiązania, zwrócę się wpierw do ciebie.

Wszyscy zaczęli bić brawo.

Od tego czasu smok przestał nawiedzać wioski, a ludzie przestali niepokoić smoka. Nadal przerażała ich jego wielkość, jednak zrozumieli, że mogą mieszkać obok siebie, nie przeszkadzając sobie nawzajem.

BARBARA GORZAWSKA

– pochodzi z Rybnika, obecnie mieszka w Szwecji. Autorka opowiadań, laureatka konkursu Fabryki Słów „Ostatnia cytadela” na opowiadanie z gatunku fantastyki postapokaliptycznej, a jej *Śledztwo w sanatorium* zdobyło wyróżnienie w konkursie na opowiadanie kryminalne. Od pamiętnego marca 2020 r. także autorka bloga „Dziennik czasu zarazy, czyli Covid-19 w Szwecji”, z przymrużeniem oka opisującego paneuropejskie zmagania z pandemią. Udziela się pisarsko w przedsięwzięciach non-profit.

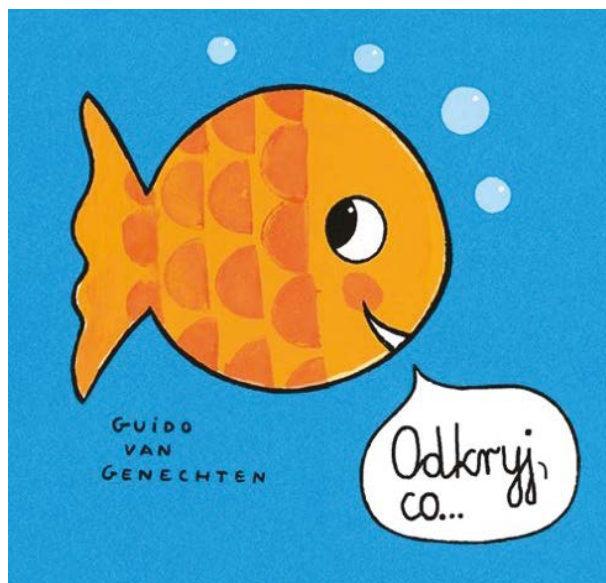
Tomasz Filipowicz

5 „mądrych książek” dla dzieci

Dziecięcy umysł jest niesamowity! Często zaskakuje nas, dorosłych, swoimi możliwościami, spośród których najbardziej fascynująca jest nieszablonowość myślenia. Gdy my, poważni, stateczni i mądrzy dorośli napotykamy jakiś problem lub zagadnienie, które jest dla nas nowe, staramy się je zmierzyć, ocenić i sklasyfikować. Wykorzystujemy do tego normy, które zostały nam wpojone na przestrzeni lat przez system edukacyjny i życiowe doświadczenie. I tu właśnie objawia się potęga dzieci – one jeszcze nie znają tego całego „systemu mierniczego”! Bo o ile jest on pewną możliwością, uniwersalnym rozwiązaniem, o tyle też staje się klatką naszego postrzegania świata. Klatką, z której dzieci potrafią się wyrwać, gdyż... nie widzą krat!

Gdyby dać małym dzieciom możliwość zadania pytania na dowolny temat, usłyszelibyśmy, jak intryguje je, dlaczego niebo jest niebieskie, dlaczego wyginęły dinozaury, dlaczego nie widać powietrza, gdzie mieszkają lwy itp. Gdyby dać tę samą możliwość starszym nastolatkom lub dorosłym... pewnie nie usłyszelibyśmy żadnego pytania. Często wstydzimy się je zadawać, bo przecież „powinniśmy już to wiedzieć”. Dlatego tak ważne jest rozbudzanie ciekawości, intrygowanie, popychanie dziecka w kierunku coraz to nowych zagadnień, kiedy jeszcze wszystko, co je otacza, jest nowe i świeże. Jednym ze sposobów, by to zrobić są książki.

Rynek pełen jest pozycji popularnonaukowych skierowanych do młodych czytelników. Ale tutaj uwaga! Książka taka musi pobudzać, fascynować, zachęcać do przeżycia wspólnej przygody. Stąd właśnie pozwoliłem sobie na subiektywny wybór najciekawszych książek naukowych dla dzieci.



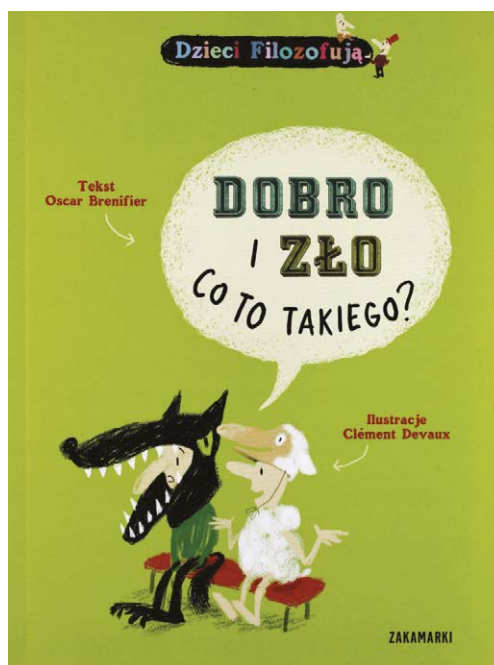
Van Genechten Guido, *Odkryj, co...*
Wydawnictwo Adamada, 2016

Pozycja dla najmłodszych czytelników do wspólnego czytania wraz z rodzicami. Pozwala uwolnić wyobraźnię i kreatywność, dając miejsce na najciekawsze skojarzenia i pomysły. Co przypomina muchomora? Co wygląda jak pędzel? Czy tukan ma coś wspólnego z bananem? Wszystko to zamknięte w piękne, kolorowe i intensywne ilustracje. Po co to wszystko? Dzięki tej pozycji dzieci ucą się odkrywać podobieństwa, zwracać uwagę na szczegóły i stają się bardziej spostrzegawcze. Same korzyści! A do tego jeszcze okazja na wspólną zabawę z dorosłymi.



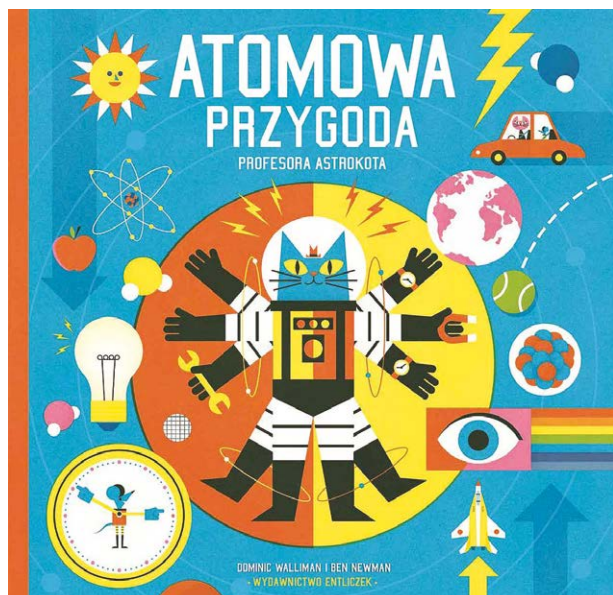
Alex Frith, *Kto, gdzie, kiedy? Książka z okienkami*
Wydawnictwo Olesiejuk, 2015

Duży format i piękne ilustracje już od samego początku wzbudzą wielkie zaciekawienie nawet w kilkuletnich czytelnikach. A przecież to dopiero początek! Ciekawostki i informacje są tu jasno i czytelnie posegregowane, gdyż każda strona porusza inną tematykę. Dzięki temu może być ciekawym wyzwaniem nawet dla najbardziej wymagających odkrywców. To doskonała okazja, by wyruszyć w tę podróż razem z naszymi pociechami, gdyż wiedza zawarta w *Kto, gdzie, kiedy?* jest ukryta w blisko 150 okienkach. Dzięki temu podróż w kosmos lub w głąb oceanów, do świata rozrywki, do tego co największe, najdłuższe i najstarsze jest jeszcze bardziej pociągająca. To doskonała pozycja nie tylko do ciągłego czytania, ale także do przeglądania na wrywki – te atuty sprawiają, że na długo będzie świetną rozrywką dla dzieci i być może ich rodziców.



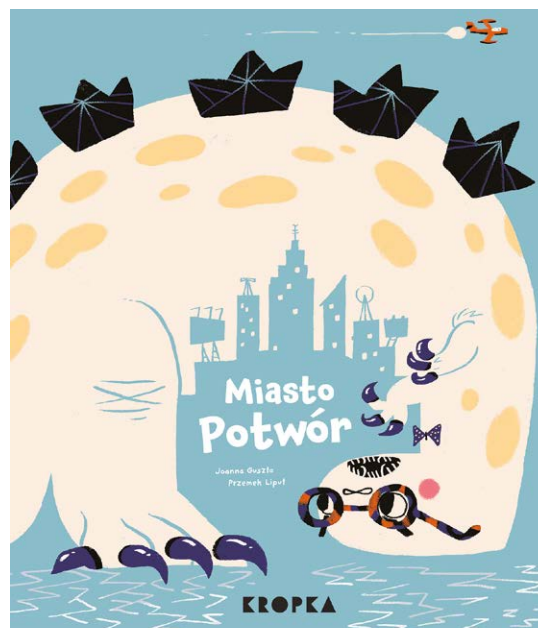
Oscar Brenifier, *Dobro i zło. Co to takiego?*
Wydawnictwo Zakamarki, 2013

Nie tylko na naukach ścisłych świat stoi. Przecież nasi milusińscy mogą mieć (i pewnie mają!) całkiem filozoficzną naturę. Nie chodzi tu tylko o teoretyczne podejście do tej pięknej dziedziny nauk, ale o jej realne zastosowanie w życiu. Właściwie nie jest to książka do czytania, ale wielki zbiór poważnych pytań zaserwowanych w przystępny sposób. Czy można kraść? Czy można robić w życiu tylko dobre rzeczy? Kto stwierdził, co jest dobre, a co jest złe? Autor przedstawia argumenty, które mają rozszerzyć perspektywę spojrzenia na problem, ale zarazem nie tworzą gotowej odpowiedzi. Wszystko klarownie posegregowane w działy takie jak: wolność, prawo, uprzejmość, posłuszeństwo oraz wiele innych. Sama książka jest tylko początkiem, bo jej główny cel to zachęcenie do wspólnej dyskusji o życiu, świecie i prawach, które nim rządzą oraz o naszej obecności w społeczeństwie. Polecam całą serię „Dzieci Filozofują”.



Dominic Walliman, Ben Newman,
Atomowa przygoda profesora Astrokota
Wydawnictwo Entliczek, 2022

Prawdziwy smaczek dla wszystkich dzieciaków, które poszły już do szkoły i są gotowe odnaleźć prawdziwe, konkretne i rzetelne odpowiedzi na pytania o prawa, rządzące naszym światem. Fizyka, bo o niej mowa, tłumaczy, jak działa łódź podwodna, jakie siły na nas oddziałują, ale też skąd o tym wiemy, czyli bardzo solidne wyjaśnienie metody naukowej. Brzmi bardzo poważnie? Nie wpadajcie w przerażenie! Wszystko ujęte jest w kolorowe infografiki, a przewodnikiem po tej wspaniałej przygodzie będzie profesor Astrokot – superbystry kot. Jego obecność jest gwarancją, że podane informacje będą przedstawione w przystępny i ciekawy sposób. Jeśli szukacie dobrego pomysłu na rozbudzenie ciekawości i chociaż chwilowe zaspokojenie wiecznego, dziecięcego głodu wiedzy, to pozycja właśnie dla Was. W drogę! W fascynującą podróż z profesorem Astrokotem!



Joanna Gusztka, Przemek Liput, *Miasto Potwór*
Kropka, 2020

Historia zaczyna się piorunująco! Do spokojnego miasteczka Miastoszewo zawitał raptem potwór! I to nie taki zwykły, skrywający się w zakamarkach, od czasu do czasu przemykający nocnymi uliczkami. Ten potwór był ogromny i przeraził wszystkich. Do tego przybył do miasta po to, by je pożreć. Okazało się jednak, że Miastoszewo nie jest wcale jakimś wielkim frykasem w potworowym menu. Bo miasto jest brudne, nieuporządkowane, brakuje w nim parków i placów zabaw, pełno jest odrapanych kamienic, brzydkich sztyldów i zniszczonych elewacji. Zdecydowanie nie przypadło potworowi do gustu. Mieszkańcy są poruszeni tą decyzją i... biorą się do pracy. Sprzątają, odmalowują, odrestaurowują, sadzą i się spotykają. Wszystko po to, aby ich miasto też stało się piękne. Czytelnik pozostaje z pytaniem, kto był prawdziwym potworem – brudne i zaniedbane miasto czy monstrum, które przyszło je pożreć? Czego uczy ta przepiękna książeczka dla najmłodszych? Znajdziemy tu zachętę do proekologicznych zachowań oraz propozycję działań, dzięki którym mielibyśmy żyć w ładniejszym i lepszym miejscu. I nie ma różnicy, czy mieszkamy w wielkim mieście, czy w małym miasteczku. Od najmłodszych lat należy wpajać dzieciom potrzebę piękna i szacunku do otaczającej nas przestrzeni. Te trudne i ważne zagadnienia ubrane są w przepiękne grafiki, które cieszą oko i dają okazję do niejednego uśmiechu.

Jest to niewielki wybór, pełen subiektywnych opinii i własnych zachwyków, jednak przedstawione w nim książki są niczym ożywcze tchnienie na przeogromnym rynku wydawniczym, skierowanym do dziecięcego odbiorcy, gdzie tak wiele jest pozycji niechlujnych, brzydkich i wydawanych „na ilość”. Mam nadzieję, że publikacje ujęte w tym krótkim przeglądzie wzbudzą ciekawość i pasję, która być

może przetrwać chwilowe zachwyty. Carl Sagan – astronom i pisarz, jeden z ważniejszych, współczesnych popularyzatorów nauki, autor wspaniałych i porywających książek napisał kiedyś: „Ileż myślałem o tych odkryciach, czuję dreszcz podziwu, a moje serce zaczyna bić szybciej. Nie mogę się temu oprzeć. Nauka jest zachwytem i rozkoszą”. Takiego właśnie drżenia życzę Wam i Waszym pociechom.

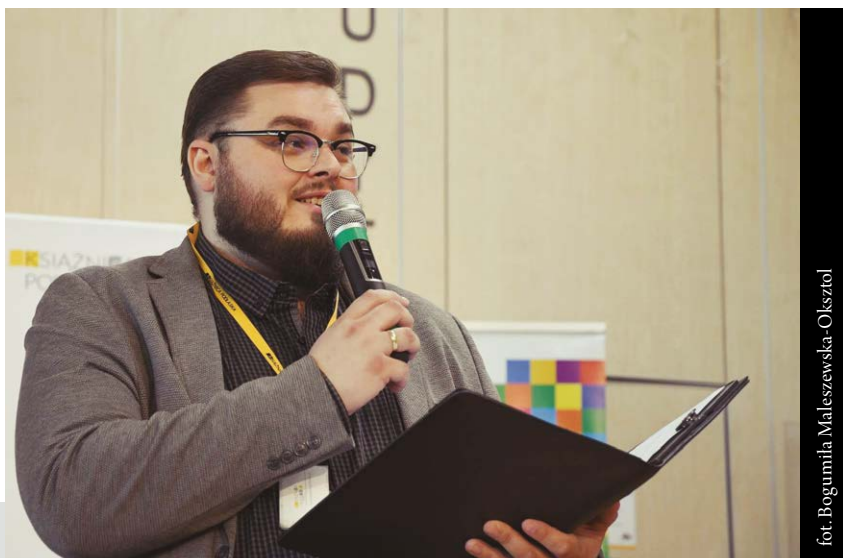


foto. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

TOMASZ FILIPOWICZ

– bibliotekarz i aktywista, mąż i ojciec – rolę można by wymieniać znacznie więcej. Uważa, że świat jest opowieścią i sam lubi je snuć. Przyznaje, że „lubi piękne i poruszające narracje”, dlatego nie różnicuje dobrych książek, gier, seriali, muzyki czy filmów. Najważniejsza jest opowieść i jej piękne zaaranżowanie.

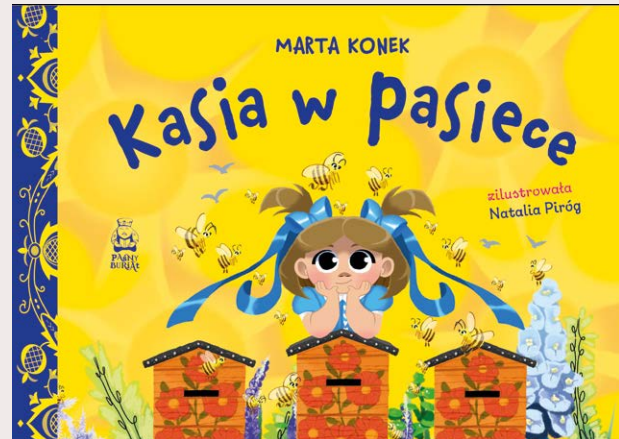
Recenzje Redakcji



Celina Zubrycka, *Tere fere, czyli bajki z dziecięcego pokoju*
Fundacja Sąsiedzi, 2022

W czasach, gdy możemy coraz więcej, gdy technologia pozwala nam sięgać do niemal niewyobraźnego, jak na ironię socjologowie biją na alarm w związku z kryzysem... wyobraźni. Coraz trudniej jest nam budować w głowie wizje i marzenia, które odbiegają od rzeczywistych możliwości, dlatego książki takie jak *Tere fere, czyli bajki z dziecięcego pokoju* autorstwa Celiny Zubryckiej są nam szczególnie potrzebne. To nic innego jak wielka-mała przygoda, która porusza zmysły, rozbudza wyobraźnię i odrywa od codzienności. Czytelnicy wyruszą w podróż w towarzystwie muchy Adeli, pająka Gustawa i oddziału małych kaczek (wielkości kciuka), które nazywają się: Su, Per, Bo, Ha, Ter. Akcja dzieje się w pokoju ośmioletniego Ignasia, który przypadkowo dołącza do historii, widząc świat oczami małej kacuszki-figurki, która jest mieszkańcem jednej z jego szafek. Ale zabawa ma również drugie dno, bo książkę tę można śmiało wpisać w kategorię literatury biblioterapeutycznej. Losy głównych bohaterów są okazją do poruszenia bardzo ważnych kwestii, takich jak: przyjaźń, szacunek, los osób starszych oraz... istota sztuki.

(tf)



Marta Konek, *Kasia w pasiece*
PaŃny Buriat, 2022

Od kilku lat temat wymierania pszczół powoli „przebija się” do powszechnej świadomości, ale... jest ignorowany. Zdajemy się nie widzieć zależności pomiędzy gatunkami, a wielkiej filozofii tu nie ma: jeśli wyginą pszczoły, wyginą też ludzie.

Obserwując poziom ignorancji konsumpcyjnego społeczeństwa, nie mam zbyt wielkich nadziei na to, że odmienimy los naszej planety. Mogą to natomiast zrobić kolejne pokolenia. Kluczem jest świadomość i edukacja.

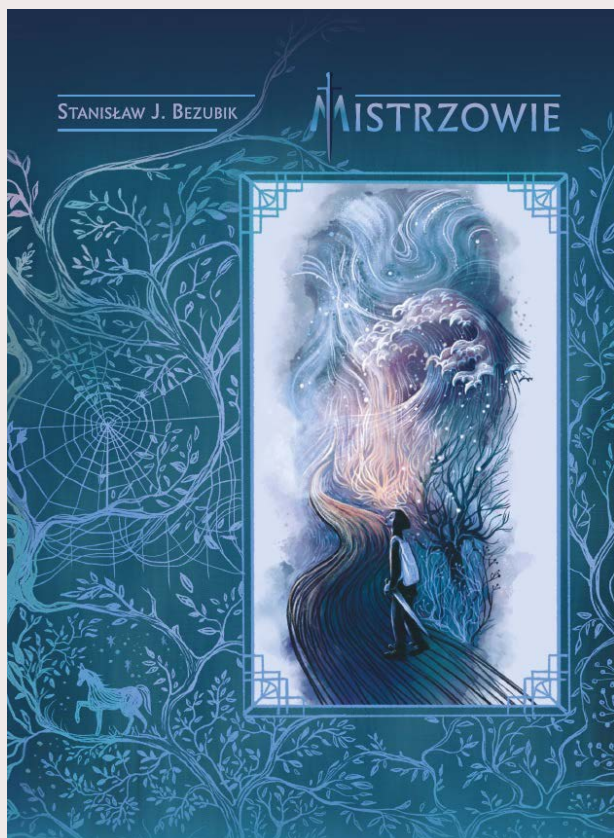
I tu z pomocą przychodzi Marta Konek – pszczelarka i dziennikarka, która zaprasza dzieci do pasieki. Snując opowieść o Kasi – rezolutnej i ciekawskiej dziewczynce, autorka wprowadza młodego czytelnika do świata przyrody.

Babcia Kasi prowadzi pasiekę, z cierpliwością odpowiada na niezliczone pytania dziewczynki, wyjaśnia m.in. jak zbudowany jest ul, jak należy się zachowywać w obecności pszczół, jaką rolę pełni królowa, a jaką robotnice czy trutnie, czym jest rójka, a czym oblot. Konek tłumaczy, dlaczego pszczoły są takie ważne, ale też podpowiada, co szkodzi owadom i jak im pomóc.

Choć to pszczoły są głównymi, zwierzęcymi bohaterami tej książki, autorka przemyca również wiedzę na temat zachowań ptaków czy innych owadów, ale też porady z zakresu ogrodnictwa. Jako pomocy w objaśnianiu świata natury, używa m.in. ludowych mądrości, w postaci powiedzonek (np. „Siejesz w błoto, zbierasz złoto”) oraz ilustracji autorstwa Natalii Piróg.

Mądra, uwrażliwiająca młodego człowieka na przyrodę i niezwykle potrzebna – szczególnie dzisiaj – książka.

(js)



Stanisław J. Bezubik, *Mistrzowie*

Seria: Mały Księżyc

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku, 2022

Mistrzowie dziesięcioletniego Stasia Bezubika otwierają nową serię wydawniczą Książnicy Podlaskiej, zatytułowaną „Mały Księżyc”. Patrona serii nietrudno zdemaskować – to Mały Książę, bohater powiastki filozoficznej Antoine’a de Saint-Exupéry’ego, kanonicznego dzieła, którego oryginalność brała się chyba z umiejętności dopasowania się pilota i jednocześnie narratora baśni do perspektywy i wyobraźni chłopca. „Mały Księżyc” posuwa się znacznie dalej i jest – nie pierwszą, na pewno też nie ostatnią – rzeczywistą demonstracją dziecięcego uniwersum. Czymś w rodzaju rodzinna w masie namnażających się książek od dorosłych autorów.

Biblioteka dziecięca to dziś przeolbrzymia machina miriadowymi działaniami próbująca pobudzić młode serca do czytania. Obok pomysłów tematycznych, promocyjnych itd., na pierwszy plan bodaj zawsze wybija się szata graficzna i nie inaczej dzieje się w przypadku *Mistrzów*. Fantastyczna, współodczuwająca praca Małgorzaty Masłowieckiej



uwalnia się od warstwy podawczej opowieści i natychmiast do niej przywiera pomysłami, które nie dopuszczają innych aktualizacji – są tak sugestywne. Masłowiecka wykorzystuje szkice autora opowiadania, a potem wywołuje je w wybuchu piany własnej wyobraźni, co tworzy gniewny efekt.

Ów efekt wprost wynika z konstrukcji *Mistrzów*. Autor nie zabawia nas metaforami, a stempluje zmieniające się przestrzenie i wydarzenia minimalistycznymi zdaniami, wręcz samodyspozycjami, jakby poszczególne ruchy streszczały rozkazy je powodujące, doprowadzając narrację do perfekcji w siódmym minirozdziale („Znowu ruszyłem. Idę. Wchodzę.”). Rozdział staje się jednocześnie rodzajem kulminacji, momentem emanacji, ale stop. Ani słowa zdrady więcej...

(pj)



Małgorzata Masłowiecka , ilustracja do *Mistrzów* Stanisława J. Bezubika

Zofia Piłasiewicz

Będę tu na ciebie czekał

Pan Tunc Uvendire otwiera swój maleńki sklep o 15.00. W niewielkich wnętrzach, dumnie nazwanych Galerią Jedwabnego Szlaku, zgromadzone są: piękne tkaniny, elementy strojów z różnych krajów, orientalne miniatury, ceramika, zdjęcia. Niektóre z tych przedmiotów są bardzo cenne. Właściciel sklepiku wraz z żoną kilka razy podróżował różnymi środkami transportu między Stambulem a Pekinem. Wpadł wówczas na pomysł, by część piękna, które spotykał, pokazać innym i dać możliwość obcowania z nim, chociażby poprzez kontakt z tymi cudownymi przedmiotami.

– Przecież jak pijesz herbatę w takiej pięknej, niezwyklej filiżance, to trochę tak, jakbyś dotknęła kraju, z którego pochodzi. Albo ten biało-czarny dywanik. Może służyć do modlitwy, mogą się na nim bawić dzieci, a może też ogrzewać twoje plecy, kiedy leży na fotelu, na którym siedzisz – pan Tunc uśmiecha się, a właściwie uśmiechają się jego oczy, bo przecież obowiązuje czas masek.

Szorstka, kozia wlna przyjemnie drapie plecy poprzez koszulę z krótkim rękawem, którą mam na sobie. Mam wrażenie, że dotykają mnie ręce kobiet, które go utkały gdzieś w górach. I jest to przyjemne uczucie.

To żona, Semra, jest inspiracją i miłością pana Tunca. Drugą, po żonie, miłością jest Kas – miasteczko, w którym mieszkają od 1989 roku i prowadzą swój niewielki sklep. Pan Tunc fotografuje Kas. Uwielbia tutejsze światło, detale i ludzi w tym dalekim od gwarnych, turystycznych kurortów i wielkich miast, miejscu.



Kas w listopadzie, już po sezonie.

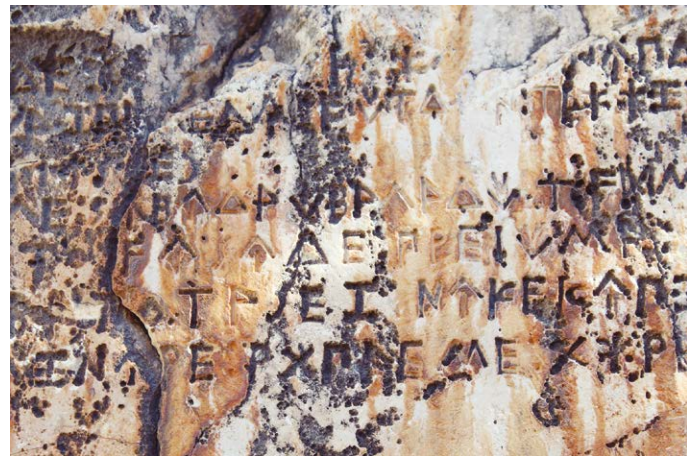
Kas leży w Turcji, na Wybrzeżu Licyjskim, nad Morzem Egejskim, 250 km od, tak popularnej wśród turystów, Antalyi. Miasteczko ma zaledwie nieco ponad osiem tysięcy mieszkańców. Latem jest ich znacznie więcej, wliczając turystów, plażowiczów. Robi się tłok. Ale w listopadzie, już po sezonie, senna, kolorowa miejscowość zaczyna żyć swoim prawdziwym rytmem. Nikt się nie spieszy. Koty wygrzewają się na murkach, psy leżą do góry łapami na głównym placu. Zwierzęta mają się tu dobrze. Sprzedawcy z okolicznych sklepików, cukierni, kawiarni, wystawiają miseczki z wodą dla bezpańskich

czworonogów, które stanowią tutaj jakąś równoległą do ludzi społeczność. Z automatu na puste butelki wyskakuje sucha karma, którą ludzie rozkładają zwierzętom. Wszyscy są uśmiechnięci. Uliczny sprzedawca soku z granatów, rozkłada owoce na stoliku obok wyciskarki i radośnie macha do mnie ręką. Nie namawia na kupno, po prostu pozdrawia. Wszystko dzieje się niespiesznie.

to mieszkańcy przychodzą całymi rodzinami obejrzeć stąd zachód słońca, które chowa się w morzu. To prawdziwe widowisko, wręcz misterium. Licyjczycy tak samo zachwycali się pięknem tych zachodów, jak ja i wszyscy siedzący tu teraz współcześni mieszkańcy Kas. Jestem tego pewna. I tak samo wypatrywali łodzi, przesuających się wzdłuż wybrzeża. Wpatrując się w niebieskie morze, rozświetlone



Początek Szlaku Licyjskiego – widok na położone w dole Fethiye.

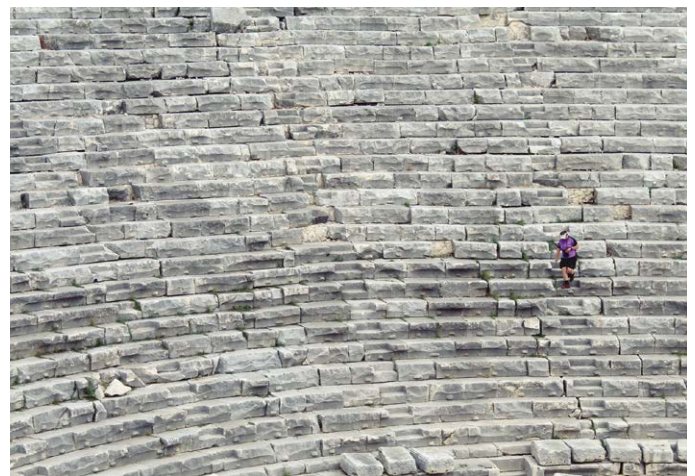


Puste już sarkofagi pokryte są pismem przypominającym grekę.

Położone wzdłuż wybrzeża Kas, za plecami ma Góry Taurus i liczący 550 kilometrów Szlak Licyjski – droga dla wędrowców z plecakami. Można ich czasem zobaczyć jak objuczeni schodzą do miasteczka odpocząć dzień lub dwa, a potem ruszają dalej w góry, szlakiem do Fethiye lub w drugą stronę, do Antalyi. Mijają po drodze ośrodki kultury licyjskiej.

Antyczna Licja to ponad siedemdziesiąt miast i osad. Kultura Licyjska kwitła trzy tysiące lat temu. Mnóstwo jej śladów pozostało do dziś. Wystarczy odwiedzić ruiny Patary, Xantos, Demre, Myry. To te największe pozostałości, setki mniejszych spotkać można niemal na każdym kroku. W samym Kas również. Budowle sprzed trzech tysięcy lat. To niesamowite! Ciągle towarzyszy mi świadomość, że w tamtych czasach to było centrum cywilizacji, centrum Europy, bardzo w tych miejscach wybrzeża zagęszczonej. Co się działo wówczas u nas, na terenie dzisiejszej Polski?

Uliczki Kas omijają puste już sarkofagi, niektóre całe pokryte pismem, podobnym nieco do greckiego. Nad brzegiem morza, na wzniesieniu, rozpościera się amfiteatr z tego okresu na cztery i pół tysiąca miejsc. Nawet dziś odbywają się tam koncerty i przedstawienia, a jeśli nie,



Myra – antyczne pozostałości po kulturze licyjskiej.

słońcem wydaje mi się, że za chwilę zobaczę Argo Jazona i jego śmiałą załogę, płynącą po złote runo w kierunku Niegościnnego Morza (tak zwano w czasach antycznych Morze Czarne) i Kolchidy.

W Muzeum Cywilizacji Licyjskiej w Demre oglądam wspaniałe rzeźby, resztki budowli, ozdoby i przedmioty codziennego użytku oraz agorę – miejsce, gdzie

gromadzono się, by podejmować decyzje, dokonywać wymian handlowych, opracowywać plany rozbudowy.

Kiedy jestem w Kas, lubię popołudniami zajrzeć do Galerii Jedwabnego Szlaku. Choćby po to, żeby popatrzeć, dotknąć, poczuć, chwilę porozmawiać. Na ścianie sklepiu, tuż przy drzwiach, wisi sentencja Rumiego w języku angielskim: „Nie ci, którzy mówią tym samym językiem, ale ci, którzy dzielą to samo uczucie, rozumieją siebie nawzajem”. I druga R.W. Emersona: „Nawet jeśli podróżujemy po świecie, aby znaleźć piękno, jeśli nie nosimy go w sobie, nigdy go nie znajdziemy...”. Pan Tunc i jego żona Semra noszą piękno w sobie.

Kas oznacza w języku tureckim „brew”. I rzeczywiście, patrząc od strony morza, wybrzeże ma kształt brwi, a położona w niewielkiej odległości grecka wyspa, zamykająca w pewnym sensie zatokę, jest jak galka oczna. Jeszcze w 2019 roku kursowały między Kas a wyspą promy, można było odwiedzać się nawzajem. Dziś granice są zamknięte. Pewnie na skutek pandemii, chociaż Turcja i Grecja to trudna historia, podobnie jak Turcja i Armenia.

Jeszcze w pierwszej dekadzie XX wieku żyli na tym wybrzeżu wspólnie: Grecy, Turcy, Ormianie, Żydzi i inne mniejszości. Wybuch I wojny, atak Rosji, przyjęcie strony Niemiec i upadek Imperium Osmańskiego – te wydarzenia wszystko zmieniły. Później jeszcze wojna grecko-turecka i wymuszony przez aliantów traktat z Lozanny z 1923 roku, który w konsekwencji spowodował przesiedlenie wszystkich Greków i Turków na „swoje” strony. Zachodnią Anatolię (czyli starożytną Jonię) oraz Pont nad Morzem Czarnym opuściło wówczas półtora miliona Greków, którzy zamieszkiwali te ziemie od dwóch i pół tysiąca lat. Z Grecji wysiedlono wówczas równoległe około trzysta tysięcy muzułmanów różnych narodowości, bo przesiedlenia oparto ściśle o kryterium wyznaniowe. Chrześcijanie zostali przesiedleni na tereny Grecji, a muzułmanie na tereny Turcji. Nieważne, czy ktoś czuł się Grekiem, czy Turkiem. Wyobrażam sobie, ile ludzkich tragedii było z tym związanych, ile lez przelano po każdej ze stron. Te wydarzenia rozrywały granice tego, co racjonalne i dobrze znane.

W Kas pozostała uliczka z grecką, drewnianą architekturą – jedna z najbardziej malowniczych części miasteczka. Więcży ją okazały sarkofag licyjskiego możnowładcy i rozłożysty platan, który pamięta świetlane czasy Imperium Osmańskiego.

*Nawet jeśli
podróżujemy po świecie,
aby znaleźć piękno,
jeśli nie nosimy go w sobie,
nigdy go nie znajdziemy*

R.W. EMERSON

W Fethiye, dwie godziny drogi autobusem z Kas, rozpoczyna się Szlak Licyjski, uznawany za jeden z dziesięciu najpiękniejszych szlaków trekkingowych na świecie. Wytyczyła go Angielka, Kate Clow, która w latach osiemdziesiątych XX wieku odkryła, że po połączeniu wszystkich osad licyjskich, powstaje fantastyczna trasa do wędrowki pie-

szej, na której zachowały się gdzieniedzie prawdziwe, stare, rzymskie drogi. Kate Clow jest założycielką tureckiego Culture Routes Society. Opracowała też Szlak Świętego Pawła i szlaki trekkingowe w górach Kackar w północno-wschodniej części Turcji. Członkowie Culture Routes Society tworzą i utrzymują długodystansowe trasy trekkingowe, rowerowe i konne. Towarzystwo chroni stare drogi, rozpowszechnia informacje o szlakach kulturowych i pomaga mieszkańcom wsi na tych szlakach czerpać z nich korzyści. Stara się dbać o zrównoważony rozwój turystyki w miejscach, przez które przechodzą wytyczone przez nie trasy. A Kate nadal pozostaje guru wędrowców pieszych.

Kim byli Licjanie? Na pewno ludem demokratycznym, niezależnym, wojowniczym. Strategiczne położenie na półwyspie Tekke (dawniej Licja) dało im wyjątkowe możliwości handlu morskiego i (czasami) piractwa. Pokonani przez Persów, po panowaniu perskim Licjanie powitali Aleksandra Wielkiego i wchłonęli kulturę grecką. Później Lycja stała się prowincją Cesarstwa Rzymskiego. Rzymianie rozbudowali wiele miast i portów, łącząc je brukowanymi drogami i wyposażając w: teatry, łaźnie, fora, świątynie i ceremonialne bramy. Od IV wieku zapanowało chrześcijaństwo, a wraz z upadkiem Imperium Rzymskiego na wzgórzach licyjskich powstało wiele bizantyjskich klasztorów. Półwysp obfituje w licyjskie groby i ruiny, a Szlak Licyjski przebiega przez około dwadzieścia pięć historycznych miejsc.

Pierwszy etap wiedzie z Fethiye do miejscowości Kayakoy – miasta-widma, gdzie „straszą” opuszczone

ruiny niegdyś dobrze prosperującego miasteczka, jeszcze sto lat temu zamieszkałego przez Greków. Ponad tysiąc domów, dwa kościoły, czternaście kaplic. Dawniej nazywało się Karmyllassos. Dziś po wąskich, pustych ulicach hula wiatr od morza, a z gór schodzą mgły. Rozebrano dachy, ściany przerastają figowce, schody prowadzą już donikąd, obnażone paleniska w pomieszczeniach, puste kościoły, szkoła – wszystko to sprawia upiorne wrażenie. Początkowo rząd turecki próbował osadzić tam przesiedlonych z Grecji muzułmanów, ale ci nie wyrazili na to zgody. I tak stoi miasto-upiór, pelzający smutek i rozkład, ale po prawie stu latach coś zaczyna wracać. Na skraju miasteczka, u stóp wzgórza, na którym jest położone, powstał hostel. Nieco wyżej ktoś uruchomił kawiarnię. Starsza kobieta w czerni sprzedaje ozdoby. Kayakoy stało się planem dla filmów katastroficznych i planem fotograficznym. Ja odbieram te ruiny jako

przestrożę, że nic nie jest nam dane na wieczność, że strata wpisana jest w nasz los i że bardzo łatwo zniszczyć relacje dobrosąsiedzkie, jeśli do głosu dochodzą wielka polityka, nacjonalistyczne hasła i szukanie wrogów wśród sąsiadów. Smutne rozważania.

Za to droga przez słoneczne piniowe lasy, wybrukowana jeszcze w czasach rzymskich, przed wieloma wiekami, z pięknymi widokami na położone w dole niebieskie morze oraz oszałamiający zapach żywicy – to coś przeciwnego do tych rozmyślań. To dar! Cudowny dar losu! Mogę nią iść, patrzeć i czuć. To życie! Kiedy idę drogą z Fethiye, czuję ciągłość rozwoju cywilizacji przeobrażającej się z epoki na epokę, z kultury na kulturę, wchłaniającą i przemieniającą. Towarzyszy mi sen o rozwoju ludzkości i nadzieja, że nic nie stanie na przeszkodzie temu ciągłemu procesowi.



Myra – antyczne pozostałości po kulturze licyjskiej.

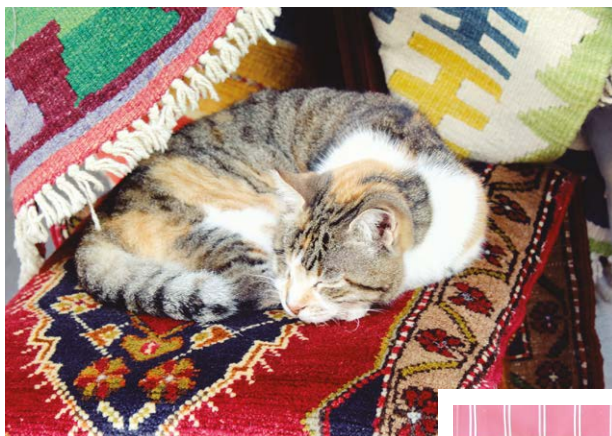


Kayakoy – miasto widmo.



W Kas po sezonie wszystko dzieje się niespiesznie.

W jakim kierunku potoczą się dzieje naszej, współczesnej cywilizacji? Co zostanie po nas? Któregoś dnia idę do galerii pana Tunca pożegnać się przed powrotem do domu. Mówię, że będzie mi brakowało tego słońca i błękitu morza, i uśmiechu napotkanych ludzi, i tych uśmiechniętych psów i kotów, mrużących na fotelach w herbaciarniach i kawiarniach.



Zwierzęta mają się tu dobrze.

– Nie martw się – odpowiada. – Będę tu na ciebie czekał! One też! – wskazuje palcem na śpiącego na parapecie kota, którego nazywa Boo. – Zawsze możesz przyjechać i zabierz ze sobą znajomych, jeśli tego potrzebują.

Podajemy sobie ręce. Żegnam się też z błękitnym morzem, w którym kąpiel, mnie – chronicznemu zmarłakowi, jest szczególnie miła, nawet pod koniec listopada. Nad uliczkami Kas płynie głos muezina z pobliskiego meczetu. W miejskiej herbaciarni kelner zestawia krzesła ze stolików, przygotowując je na przyjście wieczornych gości. Po placu drecze staruszka z koszem pełnym wiązanek z aromatycznych ziół, tych rosnących dziko w górach.

Żegnaj Kas. I czekaj tu na mnie!

ZOFIA PIŁASIEWICZ

– psycholog, autorka książek: *Syberyjski sen. Opowieść bezdrożna, Gruzja. W pół drogi do nieba, Podróż*, tomiku wierszy *Ćwiczenia z pamięci*, poematu *Rzeka. Opowieść Czarnej Hańczy*, licznych artykułów prasowych dotyczących podróży i nie tylko. Zdobywczyni I nagrody w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Mikołaja Kajki (2019) i Ogólnopolskim Czerwcowym Konkursie Jednego Wiersza (Łomża 2012).

Zajmuje się również fotografią. Wystawy indywidualne: „Impresje” (2010), „Sen leśnych olbrzymów” (2012), „Gruzja w pół drogi do nieba” (2013), „Północ-Swiatło-Przestrzeń” (2018), „Droga” (2019), „Rzeka” (2022), udział w wystawie zbiorowej „Mężczyźni w obiektywie kobiet” (2013).



Autorka tekstu i zdjęć, Zofia Piłasiewicz, oraz pan Tunc Uvendir stojący razem przed sklepikiem „Jedwabny Szlak” w Kas.

Kradzieże i zniszczenia

Kiedy białostocka Galeria Arsenal otwierała w lutym 2020 roku wystawę „Kradzieże i zniszczenia”, moje beztraskie myśli krążyły wokół tytułowego odbierania dzieła jego domu, co wywołuje ludzki żal, lecz patrząc z głębi semantyki, gdy dzieło ukradkiem, schowane, to budzi w człowieku nadzieję. Tak jak nadzieję daje człowiekowi dzieło restaurowane. Ale skoro restaurowane, to i niszczące, przestające istnieć (cerk. niszt’), to znaczy zmierzające ku niczemu, (ros. ничто), na przykład wtedy, kiedy schowane i zapomniane przez ludzi...

Poniższa rozmowa, którą wiosną 2020 roku odbyliśmy z kuratorem wystawy, Michałem Łukaszukiem, dołączyła już do samoporządkującego się ziemskiego archiwum, aż w lutym tego roku Putin napadł na Ukrainę i pewnego dnia zobaczyłem zdjęcie blaszanego parawanu wokół rzeźby w Kijowie.

Słońce okrągle. Przed wejściem do toalet pierwsza praca – unifikująca tytułową problematykę wystawy, będąca ukłonem w stronę figury retorycznej *pars pro toto*; zdarza się, że potrzebujemy pi-pi w pobliżu galerii. Kto temu zaprzeczy? Nie zamierzam zdradzać szczegółów dzieła Rycharskiego¹, a o fortelu kuratora, Michała Łukaszuka, wspominam z podziwu dla jego humoru.

Na półpiętrze, brodząc w kupie papierowych farfocli, mijam pracującą niszczarkę Janka Simona², a z góry dobiegają nas fragmenty Polskiej Kroniki Filmowej: „Pomnik Mickiewicza. [...] Ocalała tylko głowa”. To o powojennej wystawie pt. „Warszawa oskarża”³. Cokolwiek powiedzielibyśmy dziś o zniszczonym pomniku Mickiewicza, nie powiedzielibyśmy, że została mu tylko głowa, nie puszczając na cały



regulator Chopina dystansu. Władysław Hańcza z pasją, której dorównują dziś tylko tyrady Greta Thunberg, wykrada sztukę z jej dotychczasowego kontekstu i lokuje w odbudowującej się z gruzów, socjalistycznej Polsce. Przed ekranem instalacja Piotra Łakomego⁴, przedstawiająca sprasowaną, lakierowaną kostkę złomu, która wygląda jak wariacja stali na temat miłosego precla albo... no przecież, obiekt waży 69 kg. I właśnie w tym momencie na sali pojawia się Michał Łukaszuk, a już w następnej rozmawiamy w przytulnym gabinecie:

Piotr Janicki: Jak dostałeś tę wystawę?

Michał Łukaszuk: To było tak, że oglądałem bardzo dużo filmów hollywoodzkich i zobaczyłem, że sztuka, jeśli pojawia się w filmach dla masowego odbiorcy, to często jest obiektem pożądania licznych złodziei, kopystów, urastając do roli gracza w obiegu bardzo dużego kapitału. Stwierdziłem wtedy, że skoro ten motyw jest atrakcyjny dla kina, to może też będzie atrakcyjny dla sztuki po prostu, że może bawić bez pomocy kina. Wtedy miałem prymitywny załazek idei tej wystawy (w sumie bar-

¹ Daniel Rycharski, „Walentynki / Środa Popielcowa”, 2018. Dwukanałowa instalacja wideo, 5’31”.

² Janek Simon, „Niszczarka”, 2006, instalacja (komputer, drukarka, niszczarka, wiatrak elektryczny, papier). „Kolekcja II” Galerii Arsenal.

³ „Warszawa oskarża”, fragment Polskiej Kroniki Filmowej 20/45, wyd. 31.07.1945 r. Film produkcji Wytwórni Filmowej Wojska Polskiego udostępniła FilMOTEKA Narodowa.

⁴ Piotr Łakomy, bez tytułu (aktualna waga), 2011. Instalacja (69 kg, złom, lakier samochodowy). „Kolekcja II” GA.

dzo prymitywny: myślałem o jakichś gablotach, laserach, dymach i alarmach, takie fajansiarstwo straszliwe) i przedstawiłem go przyjaciółce, która pracowała w Galerii Arsenal i ona mnie dopingowała i namawiała, żebym to rozwijał i złożył oficjalną drogą propozycję. Trochę też zmęczony byłem naddyskursywnością, która zdominowała język opowieści o sztuce, czyli problemami postkolonializmu, ekologii itd. To wszystko są bardzo ważne rzeczy, ale wcielone do wystaw okazują się często, choć nie zawsze, nudne. OK, skoro więc można przenieść coś, co samo w sobie jest atrakcyjne (ciągle mam na myśli motyw kradzieży w kinie, już zakodowany, jako coś gatunkowo ciekawego), to chciałem po prostu skorzystać z tej aury i zaaplikować ją do galerii. Szybko otworzył się jednak nowy wątek, dużo dla mnie ciekawszy, czyli niszczenie dzieła, fenomen otwierający zupełnie nowe drzwi, za którymi stało nie wiadomo co, same pytania.

Pracowałem kiedyś w księgarni w MSN-ie⁵ akurat kiedy Kasia Karwańska otwierała wystawę „Po co wojny są na świecie” i tam zobaczyłem sztukę Tomasza Machcińskiego – miłość od pierwszego wejrzenia. Potem zadzwonił do mnie Rafał Bujnowski, żebym poprowadził z Machcińskim spotkanie i wygłosił mikrowykładzik. Rafałowi niedawno spłonęła pracownia, czego byłem świadkiem w taki sposób, że następnego dnia po pożarze widziałem go razem z Kasią w pożyczonych ciuchach, ponieważ kiedy w nocy obudził ich wybuch puszek z farbą, próbował ugasić ogień ubraniami i one również natychmiast zaczęły płonąć, tak jak cała pracownia. Po jakimś czasie zobaczyłem, co z tej pracowni zostało. Spalone rysunki⁶ były tak piękne... może to zabrzmie kontrowersyjnie, ale zniszczenie, pochłaniając sztukę, samo stało się fenomenem estetycznym i po prostu robiło wrażenie.

Czy zatem potrzebowałeś do stworzenia wystawy tego rodzaju zniszczenia, które przemocą wyrwa dzieło z jego dotychczasowego kontekstu, jego środowiska? Nie brałeś pod uwagę procesu niszczenia, któremu podlega dzieło wraz ze swoim czasem?



W pewnym momencie mojej przygody zaczęły mnie interesować wszelkie zniszczenia. To powyżej jest przeżyciem wyjściowym, bo szybko zacząłem się zajmować atakami na dzieła sztuki i bardzo zależało mi, żeby szczególnie do Białegostoku sprowadzić „Tęczę” Julity Wójcik, której spalone elementy, wyglądające jak minimalistyczna rzeźba Mirosława Bałki, widziałem w CSW⁷. Wywołały we mnie zupeł-

nie inny poziom wrażeń, bo z jednej strony tęcza aktem wandalizmu została okaleczona, upokorzona i wykastrowana, ale z drugiej spalone elementy były jakoś też piękne. Okazało się jednak, że próby przewiezienia instalacji napotkałyby zbyt wiele formalno-technicznych komplikacji (też sama Julita nie do końca wiedziała, czy mogłaby nam wydać pracę, a cała rzecz okryta była tajemnicą, bo nie wiadomo było tak do końca, gdzie znajdują się spalone elementy tęczy).

W każdym razie ten przypadek sprawił, że zaczęły mnie fascynować gesty ikonoklastyczne, między innymi galeryjne, medialne gesty ikonoklastyczne, zresztą jednego z takich gestów ofiarą padła Galeria Arsenal, ponieważ tu poseł Fedorowicz pomazał długopisem pracę Szłagi. Mamy więc te słynne akty, które tak silnie replikują, mnożą się i cyrkulują, jak słynny papież Cattelana i afera z Tomczakiem, czy naziści Ukłańskiego i afera z Olbrychskim⁸. Obie próby wymazania dzieł uczyniły je nadwidzialnymi, nadobecnymi.

⁵ Muzeum Sztuki Nowoczesnej

⁶ „Przysięgam, że to ostatni pożar. Bardzo, ale to bardzo chcę zmienić artystyczną strategię” – napisał później do Michała Rafał Bujnowski.

⁷ Centrum Sztuki Współczesnej

⁸ Dokumentacja wystawy „Uważaj wychodząc z własnych snów. Możesz się znaleźć w cudzych”, 2000, Zachęta Państwowa Galeria Sztuki w Warszawie, fotografie, skan okładki „Super Expressu. Pegaz”, 2000, fragment programu telewizyjnego TVP1, 1’.

Ale nie o podleganie zniszczeniu przecież tylko idzie. O nim jest przecież zawód konserwatora, tak? Nie jest zawodem o dziełach sztuki, a o niszczeniu dzieł sztuki i mamy takie rzeczy. Przykładem pies Balki⁹ zabezpieczony przed naturalnym niszczeniem. Zresztą, jak oglądałem do tej wystawy materiały, to uderzyło mnie codzienne życie dzieł sztuki, bo trwają one zamknięte we wnętrzach skrzyń; w filmach są to także sejfy, jakieś ukryte pomieszczenia, niedostępne przestrzenie. „Piesek” po otwarciu skrzyni wydawał z siebie tak przedziwny zapach, że do teraz jest on gdzieś w moich nozdrzach.

Właśnie, bo na kształt twojej wystawy miała wpływ zawartość „Kolekcji II” Arsenalu...

...i taki na przykład Odita, obrazy którego nie mogą zostać poddane konserwacji. Ja pokazuję tylko dwie tablice z cyklu ośmiu¹⁰, pokryte są pigmentem i ten pigment będzie się z latami osypywał, aż obrazy kompletnie wyblakną. Tablice są w kolorach: czarnym i żółtym, a powstały w czasie rezydencji Odity w Białymstoku i, jak mi się wydaje, fascynacji problemem rasy, białego spojrzenia. To znaczy jego kolor skóry projektował zupełnie inne spojrzenie i stąd pewnie blaknięcie koloru i dzieła.

A skąd wzięła się reszta prezentowanych i tak różnych prac?

Z życia. W dniu moich trzydziestych urodzin Mariola, wiedząc że przygotowuję wystawę, opowiedziała mi swoją historię. Następnie próbowaliśmy znaleźć zniszczone przez Kijewskiego obrazy. Nie było, nie znaleźliśmy ich, więc powstała praca na wystawę¹¹.

Karola Radziszewskiego znam od dwunastu lat. Poznałem go tu, w Arsenalu. W 2013 r. spłonęła kamienica, w której tworzył, miał swoje archiwum i kolekcjonował prace innych artystów, więc rozmawialiśmy o tym,

jaki kontakt Karol ma z tą traumą, czy w ogóle chce temat podjąć, czy można jakoś jego stratę stematyzować. Karol myślał w pierw o kolażu, w końcu wybrał zdjęcie nagiego modela na tle pracowni (całe to „tło” spłonęło doszczętnie) oraz nagraliśmy kameralną historię¹². Możemy jej wysłuchać patrząc na zdjęcie i wejść w intymny kontakt z artystą opowiadającym o tym, co spłonęło. Samo wymienianie tego trwa trzydzieści minut, a zarazem jest opowieścią o twórczości Karola z zupełnie innej perspektywy, bo o twórczości, której śladów materialnych już nie ma.

Inny pożar strawił Galerię Czułość Janka Zamoyskiego, która migrowała, miała takie szczęście, nieszczęście, że miasto przyznawało i odbierało jej lokale i w pewnym momencie na Starówce też spłonęła. A odłożyła się bardzo głęboko w mojej pamięci za sprawą koncertu Andrzeja Szpindlera, który w stroju jakiegoś nadmuchanego pingwina występował w pomieszczeniu pełnym popiołu i sadzy. Zatem Czułość również dryfowała w moim mózgu i odtworzyliśmy ją¹³.

I tak dalej. Obecność Wandy Czelkowskiej¹⁴ wynika z tego, że byłem z nią kiedyś w kinie, zresztą na dość średnim filmie. Później zadzwoniła do mnie koleżanka, która zajmowała się twórczością Czelkowskiej i powiedziała, że Wanda potrzebuje pomocy przy wypakowaniu i montażu podnośnika do rzeźb. Tak trafiłem do pracowni artystki i kiedy zobaczyłem jej prace, głównie rzeźby, całe rojowsko tych rzeźb w świetle dziennym, zamarłem w wrażenia, ta krótka chwila głęboko odłożyła się we mnie, taki cudowny prześwit pięknego życia. Kiedy robiłem wystawę wiedziałem, że muszę się do niej odezwać, zresztą jej rzeźba z 1968 roku dziwnie scala się latami z tym, co działo się w Nowym Jorku, czyli auto-destructive art, konceptualnym ruchem atakującym własne dzieła, próbującym też atakować coraz gwałtowniej rozwijający się kapitalizm i to, jak auratyzuje się dzieła w sposób fetyszystyczny, towarowy, dla twórców ciężki do przełknięcia, o czym niedawno było i u Banksy’ego. Jest więc proces destrukcji, który u nas realizuje praca Simona¹⁵.

⁹ Mirosław Bałka, „Czysty piesek”, 1986, obiekt (anilana, stelaż metalowy, szklana gablota). „Kolekcja II” GA.

¹⁰ Odili Donald Odita, „Soft Borders”, 1999, 2 z 8 tablic, płótno na drewnie, akryl, suchy pigment. „Kolekcja II” GA.

¹¹ Mariola Przyjemaska, „Historia obrazów zniszczonych przez Marka Kijewskiego”, 2020, wideo, 2’44”.

¹² Karol Radziszewski, „Simon” z serii „Studio”, 2011, fotografia; „Pamiętam, że (I Remember)”, 2020, audio, 37’.

¹³ Janek Zamoyski, „Bez tytułu”, 2017, instalacja (spalona Czułość).

¹⁴ Wanda Czelkowska, „Głowa”, 1968-2018, odlew w gipsie, konstrukcja metalowa.

¹⁵ Janek Simon, „Niszczarka”, 2006, instalacja (komputer, drukarka, niszczarka, wiatrak elektryczny, papier). „Kolekcja II” GA.

Zniszczenie Czelkowskiej wynika moim zdaniem ze szczerzej relacji z własnym dziełem. Skoro artystka stwierdziła niepełność rzeźby, ta zapragnęła od artystki aktu transgresji. To przykład wyjątkowo perwersyjnej gry ze zniszczeniem, którą rządzi stosowany przez nas mechanizm psychologiczny: obawiając się katastrofy, sami ją projektujemy i realizujemy.

Znów z Domem Mody Limanka wiązę jeszcze inne wspomnienia. Golf z kolekcji kolektywu, którego nie mogłem włączyć do wystawy, wisi za tobą, a eksploruje motyw tak zwanej zżyny, a więc swego rodzaju kradzieży, również w tym sensie, że autorzy zabawili się aurą ubrań, przenosząc na nie obrazy i uruchamiając przechodniość pieczętki, czasem niezamierzoną, dyskursu muzealniczego¹⁶.

Ta sama rzecz wytwarza totalnie inny performans wokół siebie...

Stój.

...ze sztuki robiąc wyrafinowany, ale jednak użytek.

Zatrzymaj się! To brzmi niestandardowo, przygodowo. Jak zatem rozumiesz rolę kuratora, kim według ciebie jest?



Nie do końca mam pojęcie, kim jest. Wiedziałem, że chcę robić tę wystawę, bo miałem na nią pomysł, który mnie samemu się podobał. Wiedziałem też, że sam byłbym zainteresowany taką wystawą. Ciężko mi jednak praca nad swoją wrażliwością wizualną. Z jednej strony wymagałem od siebie patrzenia myśleniem, a zatem krytycznej postawy, szczególnie wtedy, kiedy komunikowałem się – często z dwudziestoma naraz – osobami, z drugiej jednak starałem się zachowywać świeżość spojrzenia i pozwalałem intuicji na dokonywanie wyborów, oddawałem głos dziełom, bo dzieła bardzo ciekawie gadają, jak się ich słucha, niekoniecznie zresztą o tym, co chcieli pokazać artyści, oddawałem też głos swojej naiwności, no więc moje kuratorowanie było pewną dialektyką i to było ekstra, to mi się bardzo podobało.

Michał wychodzi gdzieś na chwilę i zostaję sam. Rozglądam się po pomieszczeniu i wzrok mój pada na golf od Limanki. Mogę przyglądać mu się w sposób bardziej surowy, a nawet zaciekle, jak nie zrobiłbym wobec ekspozycji. Dotykam golfu, rozglądam się i biorę w dłoń lateksowy rękaw. Jeszcze raz uważnie się rozglądam.

MICHAŁ ŁUKASZUK (MICHAŁ PERŁA)

– urodzony w 1989 r. w Białymstoku. Kulturoznawca, performer, członek zespołu Perła i Jego Starzy, kurator wystawy „Kradzieże i zniszczenia” w białostockiej Galerii Arsenal.

¹⁶ Dom Mody Limanka, „Nowa Kolekcja”, 2019; koncepcja wystawy, ubrania, kolekcja Muzeum Sztuki w Łodzi; Jakub Dylewski i Dom Mody Limanka, „Nowa Kolekcja”, 2019, wideo.

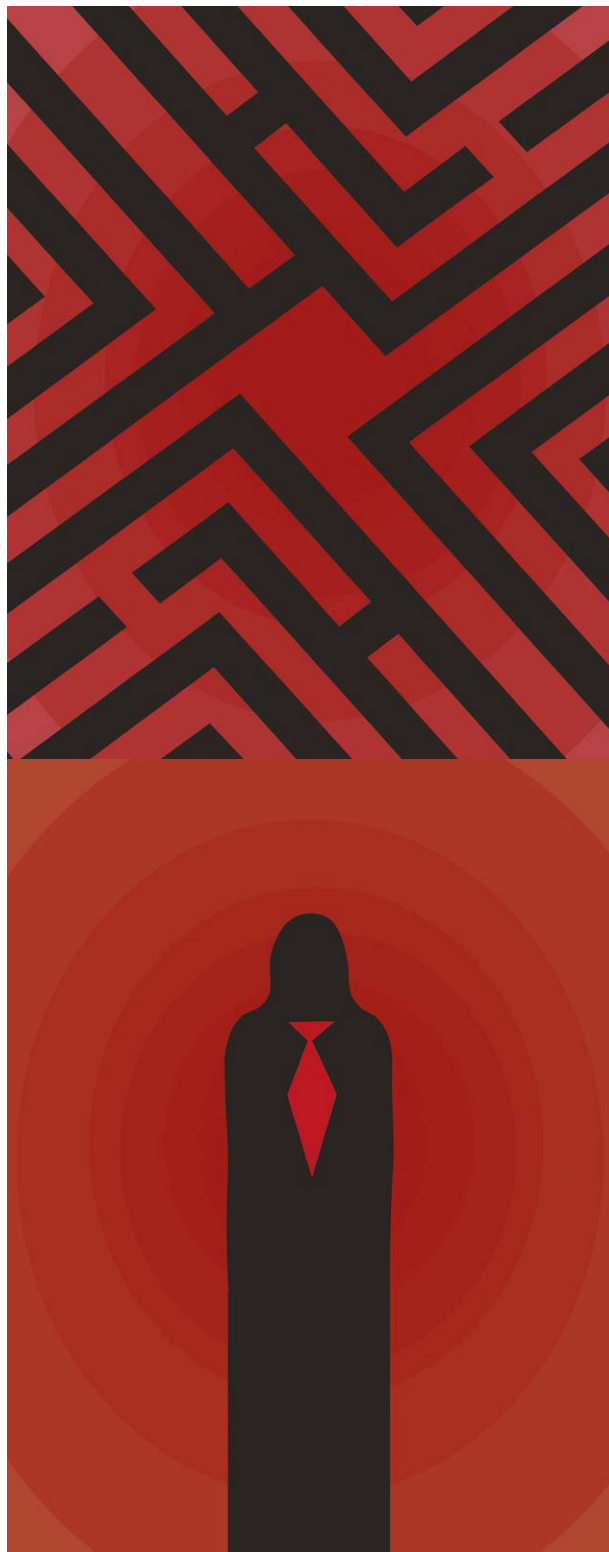
Katarzyna Droga

Nauka jest kobietą

Steven Spielberg konsultował swoje filmy o dinozaurach z polską paleontolożką Zofią Kielan-Jaworowską. Astronomka Wilhelmina Iwanowska z Torunia udowodniła, że wszechświat jest większy niż zakładano. Noblistkę, która wynalazła rad i polon, zna cały świat. A mimo to, słowo „naukowczyni” brzmi dziwnie i słownik Google uparcie podkreśla je jako nieprawidłowe. Podpowiada „wykonawczyni”. Otóż nie, kobiety miały twórczy i sprawczy wkład w rozwój nauki. To, że brak naukowiec w słownikach, nie znaczy że nie istnieją. Znaczący to, że czas zmienić słowniki.

Efekt Matyldy

Pierwsza polska studentka Nawojka z Gniezna omal nie spłonęła na stosie za to, że w męskim przebraniu podjęła studia na Akademii Krakowskiej. Ocalała życie, ale musiała spędzić je w klasztorze. To był wiek XV, a w kolejnych stuleciach niewiele się zmieniło. Kobiety nie miały dostępu do edukacji, więc to mężczyźni popychali naprzód naukę, a jeśli w laboratoriach, aptekach czy szpitalach pomagały im asystentki, to świat się o nich nie dowiedział. Laureatami prestiżowych nagród zostawali mężczyźni, choć na ich sukces pracowały też kobiety. To właśnie „efekt Matyldy”. Termin pochodzi od imienia feministki Matyldy Gage, która zbadała kulisy powstawania wielu ważnych dla świata nauki wynalazków. Cóż się okazało? Podstawy rozszczepienia jądra atomowego pierwsza opisała austriacka fizyczka Lise Meitner, ale Nobla dostał Otto Hahn (1944), badania Rosalind Franklin w dziedzinie rentgenografii strukturalnej wykorzystali, bez jej wiedzy, naukowcy Watson i Crick, i dzięki jej pracom odkryli DNA. Jocelin Bell Burnell odkryła pulsary, ale Nobla za to dostali Antony Heish i Martin Ryle. I dlatego Maria Skłodowska-Curie, dwukrotna laureatka nagrody Nobla, powinna dostać trzecią – właśnie za przełamanie efektu Matyldy i odwagę kruszenia schematów. Maria pracowała z mężem w jego laboratorium, ale nagrodę Nobla dostali oboje. Była pierwszą kobietą z Noblem z fizyki, pierwszą, która zrobiła prawo jazdy, by móc dojeżdżać ambulansem z aparatem



Natalia Filimoniuk / PLSP w Supraślu

rentgenowskim do rannych żołnierzy na frontach pierwszej wojny światowej. Bez wahania obcięła spódnicę do kolan, by nie przeszkadzała jej jeździć rowerem i ku zgrozie konserwatystów nie nakładała kapelusza. Była też jedną z polskich „jaskółek”, czyli tych dziewczyn, które dla nauki miały odwagę wyfrunąć z ojczyzny.

Jaskółki wiedzy

W XIX wieku uczelnie powoli otwierały swoje drzwi dla studentek, wprawdzie jeszcze nie w Warszawie, lecz już we Francji czy Szwajcarii. Ambitne Polki podchwyciły tę możliwość. Jeśli zdołały przekonać rodziców i zebrać fundusze na edukację, jechały na Sorbonę czy do Zurychu, studiowały tęskniąc i głodując, ale zdobywały dyplomy. W ojczyźnie nazywano je lekceważąco „jaskółkami lecącymi na południe”. Jaskółki wracały, by leczyć, uczyć, poprawiać świat. Jak Stefania Wolicka, pierwsza studentka filozofii, Józefa Joteyko pierwsza psycholożka, czy siostra słynnej Marii Skłodowskiej-Curie, lekarka Bronisława Dłuska. Doktor Dłuska szczególnie zasłużyła się polskiej ginekologii i onkologii. Wprawdzie to noblistka Maria zainicjowała powstanie w Polsce Instytutu Radowego, lecz bez Bronisławy, pierwszej dyrektorki Instytutu, przedsięwzięcie nie miało szans. Doktor Dłuska wzięła na siebie nadzоровanie budowy i całą organizację, planowanie laboratoriów, zespołu, ustalanie zasad, bo podjęły decyzję, że ubodzy pacjenci będą leczyć za darmo... Maria napisała jej w liście: „więcej trudu cię to kosztowało Bronię niż mnie wynalezienie radu i polonu”. Siostry wspierały się całe życie. Ojciec nie zdołałby ich wykształcić, więc zawarły układ: pierwsza wyjechała do Paryża Bronia studiować medycynę, a Maria z pensji guwernantki pomagała się jej utrzymać. Bronisława została pierwszą ginekolożką we Francji i, kiedy zaczęła praktykować, ściągnęła do Paryża siostrę. Pod koniec wieku XIX Bronisława z mężem wróciła do Polski, najpierw do Zakopanego, a w chwili odzyskania niepodległości – do Warszawy, tu zaangażowała się w prace społeczne. Dom w Aninie przeznaczyła na ośrodek dla sierot, ręką w rękę z Aleksandrą Piłsudską budowała Olin w Otwocku – ośrodek wakacyjny dla ubogich dzieci. Bronisława Dłuska, założycielka sanatoriów przeciwgruźliczych dla dzieci, orędowniczka naturalnego karmienia piersią, planowania urodzin i jedna z pierwszych lekarek. A zdobyć ten fach w owych czasach w Polsce nie było łatwo. Jeszcze na początku XIX wieku „Prawidła o examinach urzędników medycznych” stanowiły, że aby zostać „babą położniczą”

kobieta „winna złożyć świadectwo o swoim prowadzeniu się oraz umieć czytać i pisać w jakimkolwiek używanym w Europie języku”. Być akuszerką – najwyżej to było możliwe. Dla wielu niewiast za mało, chciały profesjonalnie leczyć.

Bez brody, a mądre?

Pierwszą, udokumentowaną polską chirurżką była Magdalena Bendzislawska z XVIII wieku. Pracowała w cieniu męża, który przynależał do cechu chirurgów, była jego asystentką i nie gorzej znała się na rzeczy. Byłaby klasycznym przykładem efektu Matyldy, gdyby nie to, że zacy Wincenty zmarł, a ona postanowiła nadal praktykować. Musiała dowieść swojej wiedzy na specjalnym egzaminie królewskim. Zdała, odziedziczyła narzędzia, słój z pijawkami, kontynuowała fach i „gabinet” męża przy kopalni soli w Wieliczce. W tamtym czasie oznaczało to, że składała gości i dokonywała amputacji, czyściła i opatrywała rany, wrywała zęby, leczyła oczy. Niewątpliwie była też zaznajomiona z działaniem maści, ziół, była również jedną z pierwszych anestezjolożek, musiała skutecznie znieczulać pacjentów. Badania archeologiczne dowiodły, że wielu mieszkańców Wieliczki znalazło skuteczną pomoc chirurgiczną i żyli jeszcze wiele lat po zabiegach. Dyplomowane lekarki zaczęły się pojawiać dopiero pod koniec wieku XIX. Pokonywały ogromne bariery nie tylko prawne, ale przede wszystkim mentalne. Symbolem ich stała się Anna Tomaszewicz-Dobrska, pierwsza polska lekarka z dyplomem. Została wychowana w domu, w którym przykładano taką samą wagę do edukacji dziewczynki i chłopca, jej starsza siostra Zofia studiowała fizykę na Sorbonie. Młodsza zrezygnowała ze szkół na rzecz Anny, bowiem rodzice nie byli w stanie wykształcić wszystkich dzieci. Anna nade wszystko pragnęła być lekarką i wyjechała do Szwajcarii. Już jako studentka włączyła się w pracę naukową. Została asystentką profesora Ludimara Hernana, z którym badała „wpływ chloralu na rozprzestrzenianie się podniet w mięśniach”, potem u boku profesora Edwarda Hitziga pracowała w szpitalu dla umysłowo chorych, gdzie z pasją badała mózg ludzki. Profesorowie chcieli zabrać ją na naukową wyprawę do Japonii, lecz Anna Tomaszewicz wolała nieść pomoc pacjentom w ukochanej ojczyźnie. Ojczyzna nie przywitała jej z otwartymi rękami. Poważni medycy warszawskiej socjety nie posiadali się z oburzenia: lekarz bez brody? Sama co miesiąc choruje! Ma mniejszy mózg niż mężczyzna! Co z wstydem

niewieścim, gdy przyjdzie jej badać obnażonego mężczyznę? Anna nie uzyskała zgody na praktykę ani przyjęcie do Towarzystwa Lekarskiego, musiała nostryfikować swój dyplom w Rosji, a i tak udało się jej to tylko dzięki temu, że u cara gościł turecki sultan. Potrzebował lekarki do haremu – tam dla odmiany lekarz płci męskiej nie miał wstępu. Po praktyce z hurysami i uzyskaniu nostryfikacji w Petersburgu, Anna wróciła do Polski. „Kurier Warszawski” z czerwca 1880 donosił, że „pierwsza u nas kobieta-doktor, p. Tomaszewicz, w lecznicy przy ulicy Niecałej udziela w godzinach oznaczonych porady lekarskiej w chorobach kobiet i dzieci”. Zyskała zaufanie pacjentek, objęła też, dzięki interwencji innej wpływowej kobiety, fundatorki szpitala, oddział w szpitalu położniczym. Miała ogromny wkład w propagowanie higieny. W czasach kiedy gorączka płożowa masowo zabijała pacjentki, doktor Tomaszewicz, już także po mężu Dobrska, jako uczennica Lisnera zdawała sobie sprawę z roli antyseptyki. Na jej oddziale obowiązywały „śluby czystości”, personel musiał myć ręce i nie wolno było używać tej samej gąbki do obmywania wielu pacjentek po porodzie. „Dzentelmen nie przenosi zarazków” – grzmieli obrażeni lekarze w surdutach. W ich szpitalach pacjentki marły pokotem od zakażeń, Dobrskiej udało się ograniczyć umieralność do kilku procent. Przecierała szlaki następnym lekarkom, takim jak wspomniana Bronisława Dłuska, Justyna Budzińska-Tylicka, Teodora Krajewska. W tym czasie zaczynały działać także prekursorki innych dziedzin nauki i było im jeszcze trudniej niż w medycynie...

Pionierki farmacji

Pierwszą polską farmaceutką była Antonina Leśniewska. Od dziecka marzyła o pracy w aptece, ojciec jej był lekarzem w Petersburgu, a ona wyobrażała sobie, że będzie przyrządzać przepisane przez niego mikstury. W owych czasach leki mozolnie produkowano na zapleczach aptek, według receptur, stąd anegdota o aptekarskiej dokładności. Pragnienie Antoniny było utopią, a jednak dopięła swego. Opanowała łacinę, której w gimnazjum żeńskim nie uczono, odpracowała wymagane praktyki dzięki temu, że ojciec uprosił znajomego aptekarza, by zatrudnił Tosię jako asystentkę. Mimo oporu władz uczelni, że studiować nie może, bo „przypadku takiego jeszcze nie było”, ukończyła studia w Petersburgu i w roku 1900 została pierwszą dyplomowaną farmaceutką na terenie Cesarstwa Rosyjskiego. Otworzyła żeńską aptekę w Petersburgu i zatrudniła same kobiety. Po odzyskaniu niepodległości Polski wróciła do Warszawy, tu współpracowała

z Aleksandrą Pilsudską na niwie społecznej, organizowała ochronki dla dzieci, sanatoria, niosła pomoc repatriantom i oczywiście założyła aptekę. Pierwsza prowadzona przez kobietę apteka działała przy Marszałkowskiej 72. Z kolei w Krakowie, pod koniec XIX wieku trzy inne pionierki uparły się studiować farmację: Jadwiga Sikorska, Janina Kosmowska i Stanisława Dowgiałło. Profesor Antoni Wierzejski powiedział im: „po moim trupie będziecie chodzić na zootechnikę”. Jadwiga odrzekła rezolutnie: „no to chyba umrze pan w wakacje, bo od nowego roku zaczynamy studia!”. Troskliwi kuzyni przestrzegali: nie wyjdziecie za mąż, będziecie śmierdzieć karbolem i jodoformem. One uzyskały wymagane zgody, odbyły praktyki i zasiadły w sali wykładowej w roli hospitantek, czyli wolnych studentek, bez prawa do egzaminów końcowych. Pokazywano je sobie palcami na ulicach jak dziwadła, koledzy wygwizdali je na pierwszym wykładzie. Nie poddały się, w roku 1905 Jadwiga otworzyła przy Karmelickiej 3 pierwszą w Krakowie perfumerię – aptekę prowadzoną przez kobietę. Oczywiście zatrudniła swoje koleżanki ze studiów...

Chemia, moja miłość

Zofia Jerzmanowska, jedna z wybitnych polskich chemiczek, zaczęła studia na Politechnice Warszawskiej w roku 1924, gdy obowiązywała tam zasada „numerus clausus”, czyli nie więcej niż dziesięć procent kobiet na wydziale. Znalazła się wśród wybranek, chociaż omal nie oblała egzaminu, bo... nie umiała narysować lokomotywy! Za to miała wysokie uzdolnienia do matematyki i nauk przyrodniczych. Co z tego, okazało się, że nie ma dla kobiet pracy w przemyśle, jeśli już to w laboratoriach analitycznych. Ojciec – właściciel apteki – doradził studiowanie farmacji. Zofia ukończyła więc jeszcze studia farmaceutyczne, ale nie przejęła apteki, została w Zakładzie Chemii Organicznej, by pisać doktorat na temat przemian kwasu etylenoczworokarboksyłowego. Być może w decyzji odegrały rolę względy prywatne – jej opiekunem naukowym był profesor Roman Małaszyński, późniejszy narzeczony, za którym pojechała na uczelnię do Wilna. Tytuł doktora Zofia otrzymała w 1933 roku, po czym zajęła się fitochemią, czyli metodami wyodrębniania i badania związków naturalnych, występujących w świecie roślinnym. W latach trzydziestych wyjechała na uczelnię do Wiednia, a przed samym wybuchem wojny objęła katedrę na Politechnice Warszawskiej. Druga wojna światowa przerwała prace naukowe, ale wiedza chemiczki okazała się niezbędna podczas okupacji – Zofia produkowała

nitroglicerynę do granatów dla podziemia, mydło i środki słodzące dla ludności, ukryła w ogrodzie cenne chemikalia i nauczala na tajnych kompletach. Jej narzeczony zginął w powstaniu warszawskim, nigdy nie odnalazła jego ciała. Po wojnie doktor Jerzmanowska poświęciła się całkowicie nauce, zbudowała od nowa chemię akademicką w Polsce. Została autorką podręczników i odkrywczynią – syntetyzowała nową pochodną aspiryny, lek miejscowo znieczulający oraz przeciwbólowy o nazwie „Edan”. Związała się z Łodzią, pod koniec życia w swojej autobiografii zapisała receptę na szczęście: „trzeba w każdej dziedzinie dawać ludziom jak najwięcej z siebie...”

Jej imię nosi gwiazda

Badala zmienność gwiazdy pulsującej RX Aurigae, napisała o tym doktorat. Scharakteryzowała nadolbrzymy gwiazdowe, analizując ich cechy widmowe. Brzmi to jak czarna magia, ale to czysta nauka. Astronomka Wilhelmina Iwanowska, doktor habilitowana z Uniwersytetu Stefana Batorego, niesłusznie zapomniana w Polsce, wslawiła się swoimi badaniami w Europie. Przebywała na stażu w Obserwatorium Sztokholmskim, tu zapoznała się ze spektroskopią astronomiczną i stała się pionierką w tej dziedzinie. Kiedy w latach dwudziestych XX wieku, jako maturzystka w Wilnie wybierała się na astronomię, otoczenie wrzeszczało ramionami, ale już na trzecim roku profesor Władysław Dziewulski zaproponował jej asystenturę. Po drugiej wojnie światowej, kiedy Litwę wcielono w ZSRR, przejechała do Polski i stworzyła z nim od podstaw Uniwersytet w Toruniu. W 1946 roku została pierwszym w Polsce profesorem astrofizyki. Dzięki niej uczelnia dostała specjalny obiekt, konieczny by mogła powstać pierwsza luneta. Ruch gwiazd w przestrzeni, widma gwiazdowe, ewolucja galaktyk, to pasje Wilhelminy. Całe życie zagłębiała się w świat kosmosu i meteorytów, prowadziła badania w Toruniu i USA. Ustaliła nową skalę odległości w kosmosie

i tak udowodniła, że wszechświat jest dwa razy większy niż myślano... Została wiceprezeską Międzynarodowej Unii Astronomicznej, była uczoną szanowaną na świecie, proponowano jej pozostanie w USA, wróciła jednak do kraju. W roku 2012, jedna z odkrytych planetoid, decyzją MUA dostała imię: „198820 Iwanowska”.

W cieniu dinozaurów

Jak wyglądały zwierzęta ery mezozoiku wiemy dzięki Polsce – pierwszej paleontolożce Zofii Kielan-Jaworowskiej. Odkryła nowe gatunki dinozaurów, w tym ogromnego Gallimimusa, pierwowzór bohatera z „Parku Jurajskiego”. Spielberg konsultował z nią swoje filmy! Ona jednak bardziej niż dinozaurami pasjonowała się ssakami mniejszymi, które żyły w ich cieniu, bo to one przetrwały kataklizm i stały się źródłem fauny na ziemi, czyli... naszymi przodkami. Zofia odkryła jak zbudowany był mózg pierwszych naczelnych, udowodniła, że mieliśmy wspólnego protoplastę. Jej nagrodzone dzieło *Ssaki ery dinozaurów* uznano za podstawowy podręcznik i kamień milowy w badaniach o mezozoiku. Zaczęła swoją naukę w okupowanej Warszawie na tajnych kompletach UW. Zapalona studentka nie rozstawiała się z książkami, nawet jako sanitariuszka w Szarych Szeregach nosiła w plecaku podręcznik do zoologii. W trakcie swojej kariery odkryła setki gatunków wymarłych zwierząt, sklasyfikowała i opisała. Organizowała wyprawy do Mongolii, na pustynię Gobi, gdzie znalazła wspomniane czaszki ssaków z ery mezozoicznej. Przez dziewięć lat była profesorką katedry paleontologii w Oslo – zbudowała tę naukę w Norwegom. W swoich wspomnieniach zamieściła taką refleksję: „My, ludzie, nauczyliśmy się sterować ewolucją, troszczyć o biosferę i wychodzić w kosmos. Stajemy się opiekunami wszystkiego co żyje i coraz bliżsi jesteśmy zrozumienia, że naszym losem jest przedłużanie ewolucji i życia w nieskończoność”. W tym procesie rozumienia i troski ważną rolę odegrały i wciąż odgrywają kobiety.

KATARZYNA DROGA

– pisarka, redaktorka, dziennikarka. Autorka powieści biograficznych i sag rodzinnych związanych z Białostoczczyzną. Współpracuje dziennikarsko z magazynem „Twój Styl”. Jest absolwentką filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Podlasianka z urodzenia (ur. w 1965 r. w Zambrowie) i z wyboru: po dwudziestu latach życia w stolicy powróciła do rodzinnego domu nad Narwią, gdzie mieszka i pracuje nad kolejnymi książkami.



foto: Bogumiła Maleszewska-Oksztol



Natalia Głowacka / PLSP w Supraślu

Malika Tomkiel

Wiara w siebie i w litery

Siedzę w kawiarni na Podlasiu. Piszę, wiadomo. Tym razem nie kolejną książkę, co mogłoby wskazywać na to, że muszę sobie dorobić. Tak już jest z tym zawodem – nielekkko, a utożsamiając się ze słowem „pisarka” muszę liczyć się z meandrami na swojej drodze. Mam poczucie, że niektórzy myśląc o zakrawającym na artyzm zawodzie literata bądź dziennikarza, wiążą to z pewnego rodzaju gloryfikacją społeczną. Jest łatwo – to oczywiste, zawsze jest pomysł, by stworzyć dzieło i wypluć z siebie wnętrzności złożone z liter, kropek i przecinków. Zawód pisarza to nie rurki z kremem. Zawód pisarza, jego zarobki i branża wydawnictw, to bardziej ciągłe tkanie losu na krośnie, które stanowi synonim rzemiosła.

Kiedy pisarz pisze

Prawnik piszący podczas jazdy metrem, mama łapiąca za dyktafon w stercie prania, redaktor gazety codziennej – wszystkie te osoby łączy wytrwałość. Powiedzmy głośno, że tworzenie słów to ciężka praca. Myśląc o tym, wspominam słowa Pauliny Młynarskiej, która podczas przeprowadzania z nią wywiadu powiedziała, że pisząc nie można czekać na muśnięcie anioła bądź wróżki z lasu. By lepiej zrozumieć to zagadnienie sięgnęłam do głowy znawczyni tematu, Justyny Wydry, która nie tylko jest autorką licznych książek, ale pracuje na co dzień w wydawnictwie Helion. Jak więc pisać?

Jak wspomina Justyna, można pisać impulsywnie, ale jest to raczej metoda na tworzenie postów na Facebooku. Chcąc napisać opowiadanie, recenzję bądź felieton, które mają w sobie ciąg przyczynowo-skutkowy należy raczej kierować się rozumem, pozwalającym nam nakreślić ramy swojej pracy. Jak w każdym zawodzie – trzeba mieć plan i odnaleźć racjonalizm w tym całym szaleństwie. Zrobić zarys: postaci, przestrzeni, co pozwoli na wywiązywanie się z pisarskiej obietnicy danej sobie bądź wydawnictwu. Pisanie bowiem pozwoli nam iść dalej – do wydawcy.

Co się wydaje

No właśnie, wydawnictwa. Ostatnio zostałam zaproszona na targi na stadionie, którego powierzchnia była potrzebna do tego, by pomieścić nie tylko wszystkie osoby zainteresowane czytaniem literatury, ale również by ugościć ogólnopolskich i lokalnych przedstawicieli rynku książki. Jedno jest pewne: książki nie znikną. Ba! razem z Justyną o włosach koloru orzechowego zaśmiałyśmy się również na myśl o stwierdzeniu, że w Polsce jest zdecydowanie więcej pisarzy niż czytelników. Co więc robić z nadwyżką literatury, a mówiąc prościej, jakie propozycje napływają najczęściej do wydawnictw? Jak są przesiewane? Nie ma co ukrywać, że rozkwit rynku literatury można dostrzec w dwóch dziedzinach: książki dziecięce i erotyki, które sprzedają się z niesamowitą prędkością. Nie zapominajmy jednak, że istnieje również masa mniejszych, ukierunkowanych na daną dziedzinę, wydawnictw – zdecydowanie łatwiej poszukać takiego, które odpowie na porywy Twojego serca. Zastanówmy się: książka naukowa, która trafi do skrzynki wydawcy kryminalów to skazywanie się z góry na porażkę. Rozejrzyjcie się dookoła, poszukajcie, a może podobnie jak ja, traficie na redaktorkę o imieniu Marika, która zechciała wydać moją książkę w swoim wydawnictwie, związanym ze świadomością i samorozwojem. Rada? Przeszukując Internet, wejdźcie na stronę wydawnictwa i sprawdźcie, co wydało do tej pory. To zdecydowanie Wam pomoże.

Wiedząc już, że na rynku istnieje przesyt (chyba wszystkiego), zapytałam wydawców o to, jakie propozycje trafiają do nich najczęściej. Moje rozmówczynie, Marika Krajniewska i Justyna Wydra, były zgodne co do tego, że codziennie potencjalni autorzy przesyłają im setki stron, a każdy wymaga, by jego zgłoszenie zostało przeczytane. To nie do zrobienia! Realia są bezlitosne i pokazują, że wydawnictwa nie mają takich mocy przerobowych. To bardzo ludzkie, że początkujący autorzy często są prze



fot. archiwum prywatne autorki

konani o swojej słownej nieomyślności. Wydanie pierwszej książki jest bardzo trudne, o ile nie jest się osobą znaną bądź wybitnym ekspertem w danym temacie. I tu pomoc może...

Konkursowe konkurowanie

„Udział w konkursie literackim to dobra droga do zaistnienia” – mówi Justyna Wydra. W Polsce można wymienić całą masę literackich nagród, a na prowadzenie z pewnością wysuwa się Nagroda Literacka „Nike”. Nobla odpuśćmy, to nie tym razem – po „nobilizacji” genialnej Olgi Tokarczuk z Polakiem spotkamy się w kolejnym stuleciu. Nagrody są konieczne: dla pisarzy i czytelników. Wysłanie swojego dzieła na małe, nawet lokalne konkursy, może być drogą do pokazania swojego dzieła szerszej publiczności. Może dzięki nagrodzie ktoś o nim usłyszy, a może zamiast gratyfikacji finansowej uda się wydać pierwszy tomik?

Konkursy literackie to też gratka dla czytelników. Odpada problem wyboru autora bądź autorki do domowej biblioteczki – jury konkursowe wybiera za nas. My – czytelnicy, ufamy im. Tylko co, jeśli to nie wystarcza?

Pomoc ma moc

Po poradę postanowiłam spacerować się do Katarzyny Krawczyk, osoby, która po kilku latach współpracy z Filipem Springerem postanowiła założyć agencję, organizującą spotkania autorskie. Twórcy potrzebują wsparcia. To pewne, ale tak samo jak z lekkością przychodzi takie stwierdzenie w przypadku muzyków czy aktorów, tak trudniej sobie wyobrazić, że mogą być osoby promujące pisarzy. A jednak. Agencja autorska jest dowodem na to, że pisarz może oddać formalności związane ze spotkaniem w ręce profesjonalistów. Nawiązanie współpracy z tego typu agencją sprawia, że pisarz ma kontakt z odbiorcami jego książek, ale ma też czas na pisanie, co w jego fachu może okazać się zbawienne. Zresztą, z rozmowy z Kasią jasno wynikało, że do agencji zgłasza się coraz więcej osób. Zapotrzebowanie jest. Autorzy mają dzięki temu szansę zjawić się ze swoją publikacją w różnych instytucjach. To ważne nie tylko po premierze, ale również w okresie, gdy robi się cicho o książce – właśnie wtedy warto wspomóc autora, by nie został sam ze swoim dziełem.

Gdy nie wiadomo o co chodzi...

Dlaczego spotkania autorskie są ważne? Stanowią źródło zarobku, a nie oszukujmy się – często pisanie książek bądź artykułów, to niejedyny zajęcie osoby, zajmującej się twórczością literacką. Owszem, w Polsce znamy przypadki autorów, żyjących tylko i wyłącznie z pisania, ale bardzo często jest to uzupełnienie ich domowego budżetu. Spójrzmy chociażby na założycieli szkoły Ekopoetyki, którzy prowadząc swoich wychowanków przez rok, wkraczają w rolę nauczycieli, ale nie tylko... zależność pomiędzy pracą a pisaniem po godzinach znajdziemy w szczególności w wydawnictwach rozwojowych, gdzie autorzy i autorki za dnia np. uczą jogi, a po godzinach piszą o medytacji w życiu człowieka. Pisanie nie jest więc trzonem, a jedynie gałęzią do ulokowania swojej wiedzy. Tą słuszną. Doświadczenia nie warto chować do kieszeni.

Czy na pracę pisarza wpłynęła pandemia? Widać to wyraźnie chociażby po regularności organizacji spotkań autorskich. „Opowieści w czasach zarazy”, czytania online,

to tylko niektóre z inicjatyw, które powstawały, a prawda jest taka, że większość spotkań była odwoływana bądź przekładana. Dziś? Twórcy literatury mogą powoli wyjść ze swoich domów, jednak czy w dobie inflacji książki stanowią towar pierwszej potrzeby? Mocno wierzę, że półki będą uginać się zawsze pod ciężkimi tomami i piórkami poezji. Aktualny stan branży i podejście do pisania w Polsce zobrazowała według mnie Marika, redaktorka wydawnictwa Papierowy Motyl:

„Spotykam coraz więcej pisarzy, pisarek, którzy żyją z pisania. Spotykam coraz więcej nieznanymi z drogich półek twórców, którzy mają na koncie bestsellery, przynoszące zyski. Spotykam wielu, którzy pomimo genialnych książek, zarobków nie mają zupełnie. Po trzynastu latach w branży, będąc w obu frakcjach zarobkowych, nadal nie wiem, w którym momencie przekracza się zarobkowy rubikon. Nie odkryję tu Ameryki, stwierdzając, że wiara w siebie jest fundamentem”.

I tego właśnie Wam życzę – wiary w siebie i w litery.

MALIKA TOMKIEL

– dziennikarka związana z kulturą i sztuką. Była redaktorka naczelna magazynu „Kraft”, która po przygodzie z wydawnictwem, przeniosła się na Podlasie, by obcować ze słowem pisanim i jogą, której uczy. Pracowała w radiu, współzałożycielka Grupy Wolność, gdzie sprawuje opiekę literacką i działa z Up To Date Festival. Od ponad 10 lat nie ukrywa faktu, że choruje na anoreksję. Chcąc pomagać innym ludziom, napisała książkę *Biel kości*, w której opowiedziała swoją historię i pokazała realia życia osób, cierpiących na zaburzenia odżywiania.

Sebastian Kochaniec

Prze(gra)ny Wiedźmin

W drugim numerze „Epei” z 2020 roku, Jakub Sosnowski w tekście *Zagraj w książkę*¹ przedstawił subiektywne zestawienie elektronicznych adaptacji dzieł literackich, okraszając uprzednio swoje wybory kilkoma lakonicznymi uwagami na temat obecnego statusu gier wideo. Bez rozstrzygnięcia pozostawił jednak nadrzędne pytanie, które ów artykuł stawia przed czytelnikiem: co łączy gry wideo z literaturą? Obecnie nadarzyła się okazja ku temu, aby powstała luka wypełnić. Natomiast pewne zasygnalizowane we wspomnianym artykule kwestie, jak chociażby: co wynika z wzajemnych relacji gier wideo i literatury dla tych mediów i ich odbiorców – rozwinąć i uzupełnić (również o subiektywne spostrzeżenia).

Pomiędzy słowem a teksturą

W postrzeganiu zagadnienia adaptacji treści dzieła literackiego na potrzeby gry, stykamy się z analogiczną sytuacją, jak w przypadku skojarzeń związanych ze słowem: „sztuka”. Otóż myśląc „sztuka” mamy przede wszystkim wyobrażenie jakiegoś obrazu olejnego lub klasycznej rzeźby. Z kolei w przypadku hasła: „adaptacja literatury w postaci gry komputerowej”, myślimy od razu – „Wiedźmin”, i nie ma co się specjalnie temu dziwić. Otóż, jak słusznie pisze Jakub Sosnowski, to, co studio CD Project Red zrobiło z sagą Andrzeja Sapkowskiego o Białym Wilku², przekroczyło wszelkie oczekiwania. „Wiedźmin 3. Dziki Gon”, bo o tym tytule będzie tutaj głównie mowa, uważany jest za jedną z najlepszych gier action RPG³ wszech czasów. W bardzo krótkim czasie okazało się, że gra wideo – produkt stereotypowo postrzegany jako tania, infantylna rozrywka – stanowić może współczesną, narodową epopeję, główny towar promujący kulturę polską za granicą⁴, a także bezpośrednio wpływając na czytelnictwo.

Oczywiście sam fakt adaptacji cyklu literackiego Andrzeja Sapkowskiego na potrzeby gry wideo nie jest żadnym fenomenem. Przed powstaniem pierwszej części

gry o przygodach Geralta z Rivii (rok 2007) branża gier wideo garściami czerpała inspiracje z różnorodnych dzieł literackich. Swoich przygód w wirtualnej rzeczywistości doczekali się m.in. Drakula, Harry Potter, Alicja z Krainy Czarów, bohaterowie Władcy Pierścieni, a nawet... Czerwony Kapturek. Fenomenem jest jednak to, w jaki sposób gra wpłynęła na postrzeganie literackiego dzieła Sapkowskiego. Księgarnie wypełniły się nowymi wydaniem „Sagi o Wiedźminie”, na okładkach których to widniały postaci głównych bohaterów wedle interpretacji twórców gry. Zaczął się czas „wiedźminomanii”, który doprowadził do kolejnej adaptacji treści sagi, tym razem w postaci serialu telewizyjnego. Pozostawiając na uboczu kwestię jakości tej adaptacji, warto odnotować, że pojawienie się Wiedźmina na platformie Netflix wywindowało popularność gry, która po sześciu latach od wydania ponownie znalazła się w czołówce rankingów sprzedaży. Nie inaczej stało się z literackim pierwowzorem.

Trzymając się dalej przykładu „Wiedźmina”, warto by w tym miejscu wyprowadzić dyskusję, czy literatura fabularna sama w sobie zyskuje tak ogromną popularność, czy dopiero przełożenie treści słownej na świat gry

¹ Zob. J. Sosnowski, *Zagraj w książkę*, [w:] „Epea” 2020, nr 2, s. 96-97.

² Warto przypomnieć, że osławiona gra o przygodach Wiedźmina to trzecia część serii. Dwie poprzednie zatytułowane kolejno: „Wiedźmin” (2007) oraz „Wiedźmin 2. Zabójcy królów” (2011) odniosły, co prawda duży sukces, ale nie tak spektakularny, jak „Dziki Gon” z 2015 roku.

³ Fabularna Gra Akcji RPG (ang. action role-playing game, action RPG) – odmiana komputerowych gier fabularnych, w których system walki zapożyczono z gatunków gier akcji. Walka w grach z tego gatunku rozgrywana jest w czasie rzeczywistym, przy czym istotny wpływ na system walki mają umiejętności bohatera i jego ekwipunek

⁴ Obecnie spółka CD Project RED, odpowiedzialna za stworzenie gry, warta jest około 26 miliardów dolarów, co sytuuje ją wśród największych polskich przedsiębiorstw na świecie. Analitycy szacują, że przychody spółki mogą osiągnąć nawet 850 milionów dolarów

napędza cały mechanizm?⁵ Sugerując się fenomenem Wiedźmina odpowiedź wydaje się jednoznaczna, a samo zjawisko prowadzić może do pewnych niebezpiecznych efektów w postaci medialnej konwergencji, czyli (mówiąc ogólnie) w przypadku mediów artystycznych, przejmowania cech jednego utworu przez drugi, lub ich zbieżności na płaszczyźnie formalnej lub tworzącej ich treść struktury wewnętrznej. Dobrą ilustracją tego zjawiska na przykładzie relacji prozy Sapkowskiego z grą studia CD Project RED jest „Elementarz Kultury Polskiej” – ogólnopolski projekt, który można było oglądać w białostockim Centrum im. Ludwika Zamenhofa. Elementem projektu była wystawa przedstawiająca 44, powstałe po 1918 roku, dzieła kultury polskiej, które zyskały międzynarodowy rozgłos i są reprezentatywne dla twórcy, którego renoma przekroczyła granice naszego kraju. Wystawa została podzielona na sekcje, z których każda przybliżyła jedną dziedzinę kultury, np. malarstwo, literatura, film itd. Wśród wymienionych w elementarzu twórców znalazł się także Andrzej Sapkowski, którego osoba i twórczość nie zostały jednak zaklasyfikowane w kategorii literatury, ale... kultury popularnej i nowych technologii. Ów karkołomny błąd, w którym doszło do przewartościowania mediów, nie wzbudził jednak większej dyskusji ponad uwagi dotyczące wierności adaptacji filmowej wobec literackiego pierwowzoru. Powyższy przykład jest być może jednostkowy, ale bardzo wyraźnie pokazuje w jaki sposób konwergencja mediów może doprowadzić do zniekształcenia obrazu oryginału i napędzić mechanizm popularności jego symulacji.

Przeglądając się relacji literatury z grami wideo na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że mamy do czynienia z dwoma, odmiennymi formami sztuki, w których jedna – gra wideo, zawiera w sobie pewne cechy ogólne drugiej – literatury. Gra wideo jest bowiem tworem niejednorodnym, medialnie hybrydowym, który tworzą przede wszystkim aspekty wizualne, na które kładzie się obecnie bardzo duży nacisk. Jednakże grafika to nie wszystko, o czym świadczy chociażby fakt, że równorzędną kategorią oceny współczesnych gier wideo jest fabuła. To ona m.in. w pierwszych dniach po premierze innej głośniejszej produkcji studia CD Project RED – „Cyberpunk 2077”, głównie zachęcała graczy do ukończenia niezwykle wadliwej pod kątem graficznym produkcji. Aspekt fabularny tworzą głównie takie elementy, jak: sposób

opowiedzenia historii, zapadający w pamięć bohaterowie, sugestywne i dobrze pomyślane miejsce akcji, wciągająca historia. Powyższe elementy są także najczęściej wymienianymi przez czytelników cechami dobrej książki. Oczywiście nadużyciem byłoby mówić o grze wideo jako nowej formie literatury. Nie ulega jednak wątpliwości, że współczesne gry coraz większy nacisk kładą na to, co można by określić jako literackość, bez względu na to, czy czerpią z danego utworu w sposób mniej lub bardziej bezpośredni. Dobrym przykładem jest tutaj seria gier pt. „The last of Us”, która czerpie luźne inspiracje z powieści *Droga* Cormaca McCarthy’ego i *Miasto złodziei* Davida Benioffa. Gra została w 2020 roku nagrodzona m.in. za najlepszą narrację.

Szukając podobieństw i opisując relacje pomiędzy dziełem literackim a grą wideo, warto pokusić się o nieco metaforyczne i poetyckie spojrzenie na zachodzące tu zależności. Robert Pinsky, wybitny amerykański poeta, eseista i krytyk literacki, zauważył np., że pomiędzy grą wideo a poezją istnieje pewne podobieństwo na płaszczyźnie relacji forma – treść. W jego mniemaniu gra wideo upodabnia się do poezji w tym sensie, że formalnie mamy do czynienia z czymś zewnętrznym niepozornym, co nagle okazuje się bramą do bardzo rozległego świata, gdzie możemy odnaleźć dużo więcej treści niż to, co widać na pierwszy rzut oka. Tak, jak w poezji pomiędzy kilkoma słowami rozciągają się całe rzeczywistości. Innymi słowy zmaksymalizowana treść w skondensowanej formie.

Patrząc więc na dzieło literackie i grę wideo, trzeba mieć świadomość iż obcuje się z dwoma tekstami kultury, które stanowią pewną całość, uporządkowaną wedle pewnych reguł, z tą różnicą, iż gra jest dziełem o wiele bardziej niejednorodnym, hybrydowym i bardziej plastycznym pod kątem adaptowania innych mediów niż literatura. Te zależności, powinowactwa i wzajemne przenikanie się mediów, dają odbiorcy ciekawe, intertekstualne możliwości doświadczania np. „Wiedźmina” zachowując przy tym autoteliczność danego medium, w którym treść zostaje wyrażona.

„Wiedźmiński” kanon lektur i gry z literaturą

O ile w kontekście relacji zachodzących pomiędzy grą studia CD Project Red a sagą literacką Andrzeja Sapkowskiego możemy mówić o luźnej adaptacji, tak w przypadku określenia sposobu funkcjonowania świata przedstawionego

⁵ Doskonałym tego przykładem odwołującym się do ekranizacji treści literackiej jest popularność jaką zyskał serial „Gambit królowej”, oparty na zapomnianej książce Waltera Tevisa, o takim samym tytule, wydanej w 1983 roku.



Matylda Dąbrowska / PLSP w Supraślu

w opowieściach o Wiedźminie w tym, stworzonym na potrzeby gry, należałoby mówić o „Wiedźminie 3. Dziki Gon” jako o swoistym palimpseście tekstów kultury. Określenie to wydaje się być adekwatnym, dla tak wielowarstwowej struktury, w której w świat stworzony przez Sapkowskiego, a nawiązujący do eposu rycerskiego i osadzony w ramach mediewistyki, wtłoczone zostają różnorodne nawiązania do szeroko rozumianej polskiej kultury.

Dominującym nurtem staje się ludowość ze wszystkimi tworzącymi ją rzeczywistościami; od sztuki ludowej, obrzędów po gusła i magię ukazujące się głównie w nawiązaniu do natury. Wszystkie wyżej wymienione elementy można oczywiście spiąć w jedno hasło – romantyzm, który uwidacznia się w grze nie tylko na płaszczyźnie typowych dla tego nurtu aspektów estetycznych, ale także chociażby

w postaci obrazowania zaprojektowanych w grze przestrzeni i lokacji. Jest więc „Wiedźmin” rodzajem multi-medialnego eposu romantycznego, który swoje apogeum osiągnął w „Dzikim Gonie”. Już bowiem w pierwszej części serii, wydanej w 2007 roku, w czwartym akcie gry, główny bohater odwiedzając wieś pod Wyzimą, spotyka krążącą po okolicznych polach Południcę⁶. Zjawa nie chce przyjąć do wiadomości swojej śmierci, wręcz przeciwnie – oczekuje nawet na wesele. Rolą łowcy potworów jest w akcie uświadomienie upiora, że nie żyje. Geralt powątpiewając w swoje zdolności perswazji, prosi o pomoc przyjaciela, barda Jaskra. Ten stwierdza jednak, że w tak krótkim czasie (do zmroku) nie jest w stanie ułożyć czegoś przekonującego, ale nie odmawia Wiedźminowi pomocy, uznając, iż jakoś sobie poradzi. Ostatecznie stając przed Południcą, dźwięcznie i składnie deklamuje:

*Serce ustalo, pierś już lodowata,
Ścięły się usta i oczy zawarły;
Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata!
Cóż to za człowiek? — Umarły.*

*Patrz, duch nadziei życie mu nadaje,
Gwiazda pamięci promyków użyzcza,
Umarły wraca na młodości kraje
Szukać lubego oblicza.⁷*

Myślę, że nikogo nie trzeba uświadamiać skąd pochodzą cytowane przez barda Jaskra słowa. Poemat *Upiór* ze zbioru *Dziady* Adama Mickiewicza to nie epizodyczne, pojedyncze nawiązanie do narodowych wieszczów romantycznych. W dalszej części sceny okazuje się, że „odczarowana” Południca zginęła śmiercią zadaną jej przez siostrę – Celinę, a imię Południcy to Alina. Tego typu nawiązań do literatury polskiej w całej serii gier o Białym Wilku odnajdziemy wiele. Ich duże nagromadzenie ich występuje w części trzeciej. Zanim jednak do niej przejdziemy, warto zauważyć, iż w powyższym przypadku obecność utworu Mickiewicza ma charakter performatywny. Jaskier deklamując *Upiora* robi pauzę po słowach „Cóż to za człowiek?”, a dopowiedzenie należy już do Geralta – gracza, który musi wybrać odpowiednie zakończenie z proponowanych.

⁶ Południca – według wierzeń słowiańskich złośliwy i morderczy demon, polujący latem na tych, którzy niebacznie w samo południe przebywali w polu.

⁷ A. Mickiewicz, *Upiór*, [w:] tegoż, *Dziady*, Warszawa 2020, s. 5.

W kolejnych częściach gry, a zwłaszcza „Dzikim Gonie” takich oczywistych nawiązań pojawia się mniej – występują na zasadzie pewnych niuansów, które odkryć może dopiero wprawny gracz, a raczej czytelnik. I tu pojawia się intrygujący paradoks. Wygląda bowiem na to, że do pełnego czerpania doświadczenia z medium, które rzekomo jest infantylną rozgrywką, należy posiadać dobre obycie literackie.

Pozostając w kontekście romantyzmu, warto przenieść się teraz do trzeciej części gry, gdzie mamy do czynienia z bardzo widowiskowym i rozbudowanym nawiązaniem zarówno do polskiej historii, jak i kultury. Chodzi o odprawienie słowiańskiego obrzędu dziadów, w nawiązaniu rzecz jasna do cz. 2 utworu Adama Mickiewicza. Obecność tego tekstu Mickiewicza w grze jest o tyle intrygująca, że nie mamy tu – jak w przypadku *Upióra* – bezpośredniego cytowania poematu. W kulminacyjnym momencie Guślarz wypowiada znane sformułowanie „Ciemno wszędzie, glucho wszędzie; Co to będzie, co to będzie?”, jednak dalsza część tekstu została napisana przez autorów gry, którzy mocno stylizowali się na aspekty estetyczne i formalne całego utworu z zachowaniem metrum. Dlatego też, biorąc pod uwagę całość sceny, można odnieść wrażenie, iż wypowiedzi Guślarza pochodzą słowo w słowo z tekstu naszego narodowego wieszcza. Taki zabieg ma swoje przemyślane konsekwencje. Otóż trzeba pamiętać o tym, że gra jest produktem globalnym, dlatego studio musiało zmierzyć się z problemem aluzji do lokalności w dziele przeznaczonym do międzynarodowego odbioru. W wielu miejscach gry, a szczególnie w poprzednich jej częściach, nawiązania, głównie wizualne, ale także tekstowe do epoki romantycznej zostały utrzymane na poziomie dekoratywnym. Stylizacja na język Mickiewicza, a nie jego bezpośrednie zapożyczenie, pozwoliła uczynić z rytuału o znaczeniu lokalnym, rytuał globalny. Przemyślanie więc świat trzeciego „Wiedźmina” nie epatuje słowiańszczyzną w sensie dosłownym, ale sprawnie i subtelnie wplata ją w inne wątki tak, że zagraniczny gracz nie traci nic z doświadczania świata, w którym obcuje, za to dla gracza lokalnego, lepiej znającego kontekst, obcowanie z tymi smaczkami kulturowymi to nie lada gratka.

Drugim, obok aspektu romantycznego, obszernym nawiązaniem do konkretnego dzieła literackiego jest dodatek do gry pt. „Serce z kamienia”, w którym w wykreowany przez Sapkowskię i studio CD Projekt RED świat, zostaje zaadaptowana rzeczywistość XVII-wiecznej

Rzeczypospolitej rodem z powieści Henryka Sienkiewicza. Nawiązania do twórczości Noblisty i wykreowanego przez niego świata, odnajdziemy w grze zarówno w postaci języka bohaterów, ubioru, wyglądzie, orężu jakim się posługują, a także pewnej manierze zachowania. Obok Geralta, głównym bohaterem dodatku jest Olgierd von Everec, szlachcic i przywódca kompanii zbrojników, ubrany jest w żupan, z szablą przy boku, podgolonymi włosami, wąsem i blizną. Innymi słowy, wypisz wymaluj Pan Kmicic. W dodatku pojawia się także wielka miłość Olgierda – Iris. W jej przypadku również mamy bardzo sprytne nawiązanie do *Potopu* Sienkiewicza. Iris przed ślubem z Everecem nosiła nazwisko Bilewitz, podczas gdy ukochana Kmicica to Oleńka Billewiczówna. W grze nie mogło też zabraknąć nawiązania do słynnego pojedynku Kmicica z Wołodyjowskim, w którego rolę wcieliła się wiedźmin. Podczas potyczki z Olgierdem, antagonistą Geralta zwraca się do niego słowami Wołodyjowskiego: „Może waść chcesz poczeekać aż siąpić przestanie?”. W miarę postępów czynionych w dodatku „Serce z kamienia” okazuje się, że twórcy polasili się na iście postmodernistyczny synkretyzm i wplekli w rzeczywistość wykreowaną przez Sienkiewicza elementy magiczne w postaci nawiązania do ballady *Pani Twardowska* Mickiewicza. Bohatera legendy, Twardowskiego zastępuje tu (Kmicic) Olgierd von Everec, który podpisuje cyrograf z diabłem. Jakby tego było mało, w „Sercu z Kamienia” odwiedzamy również wesele i to przepełnione klimatem tradycyjnych polskich biesiad i pełne nawiązań do dramatu Stanisława Wyspiańskiego, w tym m.in. nazwy miejscowości, w której odbywa się uroczystość. W grze jest to miejscowość Bronovitz, kiedy wesele poety Lucjana Rydla i chłopki Jadwigi Mikołajczykówny w rzeczywistości odbywało się w podkrakowskiej wsi Bronowice.

Poza wskazanymi powyżej, niezwykle obszernymi i rozbudowanymi inspiracjami klasyką literatury polskiej, odnajdziemy w „Wiedźminie 3. Dziki Gon” także mniej spektakularne, aczkolwiek nie mniej intrygujące nawiązania do innych utworów literackiego kanonu. Czasami ograniczają się one np. do nadania imienia drugorzędym, niezależnym bohaterom w grze lub objawiają się w postaci pozostawionej gdzieś na tablicy ogłoszeniowej notatki. I tak np. na początku gry, we wsi Białe Sady trafiamy na chłopca o imieniu Boryna lub informację dotyczącą niejakiego Jana z Czarnolasu. Z kolei w podręcznym bestiariuszu, do którego nierzadko sięga się podczas rozgrywki możemy znaleźć opis upióra Południcy, powstały na podstawie fikcyjnego

dzieła zatytułowanego *Chłopi i ich obyczaje* autorstwa Włada Reymonda. W innym z kolei miejscu, natkniemy się na ciekawe treści ogłoszeń pozostawione na tablicach, na których przeważnie poszukujemy wiedźmińskich zleceń na potwory. Na jednej z tablic informacyjnych reklamuje się „kapela weselna Janko Muzykanta”, śpiewająca takie hity jak „Biały Miś”, „Cudownych rodziców mam”, czy „Szła elfeczka do laseczka”. Trafiają się także nieco bardziej rozbudowane aluzje, jak w przypadku pewnego wiersza, który możemy odnaleźć na tablicy ogłoszeniowej w mieście Novigrad. Jest parafraza wiersza Tuwima znanego jako *Wiersz, w którym autor grzecznie, ale stanowczo uprasza liczne zastępy bliźnich, aby go w dupę pocałowali* z 1937 roku.

*Absztyfikanci Grubej Berty,
I mahakamskie rudokopy,
I bruggeńscy rzemieślnicy,
I novigradmesche, bycze chłopy,
Tretogorskie bubki, żygolaki,
Z szajką wytwornych pind na kupę,
Rębajły Tasaka, franty, zabijaki
Całujcie mnie wszyscy w dupę.*

*Elfi doktorkowie,
Co w Oxenfurcie i Dol Angra szczerzycie
kulturalną francę,
Którzy chlipiecie nad Ithlinne Aevenien,
Mądrale, czytani, a jednak głupie
Całujcie mnie wszyscy w dupę.*

*Item cholerne ludzkie szowinisty,
Wypierdki redańskie, osobno jak i w grupie,
Karne pętaki i szturmowce,
Całujcie mnie wszyscy w dupę.*

Tekst został oczywiście zinterpretowany tak, aby jak najlepiej pasował do świata przedstawionego w grze i satyrycznie opisywał zamieszkujące go poszczególne rasy i grupy społeczne. I tak „katowickie węglokopy” to „Mahakamskimi rudokopami”. Lodzermensche, czyli mieszkańcy Łodzi, to w świecie gry Novigardmensche. Izraelscy doktorkowie szerzący kulturalną francę w Bochnii itd., stali się elfickimi doktorkami szerzącymi tę samą francę w Oxenfurcie i Dol Angra.

Jak widać, relacje gier wideo z literaturą niosą ze sobą różnorodne skutki dla postrzegania obu mediów. Gra może przyczynić się do wzrostu zainteresowania dziełem literackim, na kanwie którego powstała, ale może też spowodować zawłaszczenie jego treści do tego stopnia, że pierwowzór stanie się elementem drugorzędny. Bardzo ciekawie przedstawia się jednak postrzeganie gry jako rodzaju hipertekstu, którego struktura może w różnorodny sposób modelować inne, autonomiczne treści tak, że w zawarty w nich przekaz może wnieść nowe jakości, a przez to nowe, odmienne doświadczenia. I na tym chyba polega najciekawszy aspekt więzi pomiędzy literaturą, a tym, co nazwać można literackością gier wideo.



foto Justyna Sawczuk

SEBASTIAN KOCHANIEC

– urodzony w 1989 r., doktor nauk humanistycznych, kulturoznawca i krytyk sztuki. Miłośnik wszelkiej postaci gier wideo.

Tomasz Filipowicz

Geniusz inspiracją – biografie ludzi nauki

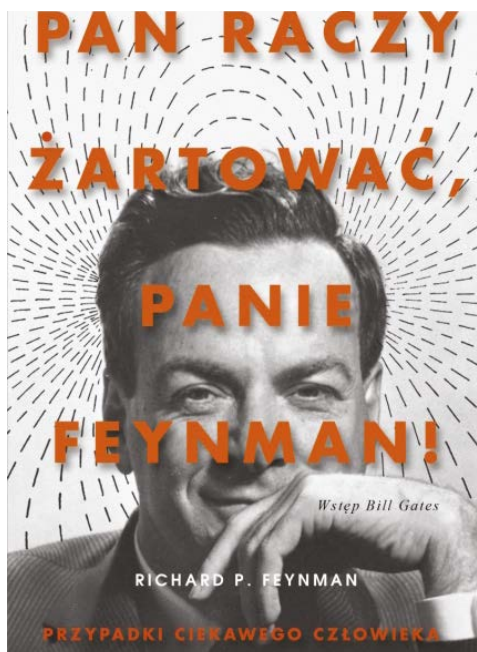


foto: Bakhrom Tursunov / Unsplash

Umysł ciągle pracuje. Nieustannie analizuje, stwierdza, zauważa, poddaje w wątpliwość, buduje pewność. A niekiedy też wspaniale tworzy. Co do tego, jak ten proces się odbywa, zdania są podzielone. Jedni uważają, że jest to efekt zbioru wielu wyzwań, ciężkiej pracy, która owocuje stworzeniem czegoś. Inni są zwolennikami olśnienia, chwilowego błysku świadomości, która przynosi wyjaśnienie problemu albo rozwiązanie zagadnienia. Jeszcze inni jako główny czynnik podają naciski zewnętrzne, trudną sytuację, wielkie wyzwanie, które niejako zmusza do znalezienia szybkiej odpowiedzi.

A jak jest naprawdę?

Nie do końca wiadomo. Wiadomo jednak, że ludzie twórczy często bywali nietuzinkowymi postaciami, które – oprócz barwnego życiorysu i całego przeglądu ciekawych pasji – potrafiły i potrafią być inspiracją oraz motywacją do naszego rozwoju. Ponadto udowadniają, że rzeczy, które wydają nam się z pozoru bardzo trudne i nudne, są fascynujące i urzekające. Stąd właśnie pomysł, by wydobyć kilka biografii ludzi nauki, które są dowodem, że nie zawsze jest łatwo, ale zazwyczaj jest bardzo ciekawie, że postaci znane jedynie z akademickich opracowań oraz nazw teorii naukowych były ludźmi z krwi i kości, pełnymi pasji i miłości do... nauki i nie tylko.



Richard Phillips Feynman, „Pan raczy żartować, panie Feynman!” *Przypadki ciekawego człowieka*
Wydawnictwo Znak Literanova, 2021

Feynman to amerykański fizyk teoretyk, który został uznany za jednego z dziesięciu najwybitniejszych fizyków wszech czasów. Współtwórca elektrodynamiki kwantowej, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki w 1965 r. za niezależne stworzenie relatywistycznej elektrodynamiki kwantowej. Tyle encyklopedycznego hasła. Owszem, postać wybitna – bez dwóch zdań. Ale czy wzbudzająca ciekawość? Może się wydawać, że niekoniecznie. Zaskoczę jednak wszystkich, którym postać Richarda Feynmana nie jest bliżej znana – otóż to prawdziwa „gwiazda rocka” świata nauki, bożyszcze nerdów i tych, których fascynują nauki ścisłe. Oprócz imponującego portfolio w świecie akademickich osiągnięć i odkryć, które realnie zmieniły świat, był on: perkusistą, malarzem, uczył się języków obcych, a nawet hobbystycznie... otwierał sejfy. Ale – co najważniejsze dla czytelnika – był charyzmatycznym gawędziarzem, który potrafił niesamowicie budować opowieść dzięki dowcipowi i lekkości snucia o swoich przygodach. Ta książka wymyka się ramom klasycznej biografii, ma formę rozmowy Feynmana z jego przyjacielem Ralfem Leightonem. I mimo, że formuła ta odbiega od chronologii typowej dla biografii, tworzy pewien urzekający styl narracji.

Nie jest to książka popularnonaukowa, choć dowiemy się z niej wielu ciekawych rzeczy dotyczących odkryć, w których Feynman miał swój udział. To przede wszystkim dzieło o życiu poświęconym przekazywaniu wiedzy, relacjom w akademickim świecie przepełnionym anegdotalami oraz celnymi refleksjami.



Neurolożka

*Piękny umysł,
który się zgubił*

Barbara K. Lipska we współpracy z Elaine McArdle

Barbara K. Lipska we współpracy z Elaine McArdle, *Neurolożka. Piękny umysł, który się zgubił*
Wydawnictwo Agora, 2020

Umysł w czynie twórczym może być naprawdę wspaniałą i śledzenie tego procesu wydaje się być fascynujące. Co jednak z umysłem, który „znika”? Pograża się w otchłani obłędu, zapomnienia, niebytu i szaleństwa? Co się z nim dzieje, gdy traci kontakt z otaczającym go światem, przenosząc się w krainę majaków i rojeń? Nie chodzi mi o wpływ substancji narkotycznych, których przyjęcie jest w pewnym sensie naszym świadomym wyborem (przynajmniej w początkowym stadium), ale o chorobę. Taką właśnie ścieżką podążają na świecie tysiące osób, które zapadają na raka mózgu. Jest to „podróż” bez nadziei na powrót, przypominająca często wchodzenie w mgłę, w której z każdym kolejnym krokiem ginie świat, jaki znamy. Ale ludzkie ciało jest zagadką, której możliwości nie jesteśmy w stanie oszacować.

Barbara K. Lipska, Polka mieszkająca w USA, wybitna neurolożka, specjalistka od chorób psychicznych, zachorowała na raka mózgu. Demencja i schizofrenia były jednymi z objawów choroby pożerającej w błyskawicznym tempie jej umysł. Wydawało się, że nie ma już nadziei dla Lipskiej, która straciła kontakt z rzeczywistością, ale wydarzył się cud – terapia zadziałała i choroba zaczęła się cofać. Okazało się, że pod warstwą „szaleństwa”, które nowotwór wprowadził do jej umysłu, ciągle była świadoma. Wycofujące się objawy nie zabrały ze sobą wspomnień o jej przebiegu, dlatego też książka ta jest swego rodzaju opowieścią o tym, co dzieje się z człowiekiem, który traci władzę nad umysłem, ale – co wydaje się najstraszniejsze – gdzieś pod powierzchnią pozostaje świadomy. Ta historia niesie ze sobą wielką nadzieję, że nie wszystkie zasoby naszego „człowieczeństwa” tracimy, że nie wszystko zostanie nam odebrane.

ŚWIATOWY BESTSELLER

JORDAN B. PETERSON



„Jeden z najważniejszych myślicieli, jacy w ostatnich latach pojawili się na światowej scenie” – THE SPECTATOR

Fjorr Publishing

Jordan B. Peterson, *12 życiowych zasad. Antidotum na chaos*

Fjorr Publishing, 2018

Ta pozycja w tym zestawieniu odwraca odrobinę zasady gry. Ale tylko pozornie. Trudno ją sklasyfikować – dla wielu mogłaby być czymś w rodzaju poradnika, niektórzy widzą w niej popularnonaukowe dzieło. Niezależnie

jak ją określimy, oddać trzeba autorowi – Jordanowi Berntowi Petersonowi, doktorowi psychologii klinicznej i wykładowcy akademickiemu na Uniwersytecie w Toronto, zajmującemu się tematyką ideologii, religii, problematyką osobowości i świadomości, że zawarł wiele wątków autobiograficznych w swoim dziele, jako dowód i umocowanie niektórych spośród swoich przekonań i rad.

W wielu kręgach Peterson jest uważany za jednego z najbardziej wpływowych intelektualistów na świecie, a fakt, że w krótkim czasie jego dzieło zostało przetłumaczone na ponad 50 języków i sprzedano w ponad 3 milionach egzemplarzy sprawia, że warto zwrócić uwagę na jego fenomen.

We współczesnym świecie, napędzanym propagandą sukcesu, obiecującym nam nieustanny rozwój i satysfakcję na drodze zawodowej, ekonomicznej i emocjonalnej, a których hasłem przewodnim jest powtarzane niczym mantra: „możesz być kim chcesz, jeśli się o to postarasz”, czujemy się coraz bardziej zagubieni, gdy odkrywamy, że to oszustwo. Ponadto zgubiliśmy gdzieś autorytety, mentorów, ciągłość pokoleniową w przekazywaniu prawdy o tym, jak żyć. Peterson, chcąc wyjść naprzeciw tym problemom, udzielał skromnych porad użytkownikom portalu Quorra. Z czasem zebrał je w krótką listę kilkudziesięciu rad, mających na celu pomoc w odnalezieniu się w chaosie. Lista ta okazała się być internetowym hitem i motywacją do stworzenia opisywanej książki. Nie ukrywam, że jej lektura zrobiła na mnie duże wrażenie. Jak wspominałem – nie jest to poradnik. To zbiór przemyśleń, które mają pomóc nam w poukładaniu naszego życia. Nie ma w nim cudownych leków i obietnic. Wszystkie myśli, które autor tam zawarł, opierają się na doświadczeniu, czerpią z codzienności i są solidnie ugruntowane. Peterson korzysta zarówno z mądrości zawartych w starożytnych podaniach i legendach, jak i wykorzystuje najnowsze badania naukowe (dla ciekawskich – wszystko opatrzone solidnymi przypisaniami!). Pelen humoru, ale nie trywialny język, regularne „puszczanie oczka” do czytelnika, w połączeniu z niebanalną ścieżką snucia wywodu sprawia, że czyta się to doskonale, mimo wielu naukowych odniesień. Bo co może nam dać wiedza o systemie nerwowym homara? Jak ustrzec się rozgoryczenia i arogancji? Na te i inne pytania autor stara się udzielić odpowiedzi, przedstawić pewne rozwiązania oraz – co najważniejsze – zadaje klam wielu utartym mądrościom nauki, wiary i psychologii, pozostawiając szacunek i przestrzeń na indywidualizm czytelnika.



Stanisław Ulam, *Przygody matematyka. Autobiografia*

Wydawnictwo Znak Horyzont, 2021

Nie ukrywam, że ta książka nie byłaby moim pierwszym wyborem wśród biografii ludzi nauki. Okładka nie wygląda zbyt zachęcająco (to się odrobinę zmieniło, gdyż ostatnio ukazało się nowe wydanie z okładką filmową, nawiązującą do produkcji niemiecko-polsko-brytyjskiej sprzed paru lat). Tytuł też nie porywa, a postać bohatera, który tworzył swoją autobiografię (spisaną w rzeczywistości przez żonę z nagrań, listów, felietonów oraz osobistych wspomnień) nie była mi wcześniej szerzej znana. Trafiłem na tę książkę dzięki innej pozycji, *Genialni. Lwowska szkoła*

matematyczna Mariusza Urbanka, w której to szukałem informacji o Stefanie Banachu – wybitnym polskim matematyku. I tak właśnie trafiłem na postać Stanisława Ulama. Niesłusznie zapomniana przez historię postać polskiego Żyda-agnostyka (był bardzo wyczulony jeśli chodzi o własne pochodzenie), jednego z przedstawicieli wspaniałych matematyków lwowskiej szkoły, którego największym osiągnięciem było stworzenie bomby wodorowej.

Jednak jego autobiografia zasługuje na uwagę nie tylko ze względu na wspomniany wynalazek. Ulam przedstawiony jest w sposób bardzo prywatny, jednak nie intymny – jego życie osobiste nie dominuje w tej opowieści. Możemy dowiedzieć się więcej o jego badaniach i drodze do odkryć, jednak największym atutem tej pozycji jest obraz całego środowiska naukowego epoki atomowej. Autor opisuje atmosferę wyścigu po „broń totalną”, która towarzyszyła rywalizacji państw sprzymierzonych, sowiektów i nazistów u kresu II wojny światowej. Przedstawia wiele wybitnych postaci, które brały udział w kształtowaniu ówczesnej rzeczywistości – nie tylko naukowej. A wszystko napisane przystępnym językiem, nie zrażającym nawet osób niezbyt chętnych matematyce.

Na szczególną uwagę zasługuje bez wątpienia ostatni rozdział, będący swego rodzaju esejem, w którym Stanisław Ulam ukazuje, jak szerokie miał horyzonty i jak wielkim wizjonerem był w kwestii nadchodzącej przyszłości i rozwoju nauki.

Oczywiście w tym krótkim zbiorze brakuje tak kanonicznych biografii ludzi nauki, jak: Leonarda Da Vinci, Alberta Einsteina, Nikoli Tesli czy Marii Curie-Skłodowskiej, są to jednak dzieła znane. Staralem się, by zaproponowane przeze mnie pozycje wybiegały poza kanon i pozwalały odkryć coś nowego, dając przy tym dużo przyjemności z samej lektury.

TOMASZ FILIPOWICZ

– bibliotekarz i aktywista, mąż i ojciec – ról można by wymieniać znacznie więcej. Uważa, że świat jest opowieścią i sam lubi je snuć. Przyznaje, że „lubi piękne i poruszające narracje”, dlatego nie różnicuje dobrych książek, gier, seriali, muzyki czy filmów. Najważniejsza jest opowieść i jej piękne zaaranżowanie.

Dział Zbiorów Specjalnych Książnicy Podlaskiej to miejsce, gdzie kolekcjonujemy i archiwizujemy regionalną twórczość, zarówno pisaną, jak i muzyczną. W cyklu **WyGracie – MyPropagujemy**, skupiamy się na przybliżaniu sylwetek białostockich artystów muzyków, pokazujemy czym się zajmują oraz w jaki sposób tworzą. Podpowiadamy co się gra „na mieście”.

„Podlasie ma w sobie coś magicznego”

– z Katarzyną Antosiewicz, wokalistką zespołu Szeptucha rozmawia Eligiusz Buczyński.

Mocno związana ze środowiskiem bluesowym, wielokrotnie uczestniczyła w koncertach, jam sessions, stając na scenie z najlepszymi bluesowymi muzykami z województwa podlaskiego. Teraz, wraz z przyjaciółmi, tworzy muzykę, która łączy elektroniczne dźwięki z melodią z pogranicza muzyki etnicznej (podlaskie akcenty), popu i rocka.

Eligiusz Buczyński: Z Helu na Podlasie? Jak się tu znalazłaś?

Katarzyna Antosiewicz: Przeprowadziły mnie tu emocje i uczucia. Nie chciałabym mówić o konkretach. Jestem szczęśliwa, że tak potoczyła się moja droga i nigdy, ani przez chwilę, nie żałowałam decyzji zamieszkania w Białymstoku. To mój dom. Tutaj założyłam rodzinę, mieszkam, spotykam się ze znajomymi, tworzę. To miejsce przyciąga i nie pozwala o sobie zapomnieć. Co ciekawe, moja rodzina od strony mojej Mamy pochodzi z okolic Podlasia. Dziadek urodził się w miejscowości Majdan Suski i tam się wychowywał.

Co wydaje Ci się atrakcyjne na tych ziemiach?

Przyjechałam tu 10 lat temu. Od razu pokochałam otwartość i gościnność Podlasiaków. Tutejsza kultura wydaje mi się bardzo bliska i nie potrafię tego wytłumaczyć. Podlasie ma w sobie coś magicznego, co przyciąga. Nie jestem pierwszą osobą, która to odczuwa. Ktoś mógłby powiedzieć: „Dziewczyno, przecież mieszkałaś w Helu, z każdej strony morze. Jak mogłaś opuścić półwysep?”. Opuściłam,



fot. archiwum prywatne Katarzyny Antosiewicz

bo tego chciałam w tamtym momencie życia. Gdyby nie ta podróż, pewnie nie powstałby nasz album.

Którego członka zespołu poznałaś jako pierwszego i jak doszliście do tego, że na Podlasiu potrzebna jest Szeptucha?

Pawła „Szuchera” Szuszkiewicza poznałam na jam session w miejscowym pubie. W tamtym czasie grałam w innej kapeli. Bardzo spodobał mi się jego styl grania. Zazwyczaj na jamach każdy chce być „na wierzchu”. Rozkręcone piece próbują się ścigać: kto głośniej, kto mocniej. Paweł nie próbował grać najgłośniej, jego gitara prowadziła cały utwór i nadawała mu właściwe brzmienie. W przerwach trochę pogadaliśmy. Po jakimś czasie Paweł zaproponował mi wspólne granie w pubie. Po pierwszych próbach wiedzieliśmy, że dobrze się uzupełniamy i chcemy tworzyć coś własnego. Szeptuchy to prawosławne „czarownice”. Wypowiadają zamowy, prosząc Boga o uzdrowienie. Nasze zamowy to energetyczna mieszanka nieoczywistych brzmień, która ma na celu ożywić słuchacza, dodawać mu energii. Poprzez teksty chcemy rozbudzić emocje, zachęcić do głębszego zastanowienia się nad sprawami, które wydają nam się na co dzień mało ważne. Dużo mówimy o przemianach, poszanowaniu przyrody, relacjach ludzkich, które na nas wpływają. Musimy znaleźć czas na chwilę samotności, bycia sam na sam ze sobą. To ważne, by w dzisiejszych czasach zachować spokój ducha.

A jak dołączył Tomek „Cynamon” Kamiński? Notabene, wszystkim opowiadam, że w listopadzie, w okolicach „Jesieni z Bluesem”, zamiast hejnału Białegostoku na trąbce, rozbrzmiewa jego harmonijka. Promuje nasze miasto.

Tomek to legenda polskiego bluesa. Poznaliśmy się podczas pierwszego wspólnego występu w Supraślu. Pamiętam naszą energię. Już po pierwszych dźwiękach jego harmonijki wiedziałam, że to dobry kierunek. Tomek to najsympatyczniejsza osoba z zespołu – oczywiście wypowiadam się tylko w swoim imieniu. Wszyscy staramy się dogadywać, mimo częstych różnic zdań. Tak właśnie powstaje nasza muzyka, to mieszanka różnych charakterów, inspiracji. Bardzo się cieszę, że mogę współpracować z doświadczonymi muzykami. To mnie napędza.

No to mamy już co najmniej trzy gwiazdy w jednym koszyku, ale czy zdajesz sobie sprawę, że to Ty jesteś objawieniem? Wokalnym objawieniem. Nadal uczysz się śpiewać, czy już nauczyłaś się popijać różne zioła i robić mikstury wspomagające głos?

Dziękuję ci bardzo za tak miłe słowa. To dużo dla mnie znaczy. Śpiewu uczę się od dziecka. W młodości współpracowałam z wieloma zespołami. Zaczynałam w Helu w grupie Ósemki. Pamiętam swój pierwszy występ w trójmieście. Miałam 10 czy 11 lat. To był ogromny stres. Mała dziewczynka śpiewa na froncie, na dużej scenie, podczas przeglądu (z tego co pamiętam) piosenki żeglarskiej. Ciepło wspominałam te czasy. Później jeździłam po Polsce z zespołem harscerskim. Jako nastolatka nagrałam epkę z rockowym zespołem Diagnoza. Nie chcę nazywać się objawieniem. Uważam, że talent to nie wszystko. Chłopaki bardzo mnie motywują bym ćwiczyła i dbała o swój głos. To właśnie robię.

Podoba mi się to, że waszej muzyce towarzyszą dobre teksty. Nie uciekacie od współpracy, szukacie – to na pewno rozwija zespół. Z kim udało wam się nawiązać współpracę i na co jesteście otwarci?

Teksty, które wybrałam do naszych kompozycji bardzo mnie natchnęły do pisania autorских piosenek. Na płycie można znaleźć moje trzy utwory. „Szeptanica”, która przez kilka tygodni była jedynką na liście przebojów Radia Białystok, została napisana przez znaną białostocką poetkę Miłkę Malzahn. Jej talent jest nieoceniony. Miłka jest również muzykiem, co bardzo ułatwia nam współpracę. Autorem pozostałych tekstów jest Janusz Andrzejczak, miłośnik podlaskiej natury. Poeta, który wydał wiele tomików z wierszami o naszym regionie. Nie chcę zamykać się tylko na własną twórczość. Chętnie sięgam do różnych źródeł, by szukać inspiracji. Wielu artystów tak robi.

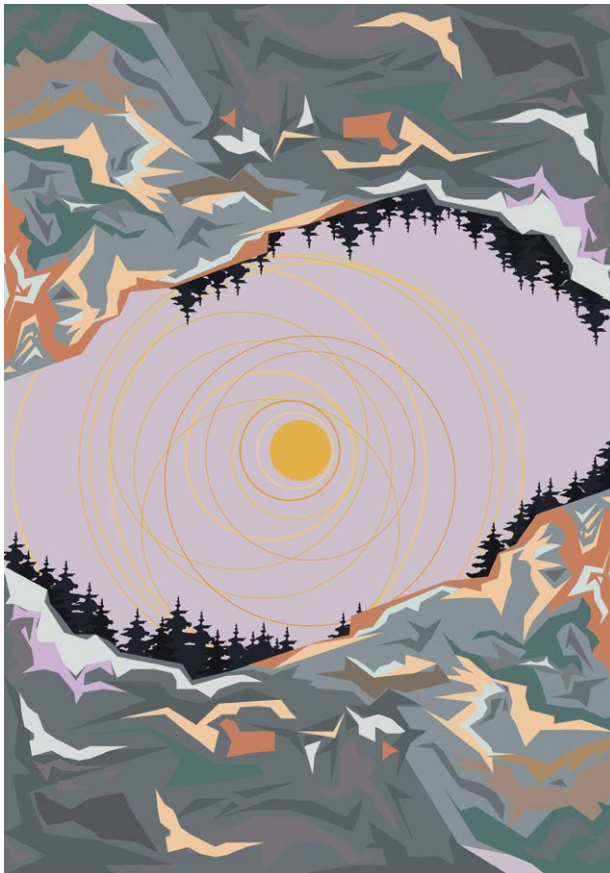
*Szeptucha –
siedziałem w knajpie
i rozpoznałem. Jeszcze coś
dodam: siedziałem dalej.
Słuchałem. Nie miałem ochoty
wychodzić. Dobrze. Ma ciąg.*

RAFAŁ SALMANOWICZ
(gitarzysta i lider HopeOn;
bohater poprzedniego wywiadu
z cyklu „WyGracie – MyPropagujemy”)

Zatem życzę wam jak najdłuższego trwania na naszej scenie muzycznej, bo wzmacniacie to poczucie swojskości, a jednocześnie możecie być inspiracją dla nowych zespołów i twórców. Dla mnie z pewnością tak się „objawiać”. A powiedz, czy zetknęłaś się z nazwą Dział Zbiorów Specjalnych?

Dzięki. Będziemy ciężko pracować, by dalej wzmacniać to poczucie regionalności w naszej muzyce.

Dział Zbiorów Specjalnych kojarzy mi się ze starodrukami – popraw mnie, jeżeli nie mam racji. Sądzę, że zbiory mogą zawierać wszelkiego rodzaju muzykalia z dawnych lat. Myślę, że powinnam tam zajrzeć. Może znajdę coś, co mnie mocno zainspiruje do tworzenia nowych melodii i tekstów.



Hanna Dziokan / PLSP w Supraślu

KATARZYNA ANTOSIEWICZ (PISULA)

– pochodzi z Helu. Pierwsze kroki jako artystka stawiała na helskiej scenie, śpiewając pod czujnym okiem Krzysztofa Kamińskiego oraz Zbigniewa Wiekiera. Przez wiele lat jeździła po Polsce z zespołem harcerskim, z którym udało jej się zdobyć wiele ogólnopolskich nagród. Od 10 lat mieszka w Białymstoku i to właśnie tu rozwija się artystycznie i duchowo. Współpracowała z bluesowym zespołem Gęsia Skórka Blues Band, a następnie zajęła się tworzeniem muzyki z białostockimi artystami (Pawłem Szuszkiewiczem, Tomaszem Kamińskim, Piotrem Romaniukiem, Marcinem Mickiewiczem). We wrześniu 2021 roku odbyła się premiera płyty „Zamowy” zespołu Szeptucha, którego jest wokalistką.

Piotr Janicki

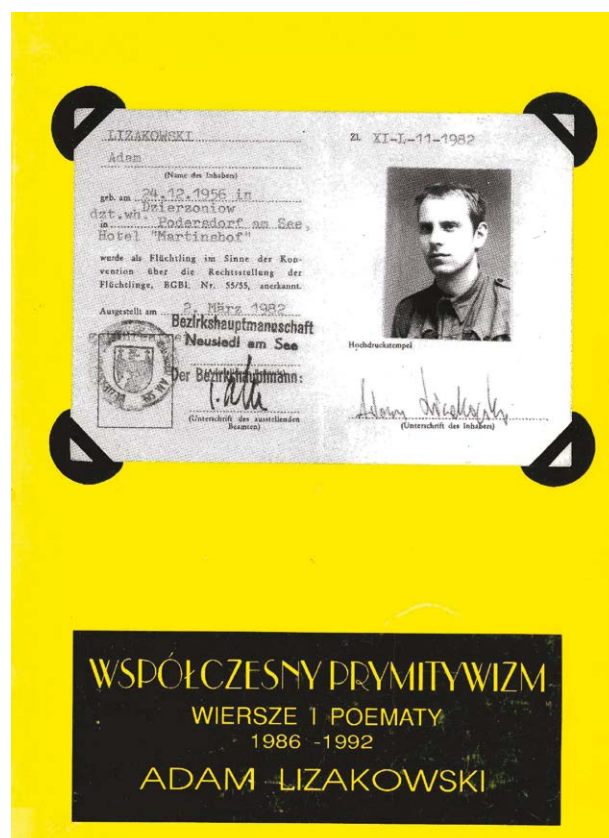
Syriusz C

Wyobraźmy sobie kilka ostatnich dekad XX w. po prostu jako proces sączenia na stole laboratoryjnym. Coś jest rozdzielane, coś z tego zostaje na lejku, coś spływa do kolby. Po zakończeniu filtracji, lejek umieszcza się pod bieżącą wodą i splukuje pozostałości. To tamte lata dziewięćdziesiąte w niedużym mieście wschodniej Polski, lata pojawiające się w krótkich ujęciach z przeszłości jako dekada grzechu cielca. W razie protestów, niech to będzie inny obraz – produkcji serdelków: tłoczona z lejka nadziewarki emulsja w miejscach nakłóc tworzy na celulozowej osłonce wysięk. Przy tej okazji: dłoń ściskająca lejek jest miejscem w przeszłości, do którego zmierzamy, przemagając pod osłonką parcie masy.

Jeśli obraz lat dziewięćdziesiątych jest już adekwatny, przejdźmy do antykwariatu w naszym mieście, w którym natrafiamy na żółte, rażące jednocześnie i przyciągające oko okładki, na które naniesiono z przodu kopię niemieckiego dokumentu ze zdjęciem szczupłej twarzy o dość obłąkanych oczach, stwierdzający status uchodźcy na mocy konwencji o uchodźctwie (Flüchtling / Flüchtlinge), zaś z tyłu – fragment listu do autora, podpisany nazwiskiem Czesława Miłosza. Niżej wzmianka, że Lizakowski przekładał m.in. Walta Whitmana (!), a na tej samej wysokości, ale znów z przodu – tytuł, zaczynający się od słów „Współczesny prymitywizm”. Książkę wydała Grupa Poetycka Niezapłacony Rent z Chicago. Logotyp grupy to osadzone przy ciemnej ścianie, w prostopadłym do niej rzędzie, litery R, E, N, T. Rzucają one na nas olbrzymiejący cień, przypadkiem nawiązujący do historycznej jaskini poznania, a bezpośrednio do samego poznania w jakimś szczególnym czasie, dlatego zawsze myślę, że jest w tym logo moc apokalipsy.

Współczesny prymitywizm... opisuje się jak przedmiot o nieprzewidywalnych możliwościach; może tylko magnetowid i dyktafon obznajamiane w okolicach tamtych lat zrobiły na mnie podobnie duże wrażenie. Rozpoczynający tom wiersz *Ars poetyka* zaczyna się od zaimka dzierżawczego „moja”, w drugim, pt. *Kosmiczny promień*, głos mówi, że jak był tym promieniem kiedyś,

to nie działały się rzeczy opisane w takim szyku, że mamy przed sobą zatrutą, pozbawioną ludzkiej dumy postać z migawki o późnym kapitalizmie, w piątym pada porównanie Kalifornii do Syberii, w dziesiątym („Jeden, drugi, / piąty, dziesiąty”)¹ opisani są: Bóg, cesarz, diabeł, generał, kapitalista i bankier, kupiec, robotnik, bezrobotny, niewolnik, chłop, ojczyzna, życie, śmierć pseudokultura, poezja, język, słowo, rym i muzyka, a ostatni *Taniec niedźwiedzi* jest długi, cienki jak palec z włożonym nań sygnetem fragmentów „a mógłbys”, „a jesteś” oraz „a jeszcze”, bo ten



Adam Lizakowski, *Współczesny prymitywizm*.

Wiersze i poematy

The UNPAID RENT POETRY GROUP, Chicago 1992

¹ A. Lizakowski *Metamorfoza*, [w:] tegoż, *Współczesny prymitywizm*, Chicago 1992, s.14.

palec jest skierowany do mnie i do ciebie „ty najpiękniejszy z potworów”.

Wiersze i poematy. Niektóre są datowane. Najwcześniejsza data – 1985 rok, na dwa lata przed wydaniem pierwszego numeru „brulionu”². Dwudziestodzieciolatekni Lizakowski pisze, dajmy na to, utwór *Ciocia Marta*:

*Ciocia Marta umarła zupełnie
niespodziewanie na zawał serca
w maju 1984 roku w Polsce*

*Ciocia Marta nigdy nie pisała wierszy
jedynie co tworzyła to proza życia
gotowanie, sprzątanie etc.
dbanie o jedynaka, Tomasz*

*Ciocia Marta nigdy nie miała
pretensji do bliźnich
a jak cierpiała to tylko za siebie
lub syna*

*momentami
gdy chwytala za pióro były święta
lub urodziny albo imieniny
wtedy koślawymi literami adresowała koperty
a na kolorowych kartkach pisała:*

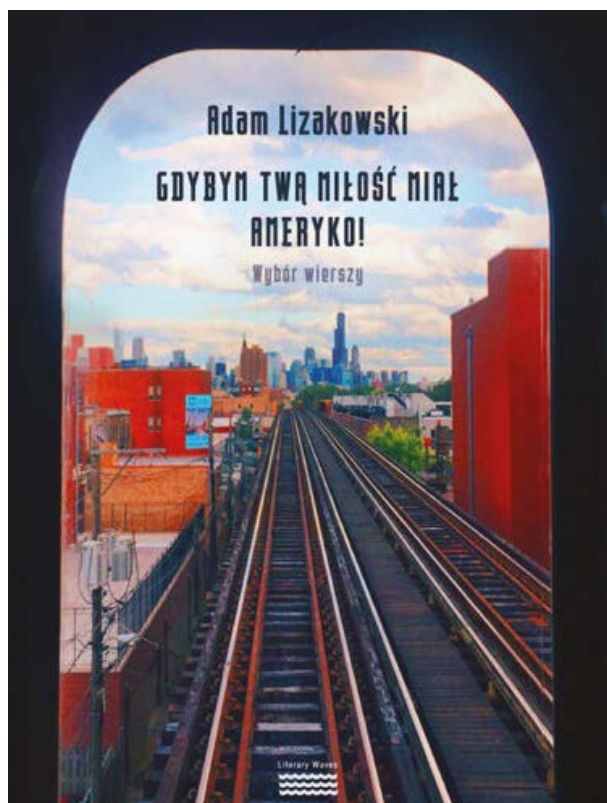
*wszystkiego najlepszego z okazji świąt
lub urodzin
lub imienin
życzy ciotka Marta z synem
z Kunowa*

Ten skromny wiersz jest jednocześnie paradą pewnej dystynkcji. Dystynkcja jest odróżnianiem, przy czym z jednej strony – ceremonialnym i pysznym („gdy chwytala za pióro[,] były święta”), a z drugiej takim, że się samowodrębnia (gdy chwytala za pióro[,] były święta / lub urodziny[,] albo imieniny”), czyli raz dystynktywne odpycha, oddala, a za innym razem samo odpada i z nim mamy w wierszu do czynienia, to znaczy z głosem, który rodzi i grzebie ta sama aktualizacja.

Innym poręcznym hasłem, opisującym utwór, może być pojęcie przystępności. Nie zacerpnęła was podczas lektury *Cioci...*, zrzucając zniecka do hawierni z przysypanym pisarzem, poetą?

Minęły lata.

Wtem zjawia się książka Lizakowskiego wydana w Londynie. Jej tytuł to *Gdybym twą miłość miał Ameryko!* i znów jest to wybór wierszy, a w nim kolejne efemerydy, jednak mniej wyzywające, niż w *Prymitywizmie...*, chociaż też powstawały – przynajmniej w części – daleko przed XXI wiekiem, daleko jak na poetę urodzonego w 1956 roku. Kwestia wyboru. Zwolnione miejsca po zadziornym *Chcę zostać prezydentem*, którego bohater po wygranych wyborach przywróci włosy łysym, a leniom – obozy pracy, po listach Stanisława Gersa domagającego się u władnych świata zadośćuczynienia za krzywdy, zajmują w *Gdybym*



Adam Lizakowski, *Gdybym twą miłość miał Ameryko! Wybór wierszy*

Literary Waves Publishing, Londyn 2022

² Wikipedia wymienia dwa tytuły tomów Lizakowskiego sprzed lat zerowych: *Cannibalism Poetry* z 1984 i *Anteroom Poetry* z 1986.



Dawini Dürschlag / PLSP w Supraślu

twą miłość miał... ci sami emigracyjni śmieciarze, otwieracze drzwi, pomywacze, kurz, kubły, bibeloty biedy w nierymskiej jazdy zapiskach emigranta, czulego dla podobnych sobie. Najważniejsza jest jednak ta sama fastryga zszywająca materiał języka, który rozszedł się wraz ze schyłkiem komunizmu, a to samo przedarcie fastrygowano w „brulionie” i na pewno w kilku innych miejscach poza San Francisco (wpisujcie miasta), aż fastryga zapadła się pod własnym ciężarem i załaly ją *Oceany* Sosnowskiego. Samo piękno; szkoda że nie jesteśmy, gdy to piszę, bliżej siebie, że nie podajemy sobie papierowych talerzyków, nie rozdieramy ciepłej pizzy, żółtej od curry.

Wiersze Lizakowskiego z *Gdybym...* układają się w pieśń znoju, pieśń amerykańskich miast, przy czym

głównie Chicago, drzemiących w chwili, gdy spowiadają noc (*Chicagowska kotłyszanka*), pieśń amerykańską i antyamerykańską. Coś Lizakowski o obu wie:

*Amerykańscy poeci których znam
przypominają mi wielkiego
prehistorycznego ptaka
który jeszcze ma pazury i łuski
jest za ciężki aby móc daleko pofrunąć
lub usiąść na gałęzi
ale uparcie patrzy w niebo
i przegląda się w gałęziach³*

(i tak dalej przez pięć następnych strof).

PIOTR JANICKI

– urodzony w 1974 r. w Białymstoku, mieszka w Supraślu. Współtwórca i redaktor zina poetyckiego www.cycgada.art.pl (2005-2010). Autor tomów poetyckich: *Nadal aksamit* (2006), *Wyrazy uznania* (2014), *13 sztuk* (2016), „psia książka” (2018), *Spis treści* (wraz z Adamem Kaczanowskim) (2020), *Ćwiczenia muzyczne albo księga muz napisane przeze mnie na gruzach cesarstwa Stanów Zjednoczonych Ameryki Płn.* (2022). Współautor, wraz z Bartkiem Kalinką, płyty „Boży rok” (2007).

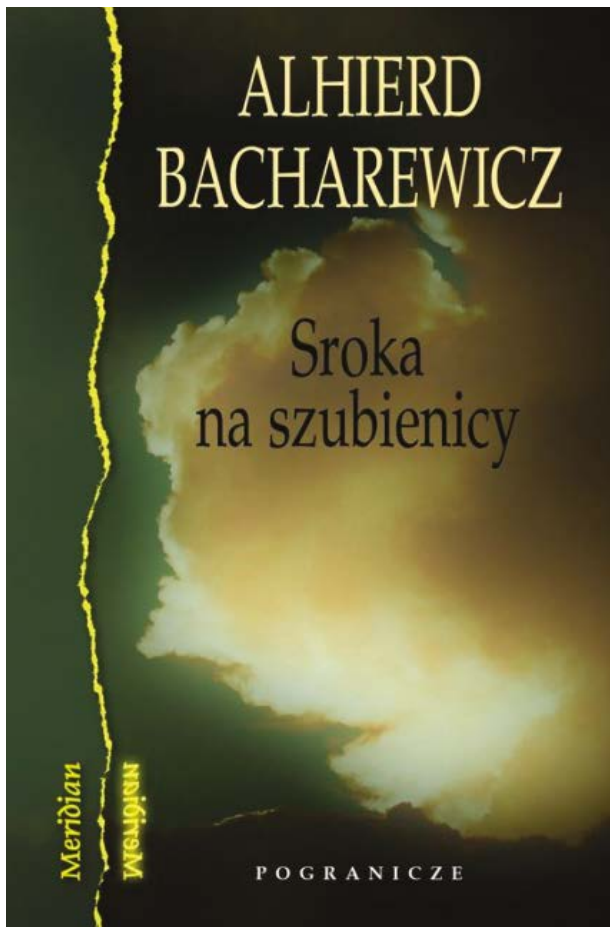


fot. Justyna Sawczuk

³ A. Lizakowski, *Amerykańscy poeci*, [w:] *Gdybym twą miłość miał Ameryko!*, Londyn 2022, s. 71.

Ewa Szarkowska

Sroka i tajemnice władzy



Alhierd Bacharewicz, *Sroka na szubienicy*
Pogranicze, 2021

Prawie pięć wieków temu Peter Breugel (starszy) stworzył dzieło malarskie pt. „Sroka na szubienicy”. Obraz utrzymany jest w typowej dla niego konwencji: na pierwszym planie scenki rodzajowe (tańczący mieszczanie, grajek z dudą, mężczyźni podziwiający panoramę), nieco niżej krzyż i młyn, w tle wijąca się rzeka, zamek, miasto ze zwykłą krzątanicą, a jeszcze dalej sielski pejzaż żywnych Niderlandów. Jednak tym, co przyciąga wzrok najbardziej, jest umieszczona w centrum obrazu szubienica z siedzącą na niej sroką. Niepokoi i intryguje zarazem. Wedle

krytyków jest to nawiązanie do terroru rządów hiszpańskiego najeźdźcy, objawiającego się między innymi wieszaniem przeciwników.

Gdyby pokusić się o przeniesienie malarskiej stylistyki Breugla do czasów współczesnych i tematem obrazu uczynić – dajmy na to – Białoruś albo inny kraj totalitarny, to co znalazłoby się dzisiaj na płótnie? Jakie narzędzia politycznego terroru, jakie realia, jacy bohaterowie? A gdyby pójść jeszcze dalej i spróbować przełożyć malarski język Breugla na prozę, to jaki byłby to tekst? Obfitujący w wątki i szczegóły (często nadmiarowe, jak gdyby autor nie chciał ich różnicować na ważne i niepotrzebne). Gęsty od mniej lub bardziej czytelnych symboli, cytatów i polemik (od Edgara Allana Poego, poprzez Kafkę, Joyce’a i Nabokova, po Paulo Coelho). Wieloznaczny i przegadany, jak wieloznaczne i pełne szczegółów są płótna holenderskiego mistrza.

Taką paralelę, mniej lub bardziej zamierzoną, nasuwa powieść Alhierda Bacharewicza, przetłumaczona właśnie – po piętnastu latach od momentu napisania – na język polski. I chociaż tytuł, pożyczony od Petera Breugla, bardziej jest tu symbolem, metaforą niż wyrazem pisarskiej koncepcji, trudno oprzeć się pokusie postawienia powyższych, może nieco karkołomnych, pytań.

Patrząc zatem na powieść z góry, jakby oglądało się wielki obraz, można w niej zobaczyć zagęszczenie szczegółów i wątków, natłok (miejscami niepoohamowany) słów, a przede wszystkim jednoczesność występujących elementów: władzy i zniewolenia, erotyki i przemocy, obecności i braku, czy w końcu – życia i śmierci. Rzecz jasna, w powieści ta jednoczesność wyraża się inaczej niż w dziele malarskim. To przede wszystkim wielość wątków przecinających się wzajemnie albo ze sobą sąsiadujących, przeplatające się punkty widzenia (narratora i głównej bohaterki – Weroniki), wymieszane perspektywy czasowe. Autor już na wstępie deklaruje, że zaczyna opowiadać swoją historię od końca.

Jest zatem w powieści wątek polityczny, opisujący, jak działa władza na najniższych szczeblach; jest rozbudowany wątek erotyczny, związany z postacią głów-

nej bohaterki; jest również temat śmierci, a dokładniej – jej fizjologii, rozpadu ciała. Jest proza autotematyczna o sytuacji pisarza emigranta, wyrzuconego nagle na nieznaną brzeg obcego kraju. A na koniec jeszcze metafikcja – wirtualny świat gry internetowej, w której uczestniczy bohaterka, a który to świat podejrzenie blisko przenika się z jej rzeczywistością. I mimo, że wątki te, każdy z osobna, stanowić mogą samowystarczalną opowieść, to jednocześnie są sobie nawzajem potrzebne, uzupełniają się, budują większą historię. Naśladują złożoność i wielowątkowość rzeczywistości, a w konsekwencji uniwersalizują przekaz opowieści.

Niewątpliwą zaletą książki Bacharewicza jest to, że każdy może ją odczytać inaczej: jako powieść polityczną z wątkiem erotycznym, jako thriller psychologiczny z kryminalną zagadką, czy w końcu jako prozę emigracyjną z licznymi odniesieniami do porzuconej ojczyzny i – również porzuconej – kobiety. (Wedle słów autora, każdy rozdział powieści poświęcony jest jednej części kobiecego ciała). Każde z odczytań będzie do pewnego stopnia trafne, choć żadne nie wyczerpie wszystkich sensów utworu.

Sam autor pytany o swoją książkę odpowiada, że jest to przede wszystkim powieść o władzy. Ale władzy rozumianej szeroko, nie tylko w kategoriach politycznych, choć to oczywiście wysuwa się na plan pierwszy – poprzez miejsce i realia rozgrywającej się akcji. Jest to także powieść o władzy seksu, władzy słowa nad człowiekiem czy wreszcie – władzy śmierci nad ludzkim ciałem.

Niezależnie zatem od wybranego kontekstu, powieść dotyczy problemu zniewolenia jednostki oraz granic jej wolności – tych wewnętrznych, biorących się z osobistych przekonań, jak i tych zewnętrznych, narzuconych przez system, przez twórców „gry”, w której chcąc nie chcąc jednostka uczestniczy. W sposób symboliczny (i ciekawy interpretacyjnie) pokazuje to wykreowany świat gry internetowej. Daje to w efekcie dość mroczną i zagmatwaną wizję świata, choć dla czytelnika, paradoksalnie, szalenie wciągającą.

Z racji pochodzenia autora, *Sroka na szubienicy* zwykle jest odczytywana w kontekście aktualnej historii Białorusi. Powieść została napisana w 2007 r. na emigracji w Hamburgu, gdzie Bacharewicz znalazł się po protestach w 2006 r. Wyrosła ze zderzenia realiów kraju totalitarnego z demokracją zachodniej Europy, z szoku kulturowego, jaki stał się udziałem autora. Wiele elementów świata przedstawionego powieści naśladuje bądź antycypuje mechanizmy, panującego na Białorusi, reżimu. Ale też próbuje je

przekroczyć lub przynajmniej ośmieszyć, do czego służy hiperbolizacja i groteska.

Główna bohaterka, drobna urzędniczka ślepo oddana panującemu systemowi, dla której praca w urzędzie jest ścieżką awansu społecznego i kariery, jest typem dobrze znanego homo sovieticus. Nie rozpoznaje u siebie symptomów indoktrynacji, a tym bardziej nie rozumie potrzeby wolności u innych. Prywatnie żyje ciągle w poszukiwaniu seksualnego spełnienia, choć nawet seksualność naznaczona jest tutaj autorytarnością i sadomasochizmem. Odszkodnią od realnego (ale też monotonnego życia) jest dla Weroniki wspomniana już gra internetowa, w której jej wirtualna postać – Władza – sama doświadcza przemocy i zniewolenia. Role się odwracają, gdyż na co dzień to właśnie Weronika posiada, z racji pełnionych funkcji, moc decydowania o ludzkich losach.

Książka Bacharewicza przedstawia rzeczywistość poddaną terrorowi władzy politycznej (choćby to była władza szeregowego urzędnika). Opisuje represje i kary stosowane przez reżim wobec przeciwników politycznych, zwanych tutaj faszystami. Powodem tychże represji może stać się wszystko, co odbiega od normy, nawet majtki wystające znad dzinsów. Jest to antyutopia o tyle szczególna, że po białoruskich wyborach 2020 r. stała się, niestety, faktem. Sprawdziły się najgorsze przeczucia i pomysły z kart książki.

Pomimo tak wyraźnych konotacji, śmiało można stwierdzić, że powieść Bacharewicza wyrasta ponad ten geograficzno-polityczny konkret, przekracza jego ramy, by stać się parabolą polityczną, uniwersalną opowieścią o świecie totalitarnym. Świadczy to bezsprzecznie na korzyść pisarskiego talentu autora, choć tu i ówdzie przydałaby się książce odrobina redakcyjnej ingerencji.

Symbolika tytułu (tak samo, jak i obrazu Breugla) również wydaje się być niejednoznaczna i uniwersalna. I choć można ją odnieść do aktualnej sytuacji na Białorusi, całkowicie uzasadnione wydaje się też jej szersze odczytanie. Przede wszystkim trzeba zwrócić uwagę na wielość znaczeń, jakie przypisuje się sroce. Z jednej strony jest ona symbolem mądrości i sprytu, z drugiej zaś – symbolem kłamstwa, fałszu i plotek, a nawet (w mitologii germańskiej i celtyckiej) zwiastunem śmierci.

Jedno jest pewne – ze swego szczególnego punktu widokowego, jakim jest szubienica, sroka widzi więcej. Może być zatem znakiem wszechobecnej inwigilacji, donosicielstwa i plotek, ale też życiowej mądrości,

czepanej z dystansu i oddalenia. I choć ptak ten, sam w sobie, nie przedstawia zagrożenia (co najwyżej może ukraść jakieś świecidelko), to jego umiejscowienie na szubienicy sugeruje, że odpowiednio zmanipulowany przez władzę, może stać się przyczyną nieszczęść czy nawet śmierci. Co istotne jednak, nawet w obliczu przemocy i zagrożenia, pod szubienicą życie i tak toczy się swoim rytmem, ludzie próbują żyć pełnią chwili, szukają przyjemności i spełnienia. Odbywają się tańce, gra muzyka, a gdzieś tam daleko prześwituje spokojne niebo.

To tylko jedna z możliwych interpretacji, bo w powieści aż roi się od ścieżek i metafor, od gry słów i zaszyfrowanych obrazów. Dzięki temu może okazać się ona nie lada gratką dla badaczy literatury lub bardziej wnikliwych czytelników. Na koniec wypada wspomnieć jeszcze jeden szczegół, który w miarę czytania narzuca się z nieodpartą siłą – to „filmowość” tej prozy, jej plastyczność i wizualność. Czy chęć zobaczenia zekranizowanej *Sroki...* byłaby zbyt wygórowanym oczekiwaniem?



Pejzaż z szubienicą (*Sroka na szubienicy*), Pieter Bruegel (starszy), 1568, Hessisches Landesmuseum w Darmstadt / pl.wikipedia.org

EWA SZARKOWSKA

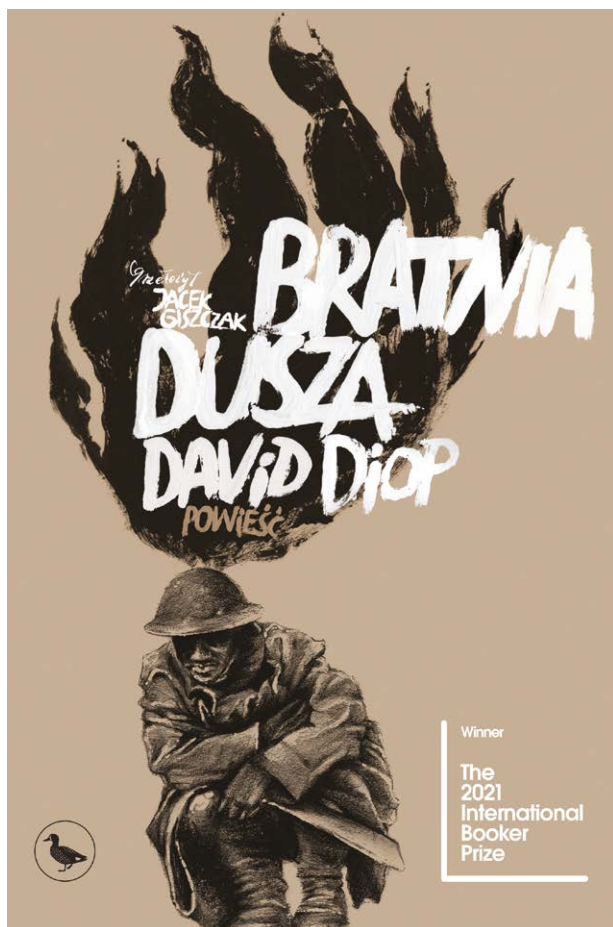
– polonistka, bibliotekarka, Podlasianka. Od kilkunastu lat pracownik Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku. Zainteresowania: literatura, kultura regionalna, ornitologia, język francuski.



foto. Bogumiła Małyszewska-Oksztol

Dariusz Adamowski

Nieludzki z wyboru



David Diop, *Bratnia dusza*
Wydawnictwo Cyranka, 2021

Jest noc, a on jest nocnym łowcą. Jest drapieżnikiem, który po zmroku wychodzi z francuskich okopów, by znaleźć jedną ofiarę i zadać jej bolesną, okrutną śmierć. Z każdej swojej wyprawy przynosi trofea – odciętą dłoń niemieckiego żołnierza i jego karabin. Kolekcjonuje je. Przy pierwszej, drugiej i trzeciej dłoni towarzysze broni wiwatują, gratulują mu, ściskają go jak brata. Po czwartej dłoni zaczynają go unikać. Niektórzy mówią nawet, że stał się dëmm – czarnoksiężnikiem, demonem żywiącym się duszami wrogów, że jest groźny nie tylko dla Niemców, ale i dla swoich.

Alfa Ndiaye, bohater nagrodzonej Międzynarodową Nagrodą Bookera powieści *Bratnia dusza*, jest dwudziestoletnim Senegalczykiem, który – podobnie jak tysiące innych czarnoskórych żołnierzy – dołączył do francuskiej armii w czasie I wojny światowej. Niektórzy mieszkańcy kolonii byli wcielani do wojska siłą, inni szli na wojnę dobrowolnie, tak jak najbliższy przyjaciel Alfego – Mademba Diop, który widział w tym szansę na wyrwanie się z biednej, senegalskiej wioski. A ponieważ Mademba był dla Alfego bliski jak brat, wyruszyli na front razem. Jednak ich wspólna wojenna historia nie trwała długo. Mademba został wkrótce zabity i nie była to śmierć ani szybka, ani bezbolesna. Co więcej, Alfa zawiódł swego druha, bo kiedy ten, u kresu wytrzymałości, poprosił go o skrócenie cierpienia, Alfa nie zrobił nic. Nie pomógł przyjacielowi, kiedy ten prosił po raz pierwszy, nie pomógł mu, kiedy prosił po raz drugi i nie pomógł mu, kiedy błagał po raz trzeci. Trwał przy nim do końca, a potem wpełchnął wnętrzości z powrotem do brzucha Mademby i przyniósł go na rękach do okopów. Został za to odznaczony Krzyżem Wojennym, którym nagradzano francuskich żołnierzy za szczególną odwagę.

Po tym zdarzeniu Alfa oszalał. Przyznaje to sam w swojej pełnej powtórzeń, frenetycznej narracji, która trochę przypomina tradycyjną ludową pieśń, a trochę elegię. Opowieść Alfego, wylewna, niepoohamowana, robi nieustanne nawroty. Obrazy przyplływają falami, pochłaniają go, odpływają, a potem wracają. Powracają zdania jak refreny, w tym najczęstszy z nich – „Bogiem a prawdą” – inkantacja, która na początku wydaje się szczerą i prostoduszną, ale po dwudziestym i trzydziestym powtórzeniu staje się symbolem szaleństwa, ostatnią deską ratunku dla tonącego umysłu.

Bogiem a prawdą, każda rzecz nosi w sobie swoje przeciwieństwo. Do trzeciej dłoni byłem bohaterem wojennym, począwszy od czwartej stałem się niebezpiecznym wariatem, krwiożerczym dzikusiem. Bogiem a prawdą, takie jest życie, taki jest świat: wszystko ma dwa oblicza. (s. 64)



Nina Roskowińska / PLSP w Supraślu

Alfa zaiste oszalał, ale nie tym „zdrowym” frontowym szaleństwem, które każe żołnierzom na odgłos kapitańskiego gwizdka wyskoczyć z okopów i z wraskiem szarżować na wroga. Jego szaleństwo sięga głębiej. Zasysa cały mrok frontowych nocy i zakaża umysł bohatera. Alfa co noc odgrywa scenę śmierci swego przyjaciela. Znajduje rannego niemieckiego żołnierza ukrytego w leju po bombie albo porywa jakiegoś chuderlawego młokosa z niemieckich okopów. Potem każdego krępuje i rozpruwa mu brzuch. Patrzy na wypływające na ziemię wnętrzności, na krew, a każda krew, jak mówi, nocą jest czarna. Ten rytuał, po części zemsta na wrogu, po części zadośćuczynienie przyjacielowi, jest makabryczną próbą poradzenia sobie z traumą.

W końcu jednak Alfa zaczyna wzbudzać lęk wśród wojennych towarzyszy. Jego przełożony również dostrzega problem i odsyła go na tyły, gdzie jego szaleństwo dopełni się w jeszcze jednej, może najstraszniejszej zbrodni.

Nigdy ci nie kazałem odcinać nieprzyjacielskich dłoni! To wbrew regulaminowi. (...) Cywilizowana wojna tego zabrania. (s. 70)

Długo można by mówić o tym, co na wojnie jest wbrew regulaminowi i co jest cywilizowane. Czy jest wbrew regulaminowi szarża z maczetą w jednej ręce i karabinem w drugiej? Szarża, w której co drugi żołnierz ginie od nieprzyjacielskiej kuli? Czy jest cywilizowane wygnanie z okopów pod groźbą śmierci bezbronnym żołnierzom,

którzy uchylają się od wykonania rozkazu? Czy przystoi przywiązać sobie do helmu odciętą dłoń niemieckiego żołnierza z wyprostowanym środkowym palcem i wykrzykiwać pod adresem nieprzyjaciela obelżywe słowa? Takich obrazków jest w książce Diopa wiele. Ukazane w innej, świeżej narracji kogoś z zewnątrz, ilustrują po raz kolejny absurd i makabrę wojny, tego niezrozumiałego dla czarnoskórych rytuału białego człowieka, który, posiadając wszelkie przywileje i dobra tego świata, w imię ekspansji poświęca wspaniałych, młodych ludzi i każe im umierać tysiącami w błotnistych okopach.

Kiedy wychodzę z brzucha ziemi, jestem z wyboru niehumaniczny, staję się odrobinę niehumaniczny. Nie dlatego, że tak mi rozkazał kapitan, ale dlatego, że to przemyslałem i właśnie tego chcę. Gdy wrzeszcząc, wylaniam się z macicy ziemi, nie zamierzam zabijać wielu wrogów z naprzeciwną, ale zabić jednego, na mój własny sposób, spokojnie, rozważnie, powoli. (s. 20)

Szaleństwo i przemoc wylaniają się z „brzucha ziemi”. Jeśli ten często powracający motyw *Bratniej duszy* potraktować metaforycznie, to będzie to złowieszcze proroctwo. Wojna jest pierwotną siłą, która tkwi w głębi ludzkiego umysłu, jak pokłady ropy naftowej w ziemi. Falami zalewa cywilizację, niszczy, wycofuje się, czeka. Jednak w przeciwieństwie do ropy naftowej jest jedynym paliwem na tej ziemi, którego nigdy nie zabraknie.



fot. archiwum prywatne autora

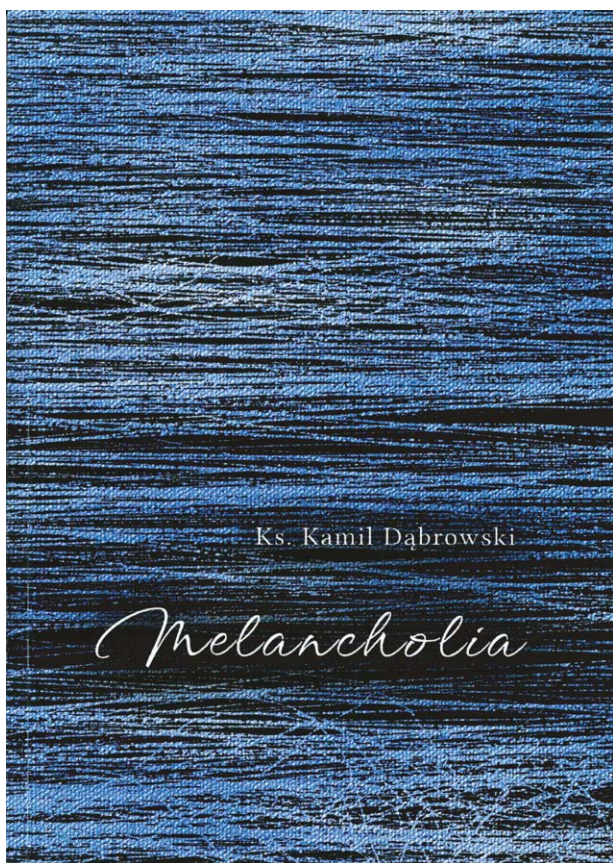
DARIUSZ ADAMOWSKI

– urodzony w 1967 r.; mieszka w Białymstoku. Nauczyciel języka angielskiego.

Wydal trzy tomiki poezji, powieść fantasy dla młodzieży *Wrota Światów* (2015), zbiór opowiadań *Baśnie* (2018) oraz powieść *Skrawki* (2021). Miłośnik podróży, psów i muzyki elektronicznej. Beznadziejny szachista.

Dorota Sokołowska

Wszystkie skazy świata



Ks. Kamil Dąbrowski, *Melancholia*
Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku,
2022

Oto wszystkie skazy świata, które tak bardzo kochamy: szybkość, która dławi, ciągle bycie na widoku, odbierające radość nowe technologie, sploty sieci pakujące w sam środek wydarzeń. Oto świat XXI wieku, nowoczesny i ze wszech miar do schrupania, pozornie pyszny. A jednak „posiwiął” i „rzecz ma się nocnie”, jak pisze Kamil Dąbrowski, bo w życiu nie chodzi o to, żeby żyć wygodnie i sycić się smacznie.

Współczesny człowiek nie ma łatwo – musi być na czasie i z krwi i kości, żeby zdążyć za zmieniającym się światem, stechniczowanym, rozedrganym od nadmiaru. A przecież

nie jesteśmy żywymi hologramami. Jesteśmy ludźmi, którzy czują i tęsknią.

Szczęśliwi, którzy odnaleźli źródło swojego pragnienia i są mu wierni mimo pokus świata. Dąbrowski zaprasza do spoglądania na świat nieśpiesznie, bez oceny, z właściwą perspektywą. Przypomina o przerzuconym moście, na który warto się wdrapać, żeby zobaczyć sens każdej ludzkiej podróży. Z tego mostu, zwłaszcza na szczycie, widać więcej. I – jak zapewnia nas w wierszach – dalsza droga jest łatwiejsza, bo wiedzie już tylko w dół. Szczelble łączą dwa światy, ten z „teraz” pełen plastikowych paliatywów, do których jesteśmy tak mocno przywiązani i drugi, zapowiadany w Piśmie, jeszcze odległy, z „potem”, pełen naszych bliskich, którzy przeszli most do końca.

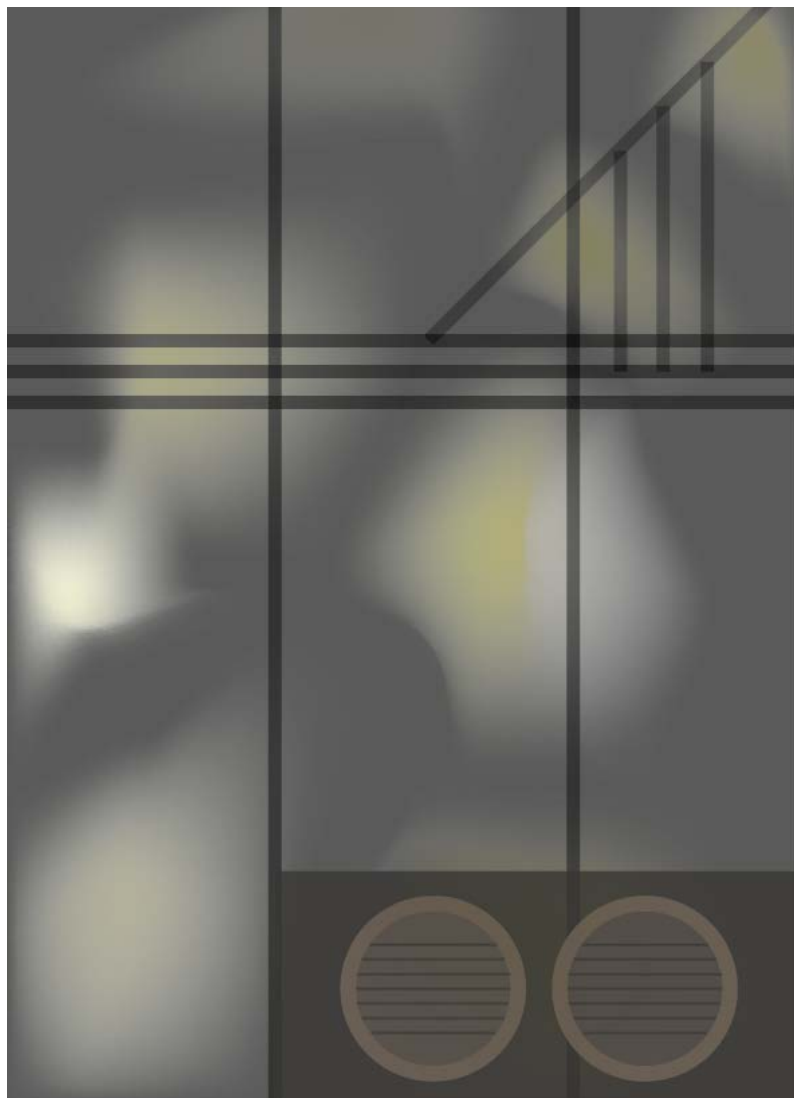
Tomik wierszy księdza Kamila jest opowieścią o jego podróży między dwoma światami, o wyborze drogi i o tym, do kogo zmierza. Jest tu ujmujące i szczere wyznanie:

*Nie ma innej drogi,
która prowadzi do Ogródu.
Brama jest zamknięta, ale klucz wypadł na
Ziemię i powiedział:*

„Przez dziurkę można wejść do tego, co Pierwsze”.

On stał się drabiną.

Jest mocne zapewnienie, na co warto stawiać w świecie zawodnych chmur internetowych, smartfonów czy ponowoczesnej rzeczywistości. Ale przede wszystkim jest tu czułe spojrzenie na człowieka zagubionego między „wczoraj a jutro”, zawsze spóźnionego lub nieobecnego, potykającego się o pragnienia, rozpaczliwie próbującego utrzymać balans pomiędzy sobą a rzeczami, których coraz więcej wokół nas. Kamil Dąbrowski w centralnym miejscu stawia Przyjaciela, który ucisza, uspokaja, zapewnia o obecności. Daje wytchnienie i prowadzi po chwiejących się szczelkach mostu nad przepaścią pomiędzy światem rzeczywistym i przyszłym. Kocha, czeka i chce, byśmy złapali właściwą perspektywę, zanim On złapie nas w swoje objęcia.



Katarzyna Błachowska / PLSP w Supraślu

DOROTA SOKOŁOWSKA

– dziennikarka i prezenterka Polskiego Radia Białostok, wydawca magazynu kulturalnego „Podróże po kulturze”, autorka programów promujących czytelnictwo, recenzentka teatralna i autorka audycji dokumentalnych i reportaży. Autorka książek: *Dźwiękoczułość* (2015), *Bóg jest portem* (2016), *Sekrety Łomży i Ostrołęki* (wspólnie z Grzegorzem Maculewiczem, 2018).



fol. Bogumiła Małyszewska-Olształ

Recenzje Redakcji



Janina Osewska, *Listy i stacje*
Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku,
2021

Ten tom jest jak podróż, a zarazem zaproszenie do intymnego świata. Janina Osewska – niczym przewodniczka – oprowadza czytelnika po kolejnych stacjach: poblizkach – pełnych ciepłych wspomnień, znajomych zakątków, miejsc, w których mocniej czuje się upływ czasu, Dublinie – tętniącym życiem, gdzie historia spleta się ze współczesnością, a samotność czai się w tłumie, Sopocie – gdzie potęga morza uwypukla kruchość człowieka, a egzystencjalne pytania wybrzmiewają w myślach.

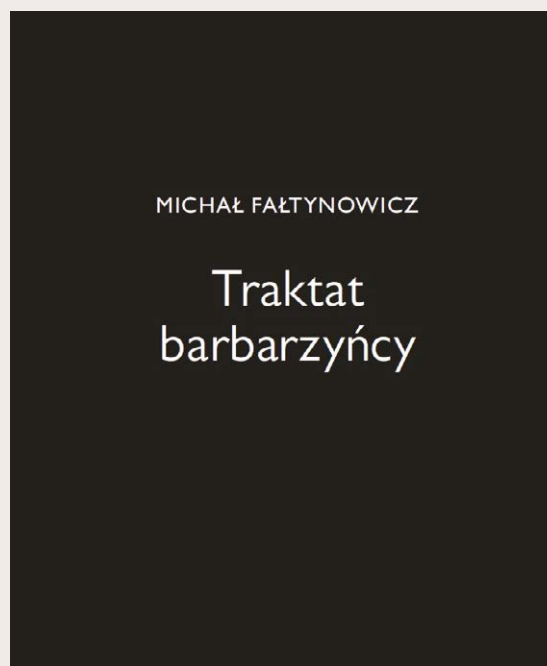
Oprócz stacji są listy – „od wnuczki” i „do ciebie”. Te pierwsze stanowią zapis, widzianego oczami dziecka, procesu poznawania świata i znaczenia poszczególnych słów. Dużo tu intuicji i naiwnej ufności, które zastępują brak wiedzy i doświadczenia. Dużo czułości, ofiarowywanej wnuczce przez babcie – cierpliwą opiekunkę i nauczycielkę.

Listy „do ciebie” to z kolei poruszający obraz: miłości, straty, pustki, tęsknoty, pamięci i trwania. Spomiędzy wersów przebija siła kobiety, która przekroczyła granicę cierpienia. Uważny czytelnik odnajdzie w nich także olbrzymią wiarę i pokorę. I pewność, że „będziemy patrzeć na naszą dolinę / rozpoznamy biały dom z ogrodem / otoczony śmiechem jak parkanem, że jak dawniej weźmiemy niebo / na świadka”.

Tom zamyka cykl „Być, morze”. Cykl wierszy „objaśniających” pojęcia, z których swój świat zbudował podmiot liryczny. Miłość, nadzieja, światło, pisanie, dom, cel czy śmierć – gotowe odpowiedzi na wypadek „a jeśli zapytasz mnie o...”. Widać w nich dojrzałość, pewność (lub świadomość niepewności) zbudowaną na bazie doświadczeń, widać zgodę na zastany porządek świata. I wdzięczność za „być”. I za „morze”.

Piękny, poruszający, osobisty tom. Poetycki pamiętnik z zatrzymanymi kadrami z życia.

(js)



Michał Fałtynowicz, *Traktat barbarzyńcy*
Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku,
2021

Zbiór mikropocztówek, wycinków rzeczywistości, opisanych z perspektywy niezaangażowanego obserwatora. Najwłaściwiej byłoby rzec, że jest to 36 obrazów codzienności – naturalnych, nieupiększanych, ukazujących niedoskonałość człowieka i świata, pokazujących życie takim, jakie jest – miejscami brzydkie, brudne, nijakie, zbyt dosłowne. I ta naturalność zdaje się być dla podmiotu lirycznego źródłem piękna.

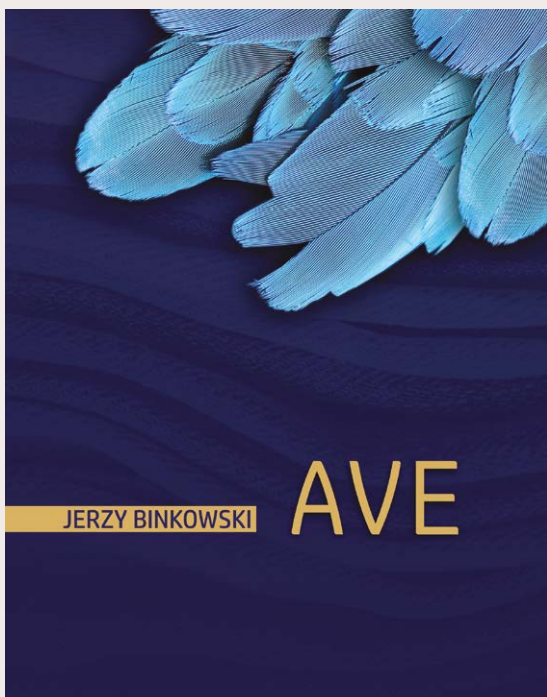
Życie nie składa się z wzniosłych, wielkich wydarzeń i te małe, często zdawałoby się niewiele znaczące chwile, zapisał Michał Fałtynowicz w *Traktacie barbarzyńcy*,

odnotował zmiany zachodzące w krajobrazie. Wydarzenia i sytuacje graniczne nie doczekały się w jego tekstach patosu – śmierć, spacer i zawiązywanie sznurówki wydają się mieć jednakowe znaczenie.

Mocnym akcentem tematycznym tomu Fałtynowicza jest Suwalszczyzna, przebija przywiązanie (?) do tego miejsca, zainteresowanie jego historią, tradycją regionu, które postrzegam jako poszukiwanie śladów przeszłości i próbę odnotowania jej wpływu na teraźniejszość.

Przeczytanie całości pozwala docenić interesującą formę i prowokuje do zadania sobie pytania, czego w poezji szukamy? Pocieszenia? Emocji? Wzniosłych doznań? Niczego takiego u Fałtynowicza nie ma, jest forma – surowa, chłodna, nieidealna, doskonale obrazująca współczesny świat, jego kondycję i kondycję człowieka. I może właśnie takiego wstrząsu czytelnikom potrzeba.

(js)



Jerzy Binkowski, *Ave. Wybór wierszy*
Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku,
2022

W tomie *Ave* Jerzy Binkowski pokazuje bogactwo swoich poetyckich kształtów. Choć tematyka wierszy jest różnorodna, łączy je jedno – miłość. To z niej wyrasta wszystko inne: wartości, sposób życia, postawy, podejście do ludzi,

świata. Znaczna część utworów poświęcona jest wierze i duchowości – można odnieść wrażenie, że autor uświadomił sobie, iż jego powołaniem jest pisać (także) wiersze religijne i wiernie szedł za tym głosem.

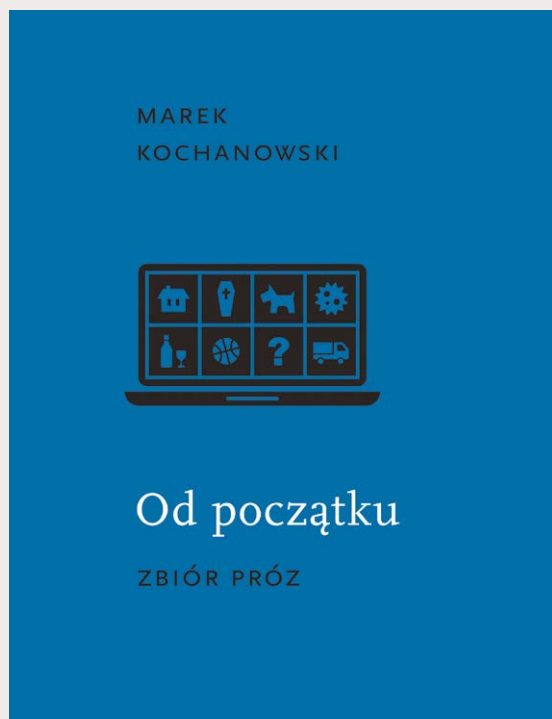
Tego rodzaju poezja nie jest łatwym szlakiem. To nie spacer leśną ścieżką, a raczej wędrówka górkami trasami, gdzie pokora jest podstawą. Niejednokrotnie zdierzamy się ze swoją słabością i jeśli chcemy dotrzeć do celu, nie możemy pozwolić sobie na długotrwały bunt. Autor pozostaje wierny Bogu, choć wspomniany bunt nie jest mu obcy („Tak trudno wierzyć – by uwierzyć w Ciebie / zostanę błędem kamieniem i mrokiem (...) / Drwię z Twoich wskazań kazań i pouczeń / bo kłamliwe są słowa proroków”). Jego wiersze pozbawione są „uduchowionego zadęcia”, dzięki czemu w odbiorze stają się prawdziwe i bliskie zwykłemu śmiertelnikowi. Oddają jego autentyczną fascynację eucharystią, świadome jej przeżywanie.

Szczególnie poruszające są teksty, w których odnajdziemy rodzinne wątki – pokazują siłę więzi autora z rodzicami (choć były to relacje różne), dziadkami, rodzeństwem czy wujostwem. Twórca jest świadomy, jak wiele dla niego znaczą, jak wielkim uczuciem ich darzył. Fascynujące jest, z jaką subtelnością pisze Binkowski o ciężkiej chorobie matki: „Mama kompletnie zapomniała o dzisiaj / ale doskonale została we wczoraj”. Z kolei wiersz *Żegnaj – tato – powiedziałem cicho* zawiera w sobie ogromny ładunek emocji: od radości z przyjazdu ojca, przez oczekiwanie, po smutek, stratę i żal.

Kolejne wiersze, które można wyłonić z *Ave* to wiersze patriotyczne. Patriotyzm jest wartością, którą, tak jak i wiarę, autor wyniósł z rodzinnego domu. Tu zdecydowanie nie ma miejsca na bunt. Poczucie odpowiedzialności za ojczyznę każdy winien mieć w sobie. Jest ono ważne na tyle, na ile pozwala spełnić się nam jako obywatelom.

Światło i przyjemna, nieoślepiająca jasność biją z każdego wersu *Ave*. Nie ma tu przypadkowości. Język prosty, krótkie żołnierskie słowa, niewyszukane metafory, zaskakujące puenty – wszystko to sprawia, że wersy przepłatają się, mienią emocjami, uczuciami. Czasami suną wartko niczym górski potok, by za chwilę zwolnić i zatrzymać nas refleksją i zamyśleniem. Szarpną, każą krzyżeć, by za chwilę zaprowadzić nas w miejsce, gdzie nie ma już NIC, nawet krzyku. To właśnie jest różnorodność Jerzego Binkowskiego.

(mk)



Marek Kochanowski, *Od początku. Zbiór próz*
Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego
w Białymstoku, 2022

Co zabrała, a co dała nam pandemia? Jak zmieniła naszą rzeczywistość? Marek Kochanowski – literaturoznawca, eseista, publicysta i animator kultury sięga do doświadczeń własnych, opowieści znajomych oraz wyobraźni, przywołując miesiące pełne strachu, dystansu, izolacji i zmęczenia.

Zbiór *Od początku...* składa się z dwóch części. Pierwsza przypomina nieco pamiętnik, zapis zdarzeń, odczuć, refleksji, zaobserwowanych zjawisk. Narratorem jest wykładowca akademicki, mieszkający w stolicy Podlasia, co siłą rzeczy narzuca skojarzenie z postacią autora – wykładowcy Uniwersytetu w Białymstoku. Sam Kochanowski zresztą przyznaje, iż „większość opisanych wydarzeń ma swoje źródła w rzeczywistości”. Część druga to krótkie formy prozatorskie, nawiązujące do różnych konwencji i stylów literackich. Sprawnie napisane, mogłyby stanowić fundament większej całości, niezwykle interesującej za sprawą swojej różnorodności.

Tłem większości opisywanych wydarzeń jest Białystok. Znajoma przestrzeń, dotknięta pandemią przechodzi na oczach narratora przeobrażenie: opustoszałe ulice, puste półki w sklepach, zamknięte instytucje kultury, ludzie

gnieźdzący się w klatkach bloków. W opozycji do tego obrazu, pojawia się wieś – synonim wolności i swobody, niemal jak świat równoległy, do którego strach i zaraza nie mają wstępu.

Od początku... to także opowieść o niezwyklej zdolności człowieka do przystosowania się do nowych warunków, o zmianie priorytetów, o samotności i potrzebie bliskości, o relacjach międzyludzkich w obliczu „próby”. O tym, że „(...) wspólnota. Tylko ona ma dziś jeszcze jakikolwiek sens”.

(js)



Katarzyna Zajązkowska, *Odpowiedzialna moda. Guilt-free przewodnik po slow fashion*
Wydawnictwo Znak Koncept, 2022

Przemysł odzieżowy to drugi¹ – po paliwowym – najbardziej szkodzący środowisku segment gospodarki. Zanieczyszczenia wód, emisja gazów cieplarnianych,

¹ <https://www.wysokieobcasy.pl/Instytut/7,175750,24398133,co-sekunde-na-wysypisko-trafia-smieciarka-pelna-ubran-jak-kupowac.html>
<https://krytykapolityczna.pl/gospodarka/moda-szkodzi/>
<https://fashionmarketsquare.pl/eko-moda-jak-dbac-o-srodowisko/>

używanie do produkcji szkodliwych dla przyrody i człowieka środków chemicznych, cząsteczki mikroplastiku uwalniane przy każdym praniu, wyzysk pracowników (w tym dzieci) oraz nieprzestrzeganie norm bezpieczeństwa w miejscu pracy – oto prawdziwa cena fast fashion.

Choć wydawało się, że pandemia zmieni nasze podejście do kwestii posiadania dóbr materialnych, okazało się, że ludzkość nie potrafi tak łatwo zatrzymać maszyny konsumpcjonizmu. Nie tylko nie ograniczyliśmy zakupu ubrań, a wręcz przeciwnie – kupujemy ich coraz więcej. Wskazuje na to chociażby rosnąca popularność jednego z liderów światowej e-sprzedaży odzieży – tysiące produktów (słabej jakości), w niskich cenach, szybkie reagowanie na zmieniające się trendy i zaangażowanie do promocji influencerów okazało się być przepisem na sukces. To już nie fast fashion, ale ultra fast fashion. Koszulki za 20 zł nie żal wyrzucić, nawet jeśli nałożyło się ją tylko raz. Albo wcale...

O tym wszystkim, ale też o zjawisku greenwashingu, naszej „relacji” z ubraniami i o tym, co możemy zrobić, by zatrzymać to modowe szaleństwo, pisze w swojej książce Katarzyna Zajączkowska – autorka podcastu „Odpowiedzialna moda”, która przez kilkanaście lat tworzyła kolekcje dla wiodących polskich marek odzieżowych, dziś – wykładowczyni w Szkole Artystycznego Projektowania Ubioru i edukatorka, wspierająca branżę mody w obszarze zrównoważonego rozwoju.

Ta książka to nie tylko poradnik – bo i treści w rodzaju „jak ogarnąć szafę” się tam znalazły – ale przede wszystkim kopalnia wiedzy na temat wpływu przemysłu odzieżowego na nasze otoczenie i nas samych, technologicznych nowinek, które mają w przyszłości szansę zminimalizować szkody czynione przez fast fashion oraz realnych kosztów naszych modowych zachcianek. Książka otwierająca oczy i dająca do myślenia, uświadamiająca jak daleko zabrnęliśmy na drodze do autodestrukcji.

Stoimy u progu katastrofy klimatycznej, nie stać nas na odkładanie na później kwestii ochrony środowiska. Czas zrewolucjonizować nasze myślenie o modzie – bez poczucia winy, ale ze świadomością, że suma małych gestów przekłada się na konkretne efekty.

(js)



Katarzyna Droga, *Dziunia, ale dama. Powieść o Hance Bielickiej*

Znak JednymSłowem, 2022

Katarzyna Droga dała się już poznać jako autorka powieści biograficznych, których bohaterkami były m.in. Aleksandra Piłsudska, dr Irena Ćwiertnia-Sitowska czy Hanka Ordonówna. Tym razem sięgnęła po życiorys damy polskiej sceny kabaretowej – Hance Bielickiej.

Dzieciństwo w dworku w Kononowce (dzisiejsza Ukraina), młodość spędzona w Łomży, wyjazd do stolicy na studia, rozwój kariery zawodowej i poszukiwanie własnej aktorskiej ścieżki, ale też małżeństwo w trudnych czasach okupacji, rozwód, burzliwy romans z żonatym mężczyzną, próba samobójcza, przyjaźnie i... samotność – o tym wszystkim z delikatnością i taktem, a jednocześnie zajmująco pisze Droga w książce *Dziunia, ale dama*.

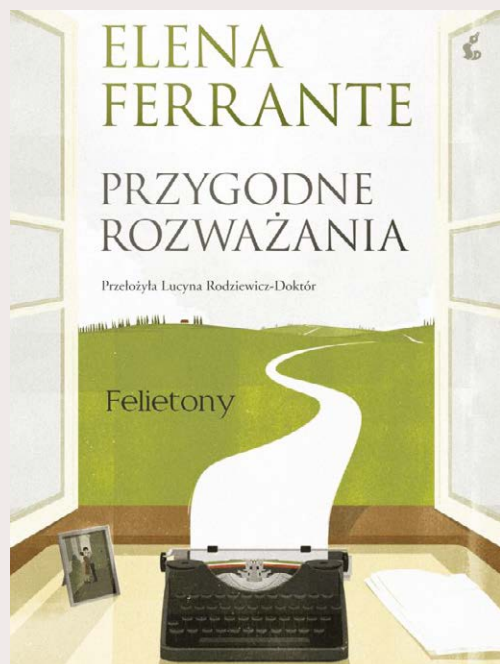
Mocnym punktem tej powieści jest tło. Autorka przez pryzmat życia jednostki opowiada o kolejnych dekadach XX oraz początkach XXI wieku. Życie Hance Bielickiej toczyło się bowiem w cieniu i blasku wydarzeń, które zapisały się w historii Polski i świata. Między słowami wyłowimy informacje o I wojnie światowej, bieżącym, pozornym spokoju międzywojnia, dochodzeniu Hitlera do władzy, okupacji w Wilnie, Powstaniu Warszawskim, odwilży

po śmierci Stalina, pustych półkach w sklepach, strajkach, Gierkowskim „Pomożecie?“, zagranicznych wyjazdach i zderzeniu kolorowej rzeczywistości USA z szarością PRL-u, stanie wojennym i nadejściu upragnionej wolności, a wraz z nią kapitalizmu.

Dziunia... to też opowieść o polskim środowisku artystycznym. O zmianie pokoleniowej, jaka nastąpiła po II wojnie światowej i kształtowaniu się nowej sceny aktorskiej i kabaretowej. W książce przewijają się nazwiska takich gwiazd, jak: Hanka Ordonówna, Aleksander i Krystyna Zelwerowiczowie, Irena Kwiatkowska czy Danuta Szaflarska. Mnóstwo jest anegdot, zabawnych historii, jak choćby ta o trwającej latami wzajemnej niechęci Bielickiej i Kwiatkowskiej.

Tę książkę czyta się znakomicie. Katarzyna Droga ma niezwykle dar snucia opowieści, a wybrana przez nią forma – powieść, nie biografia – sprawia, że portret głównej bohaterki zyskuje „trójwymiarowość”. Hanka z kart powieści Drogiej żyje i czuje, staje się bliska, a przez to niezapomniana. Nie lukrowana, ale prawdziwa.

(js)



Elena Ferrante, *Przygodne rozważania*
Wydawnictwo Sonia Draga, 2022

Elena Ferrante określana jest mianem jednej z najlepszych współczesnych włoskich pisarek. Kimkolwiek jest,

bo swoją prawdziwą tożsamość od lat utrzymuje w tajemnicy. Wierzy, że dobra literatura obroni się sama i coś w tym jest, bo w czasach pisarzy-celebrytów, z równym zaangażowaniem dbających o literacką wartość swych dzieł, co o aktywność w mediach społecznościowych, jej książki sprzedają się znakomicie.

W tym miejscu wyznać muszę, iż jako człowiek stroniący od tego, co czytają i oglądają wszyscy, nie znam żadnej z powieści Ferrante ani też nie widziałam ich ekranizacji. Po *Przygodne rozważania* sięgnęłam przypadkiem (choć w przypadku nie wierzę). To zbiór felietonów, które autorka przez rok pisała dla „Guardiana”. Ich krótka forma i konieczność drukowania co tydzień wymusiły na tajemniczej powieściopisarce zmianę podejścia do procesu tworzenia – zamiast planowej pracy i zgłębiania tematu pojawiły się: przypadkowość i spontaniczność. Tekstom towarzyszą piękne ilustracje autorstwa Andrei Uciniego.

Choć Ferrante zaledwie „muska” wybrane zagadnienia, dotyka tak istotnych spraw jak: śmierć, strach, rodzicielstwo, stereotypy, miłość, przyjaźń, zmiana pokoleniowa czy kobieca solidarność. Pomiedzy wersami pojawia się też temat utraty wiary i wadzenia się z Bogiem. Z tych tekstów przebija niechęć do zasad panujących w patriarchalnym świecie, zamykających kobiety w przypisanych im rolach, szufladkujących je i narzucających im męską perspektywę.

W *Przygodnych rozważaniach* znajdziemy sceny z życia dojrzałej kobiety, umiejącej poddać analizie zmiany zachodzące wokół i w niej samej, ale też refleksje dotyczące pisania, tworzenia powieści, języka jako czynnika kształtującego nasz świat oraz odpowiedzialności za słowo. O swojej twórczości pisze: „moje wersy mogą brzmieć beznamiętnie” i faktycznie widać w jej tekstach powściągliwość. Nawet w przypadku kwestii wzbudzających emocje, pozostaje stonowana, choć zarazem stanowcza.

Lektura felietonów Eleny Ferrante okazała się być w moim przypadku procesem burzliwym i zaskakującym. Początkowo drażniąca pobieżność i wspomniana beznamiętność języka z czasem przerodziły się w intrygującą opowieść o ludzkiej naturze i kondycji współczesnego świata.

(js)

Młodzi na łamach

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku oraz Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. Artura Grottgera w Supraślu po raz drugi połączyły siły, organizując konkurs na projekt okładek oraz grafik do nieregularnika „Epea. Pismo literackie”. Inspiracją dla młodych twórców stały się postaci patronów roku 2022: Ignacego Łukasiewicza oraz Wandy Rutkiewicz.

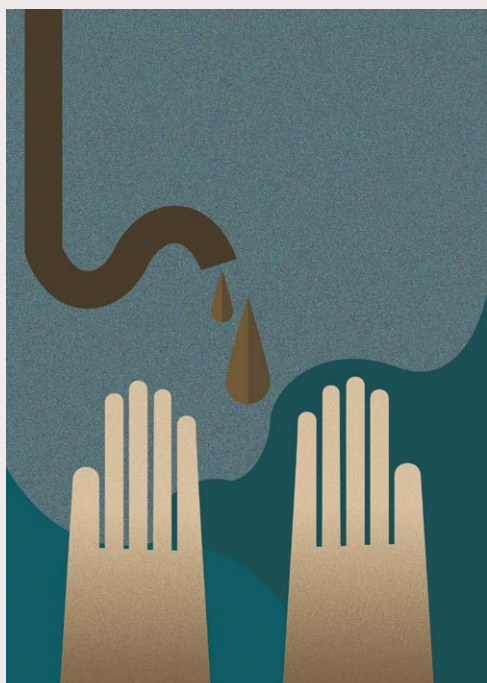
On – pionier przemysłu naftowego, filantrop i działacz niepodległościowy, ona – himalaistka, prekursorka kobiecych zespołów górskich, pierwsza Polka i trzecia kobieta na świecie, która zdobyła Mount Everest. Oboje zapisali się na kartach historii wyjątkowymi dokonaniem, a ich życiorysy stały się punktem wyjścia dla graficznej interpretacji motywów przewodnich tegorocznych numerów nieregularnika „Epea. Pismo literackie”. W przypadku numeru letniego jest to „nafta”, w przypadku zimowego – „wysoko/nizej/najwyżej”. Choć punktem wyjścia dla stworzenia tychże motywów stały się biografie dwojga patronów roku 2022, zależało nam na tym, by były to hasła bardzo pojemne, dające zarówno czytelnikom, jak i młodym artystom szerokie pole do interpretacji.

Uczniowie supraskiego „plastyka” zaskoczyli redakcję przede wszystkim różnorodnością, dojrzałością, świeżością spojrzenia na świat i kondycję człowieka. Autorkami zwycięskich prac zostały: Zuzanna Januszko oraz Róża Wiktorja Jaroszewicz.

Pracę Zuzanny Januszko, która zdobi okładkę aktualnego numeru, doceniłmy przede wszystkim za prostotę, praca Róży Wiktorji Jaroszewicz, którą zobaczycie Państwo na okładce numeru dziewiątego, urzekła nas niedosłownością. Podobnie jak w ubiegłym roku, wyborom tym towarzyszyły spore emocje, faworytów było bowiem kilkoro. Wszyscy jednak jesteśmy zgodni co do tego, że możliwość prezentacji prac młodych artystów na łamach naszego pisma to zaszczyt, ale też wyraźny sygnał, że jest w nieregularniku „Epea” miejsce nie tylko dla literatów.

Oprócz wspomnianej Zuzanny Januszko, w numerze 1/2022 (8) swoje prace prezentują także: Julia Kulikowska, Ewa Barbara Maksimowicz, Oliwia Broś, Hanna Dziokan, Matylda Dąbrowska, Katarzyna Błachowska, Róża Wiktorja Jaroszewicz, Natalia Głowacka, Natalia Filimoniuk, Nina Roskowińska oraz Davini Durschlag.

Justyna Sawczuk
redaktor naczelna



Zuzanna Januszko

Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych
im. Artura Grottgera w Supraślu

Nabór tekstów do nieregularnika „Epea. Pismo literackie”

PISZESZ

wiersze, opowiadania, reportaże, eseje, felietony, recenzje książek lub bajki dla dzieci?

PRAGNIESZ

podzielić się swoją twórczością z innymi?

Redakcja nieregularnika „Epea. Pismo literackie” ogłasza nabór tekstów do dziewiątego numeru.

PRZEŚLIJ

swoje zgłoszenie już dziś **na adres e-mail: epea@ksiaznicapodlaska.pl**

Jeden autor może zgłosić maksymalnie trzy dotychczas niepublikowane i niezgłaszane do konkursów literackich teksty, (jeden tekst do 8 stron maszynopisu, font: Times New Roman, rozmiar 12, interlinia 1,5 wiersza).

Zgłoszenia przyjmujemy **do 15 września 2022 r.**

Do współpracy zapraszamy zarówno doświadczonych twórców, jak i tych, którzy są na początku swojej literackiej drogi. Redakcja nie zwraca przesłanych tekstów oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.

Wybrane teksty zostaną opublikowane w dziewiątym numerze nieregularnika „Epea. Pismo literackie”.